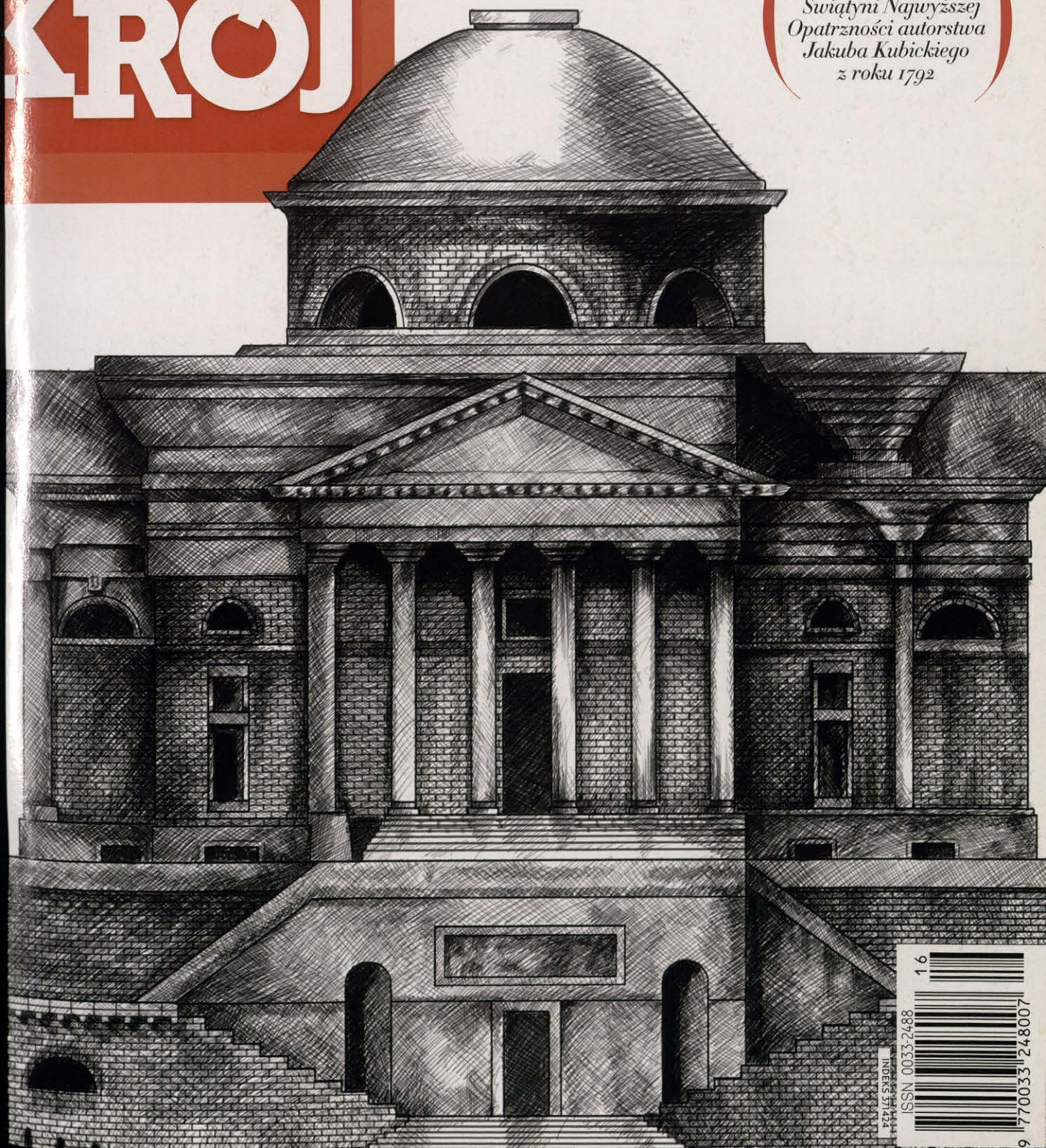


PANTEON > 4, 20 ZGODY PRZE KROJ NARODOWEJ

ZBUDUJMY GMACH, W KTÓRYM SPOCZNĄ WIELCY POLACY

*Ilustracja
na podstawie projektu
Świątyni Najwyższej
Opatrzności autorstwa
Jakuba Kubickiego
z roku 1792*



— wymyślił i narysował Marek Raczkowski —



TRAGEDIA 10 KWIETNIA 2010

- 4 | Komentarz Katarzyny Janowskiej
- 5 | Ludzie listy piszą
- 6 | Kraków pożegnał parę prezydencką
- 8 | Obama, Merkel, Sarkozy nie dojechali. Oto winowajca
- 10 | Warszawa: 100 tys. na pl. Piłsudskiego
- 14 | Żałoba kłótniami zakłócona
- 18 | Spór o Wawel będzie trwał latami – twierdzi profesor Nałęcz
- 20 | Pomyślmy o nowym panteonie
- 22 | My, naród ofiar
- 26 | Co teraz zrobi Jarosław Kaczyński. Analiza Wojciecha Mazowieckiego

- 28 | Jacy wyjdziemy z tej tragedii. Janowska rozmawia ze Sztompką
- 31 | Siedem dni żałoby. Zdjęcia Rafała Milacha
- 38 | Jedlicki mówi Najsztabowi: nadciąga Jego Wysokość Mit

CYWILIZACJA

- 44 | Po drugiej stronie lustra
- 47 | Też pytanie!
- 48 | Prorok z CIA

KULTURA

- 50 | Książki: Czytajcie Bolaño!
- 54 | Książki: Cierpienia Virginii Woolf
- 56 | Film: Dzieciństwo odidealizowane

- 58 | Teatr: Co te kobiety tutaj robią?
- 60 | Teatralne polemiki: Sieradzki wieńczy dzieło
- 61 | Muzyka: Didżej z jakuzi
- 64 | Komiks: Żydzi łączą
- 66 | Lektura: Jan Strzałka rozmawia z Marią Iwaszkiewicz

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 70 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką i felietonami
- 73 | Stopklatka
- 74 | Dziennik Jerzego Pilcha
- 70, 72 | Raczkowski



Komentarz Katarzyny Janowskiej

Wawel zostawmy historii Po raz pierwszy w Polsce po 1989 roku zginął urzędujący prezydent. To moment, żeby zdecydować, gdzie powinni leżeć mężowie stanu. Zdecydujemy o tym z rozmysłem i powagą, żeby w przyszłości nie dzielić społeczeństwa przeżywającego chwilę żałobnej wspólnoty

PRZEKRÓJ PROPONUJE BUDOWĘ PANTEONU, W KTÓRYM MOGLIBY spoczywać polscy prezydenci – pisałam na stronie internetowej tygodnika kilka dni temu. Po uroczystościach pogrzebowych i zakończeniu żałoby wracam do propozycji przekonana, że to najlepsze rozwiązanie, które w przyszłości uchroni nas przed gorszącymi sporami, jakich byliśmy świadkami w zeszłym tygodniu.

WBREW OCZEKIWIANIOM KARDYNAŁA STANISŁAWA DZIWISZA, KTÓRY wyraził zgodę, a być może nawet zaproponował Wawel jako miejsce pochówku pary prezydenckiej, symboliczne wzgórze nie połączyło Polaków. Przeciwnie. Rów podziałów głęboko wpisał się w społeczną świadomość. Nastroj powagi, wspólnego przeżywania tragedii przysnął w jednej chwili.

Szansa na moment wspólnej narodowej zadumy została zaprzepaszczone. Podkreślam: na moment, bo z zajadłości tekstów i telewizyjnych wypowiedzi niektórych publicystów i osób publicznych, które przypisały sobie prawo decydowania, kto może, a kto absolutnie nie, oplakiwać zmarłą tragicznie parę prezydencką, wynikało, że jak tylko uchyną żałobne dzwony, jazgot wróci ze zdwojoną siłą. A przecież fakt, że za życia było się z kimś w politycznym sporze, nie odbiera prawa do ciepłego pożegnania człowieka. Przecież oprócz tego, że żegnaliśmy polityków, urzędników, ludzi na służbie, przede wszystkim żegnaliśmy pojedyncze, niepowtarzalne, nieporównywalne z nikim osoby. Już nigdy nikt taki się nie pojawi. Na tym polega nieodwracalna klęska śmierci.

DLA MNIE OSOBIŚCIE NAJBARDZIEJ WSTYDLIWY SPÓR OSTATNICH DNI TO spekulacje na temat tego, kto zaproponował, aby parę prezydencką pochować w przedsionku krypty marszałka Józefa Piłsudskiego. Uważałam – i nadal tak myślę – że z wielu powodów była to decyzja nietrafna, a na pewno przedwczesna. Ale kiedy wiadomo było, że nie można jej zmienić, zamiliśmy ze względu na szacunek dla zmarłych. Z tego samego względu autor tej decyzji powinien był jasno powiedzieć, że to on właśnie ją podjął. Choć pewnie trudno przyznać się do autorstwa inicjatywy, której skutki na długo zaciążą na debacie publicznej w Polsce.

Wszystko wskazuje na to, że zbliżająca się kampania prezydencka nie będzie kampanią cisy, jak liczyliśmy jeszcze tydzień temu. Będzie morderczą walką, w której wykorzystywane będą rozhuśtane w czasie żałoby emocje, narodowe symbole, patriotyczna retoryka.

PRZEZ CAŁY UBIEGŁY TYDZIEŃ BYLIŚMY NARODEM PRZEŻYWAJĄCYM żałobę w ustalony od wieków rytualny sposób. Kwiaty, znicze, potrzeba wspólnoty, podniosła atmosfera dopełniały obrazu zapisanego w naszym narodowym genotypie. Dziś budzimy się jako obywatele kraju, który przeżył tragedię. Ale z tego doświadczenia jako obywatele wla-

śnie powinniśmy wyciągnąć wnioski. Nie chciałabym już więcej przeżywać gorszących sporów wokół pochówku zasłużonych dla Polski ludzi, wysłuchiwać kłótni o to, kto jest, a kto nie jest prawdziwym Polakiem, prawdziwym katolikiem, jak to było przy okazji pogrzebu Czesława Miłosza. Wówczas rozstrzygający okazał się głos spowiednika poety, który by uspokoić antymiłoszowe nastroje, oświadczył, że autor „Traktatu teologicznego” odszedł opatrzoną świętymi sakramentami.

Żyjemy w XXI wieku, w państwie – przynajmniej w teorii – światopoglądowo neutralnym. Takie państwo powinno mieć świecki panteon, w którym chowa się prezydentów, ludzi wybitnych, zasłużonych dla polskiej kultury.

Ta idea nie jest nowa. Kołaczę się w polskiej świadomości od końca XVIII wieku, czyli od chwili rodzenia się nowoczesnego państwa. Po uchwaleniu Konstytucji 3 maja posłowie Sejmu Czteroletniego podjęli decyzję o budowie gmachu upamiętniającego uchwalenie ustawy zasadniczej. Gmach miał być świecki, ulokowany na terenie dzisiejszego Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Rozpisano konkurs. Zwycięski projekt Jakuba Kubickiego publikujemy na okładce „Przekroju”. Gmach nigdy nie powstał. Piszemy o tym w tekście „Mądrzej nad tymi trumnami” na stronie 20. Do tamtej idei nawiązują budowniczości Świątyni Opatrzności Bożej, ale upieram się, że panteon, mimo że jest to pod prąd polskiej tradycji, jednak powinien być ponadwyznaniowy.

Powinien powstać w Warszawie, gdzie prezydenci sprawują swój urząd. Gdzie zresztą naturalnym miejscem pochówku osób zasłużonych jest cmentarz Powązkowski. Mógłby również stanąć w Krakowie, naprzeciw Wawelu i Skalki, na drugim brzegu Wisły. Poprzez bliskość nawiązywałby do tradycji wawelskiej nekropolii, ale zarazem nie naruszałby historycznego dziedzictwa i byłby miejscem pasującym do demokratycznego państwa. Głowy państwa chowane byłyby tam z mocy prawa (o ile takie zostanie uchwalone), chyba że w testamencie wyraziłyby wolę spoczynku na przykład w rodzinnym grobowcu.

ZACZYTYWAŁAM SIĘ WIERSZAMI CZESŁAWA MIŁOSZA. PODZIWIŁAM GO jako intelektualistę. Lubiłam go jako człowieka. Cieszyłam się, że został pochowany w Krakowie, że batalia o miejsce na Skałce została wygrana. I ani razu od czasu pogrzebu poety nie byłam na jego grobie. Ilekroć we Wszystkich Świętych chciałam iść zapalić świecę, było już za późno. Klasztor zamknięty. I smutno mi, kiedy pomyślę o córce państwa Kaczyńskich, która by odwiedzić grób najbliższych, będzie musiała przejechać całą Polskę, a potem spotkać się z nimi w tłumie turystów, dla których wizyta w krypcie marszałka Piłsudskiego będzie jedną z wielu atrakcji tego dnia. Może właśnie to był najważniejszy powód, dla którego warto było poczekać z decyzją o pochówku na Wawelu. Naród pochował parę prezydencką, rodzina najdroższych im ludzi.

przekroj.pl

CZYLI SPIS TREŚCI INTERNETU

Maria i Lech Kaczyńscy spoczęli na Wawelu. Decyzja o pochówku pary prezydenckiej w tym miejscu otworzyła kolejny front w wojnie polsko-polskiej. Na naszym profilu w portalu społecznościowym Facebook zapytaliśmy Was, co o tym sądzicie. Poniżej niektóre z Waszych opinii.

Magdalena Frączek

W sobotę, kilka godzin po tragedii, nogi same poniosły mnie pod Wawel. Ten szczególny rodzaj cisy i skupienie malujące się na twarzach ludzi zgromadzonych na mszy żałobnej pozwoliły mi jakoś ośwoić tę niepojętą dla mnie śmierć. Byłam dumna z naszego narodu, że w tak ważnej chwili potrafimy ponad podziałami pochylić się nad tą tragedią, ale też miałam świadomość, że – jak to u nas bywa – zaduma i pojednanie nie będą trwać wiecznie. Nie sądziłam jednak, że zaczniemy skakać sobie do gardeł, nim nad poległymi zamknie się grób. Cała ta awantura o miejsce pochówku odebrała znaczenie i powagę sytuacji, którą wspólnie przeżywamy.

Nie jestem zwolenniczką pochówku pary prezydenckiej na Wawelu z wielu powodów, poruszanych już między innymi przez profesora A. Romanowskiego. Nie będę się spierać o to, czy świętej pamięci prezydent i jego małżonka są godni spocząć w polskim sanktuarium narodowym, czy może lepiej pochować ich na Powązkach lub w warszawskiej archikatedrze, gdzie spoczywają pozostali polscy prezydenci, w tym również ten, który zginął na służbie – Narutowicz. Nie będę wytykać krakowianom jeszcze świeżej antyprezydenckiej kampanii przeciw nadaniu świętej pamięci Lechowi Kaczyńskiemu honorowego obywatelstwa tegoż miasta. Nie będę przywoływać żalu warszawiaków, którzy chcieliby mieć swojego prezydenta u siebie, blisko. Nie to jest tu najważniejsze. Abstrahując od polityki i sporów krakowsko-warszawskich, chciałam zapytać, czy ktoś pomyślał w tej „batalii o mogiłę” o córce pierwszego pary?

Wszyscy roszczą sobie prawo do decydowania o losie świętej pamięci państwa Kaczyńskich

KOMENTARZE INTERNAUTÓW

– bo prezydent, bo naród... Ale ten naród, który dziś domaga się pochówku na Wawelu (lub protestuje przeciw niemu), za miesiąc, dwa przestanie się interesować tym, gdzie spoczywa prezydent. Komentarze uchyną, naród wróci do codzienności i choć to codzienne życie ulegnie jakiejś zmianie, nie ludźmy się, że żałobą i zadumą nad śmiercią polskiej elity będziemy żyć długie miesiące.

Natomiast pani Marta – kiedy już opadną te wielkie emocje, kiedy przyjdzie czas na oswojenie się ze śmiercią rodziców, może poczuć wielki żal do tego, kto podjął decyzję o zamknięciu jej najbliższych w wawelskiej krypcie. W beznadziejny sposób ta młoda kobieta została pozbawiona możliwości spotkania się z rodzicami, zapalenia znicza na ich grobowcu, modlitwy, zadumy w ciszy i spokoju cmentarnej alei. Atmosfera cmentarza sprzyja ukonieniu bólu powodowanego stratą bliskiej osoby, a czemu

odwiedzania grobowca tych, którzy wydali je na świat, to jest to dla mnie, mówiąc krótko, lądactwo.

Magda Goetz

Uważam, że decyzja jest, niestety, nietrafna i w dużej części polityczna. Sądzę, że pograżoną w smutku rodzinę pary prezydenckiej wmanewrowali w to doradcy o nieczystych intencjach węszyć szansę na polityczne wykorzystanie tragedii. Podkreślam jednak – nie winię rodziny, również nie winię Jarosława Kaczyńskiego, który w tym momencie, jak sądzę, jest przede wszystkim pograżonym w żałobie człowiekiem, nie politykiem. Decyzja wydaje mi się przedwczesna i nienaturalna. Jako oczywisty nasuwa się pomysł pochówku prezydenta w stolicy. Z drugiej strony choć uważam się za patriotkę i symbole polskości mają dla mnie znaczenie, choć rozumiem protestujących, sama nie biorę udziału w proteście przeciw pochowaniu



sprzyja atmosfera zamkniętej krypty wawelskiej z tłumem turystów za plecami? Czy każdorazowo, kiedy pani Marta będzie przejeżdżała całą Polskę, by odwiedzić grobowiec rodziców, ma bić się o miejsce przy sarkofagu z tłumem rozentuzjuszonych turystów? Jako prezydent Lech Kaczyński był prezydentem wszystkich Polaków (choć i tu rodzą się kontrowersje, czy aby na pewno wszystkich). Bezpieczniej więc mówić, że był prezydentem Polski, ale jako człowiek był przede wszystkim ojcem i w tym ludzkim wymiarze powinniśmy rozpatrywać ewentualne miejsca pochówku. Polska z żałoby wcześniej czy później się podniesie, zapomni – córka nie zapomni nigdy. Bo kiedy nagle tracisz się dwoje rodziców, a ktoś z powodu prostoty ambicji, niezrozumiałości dla mnie zatwardziałości serca pozbawia jedyne dziecko możliwości

pary prezydenckiej na Wawelu. Uważam ten pomysł za niewłaściwy, ale mam też opór przed przyłączaniem się do jakichkolwiek protestów w tych szczególnych dniach. Być może pomysłodawcy właśnie na to liczyli – że z uwagi na atmosferę nie będziemy protestować. A tych, którzy protestują, można będzie zaklasyfikować jako niepatriotów (czego już dokonał minister Duda). Nie chcę po prostu być częścią tej awantury. Kwestia Wawelu niemal zniszczyła moje nadzieje na porozumienie, na solidarność Polaków w tych trudnych chwilach. Nie zginął przecież tylko Lech Kaczyński, zginęło wiele osób ważnych dla bardzo różnych środowisk. Poza tym wcale nie trzeba być zwolennikiem Lecha Kaczyńskiego jako prezydenta, aby przeżywać żal po jego stracie jako człowieka... Gdybym miała zdecydowanie ustawić się po k-

rejs stronie, skłaniałabym się raczej ku przeciwnikom pochówku prezydenckiej pary na Wawelu. Ale nie muszę tego robić. Nie chcę się ustawiać po którejśkolwiek stronie, nie chcę być kolejnym elementem w wewnątrznarodowej awanturze w chwili, kiedy powinniśmy współdziałać. Zapamiętam jednak mój żal do tych, którzy tę kłótnię wywołali, którzy roszczą sobie prawo do decydowania o tym, kto jest patriotą, i którzy próbują zawłaszczyc tę tragedię dla siebie.

Sebastian Dzwonnik

Nie rozumiem poniekąd argumentu przeciwników brzmiejącego „obok królów”. Przecież na Wawelu pochowany jest na przykład Korybut Wiśniowiecki. Czy on czymkolwiek się zasłużył? W dodatku nie obowiązuje u nas monarchia, mamy natomiast prezydenta, który pełniąc swoje obowiązki, zginął śmiercią tragiczną wraz z małżonką. Dlaczego taki sprzeciw wobec pochówku na Wawelu? Kontrowersje wzbudził pochówek Piłsudskiego. Sikorski również miał swoje minusy. W dodatku powaga sytuacji, urzędu prezydenta oraz wszystkich osób, które zginęły, jest silnym kontrapunktem dla manifestowania i sprzecznania się, czy katedra na Wawelu, czy katedra na Świętojańskiej w Warszawie. Owszem, to dobrze, że są takie głosy. Żyjemy w demokratycznym państwie, ale wypadałoby zachować jakąś godność osobistą. Zauważyłem, że spora część osób protestujących, zapisujących się do facebookowych grup sprzeciwu używa zamiennie dwóch argumentów: „obok królów” i „niczym nie zasłużył”. Ja nigdy nie byłem zwolennikiem L. Kaczyńskiego. Pamiętam jego prezydentowanie w Warszawie, kiedy wszystkim dał się odczuć jako uparty konserwatysta. Również jako pierwsza osoba w państwie nie zmienił swoich poglądów – blokował, wetował, nie podpisywał. Ale uważam, że sprawował ten urząd z należytą mu godnością. Można by długo się spierać z poglądami Kaczyńskiego, z podejmowanymi przezeń decyzjami. Ale, niestety, nie jest to już możliwe. Więc może schowajmy swoją butność, agresję i polityczną niechęć. Pokażmy, że umiemy godnie pożegnać człowieka, który sprawował urząd Prezydenta RP, w chwili gdy oczy całego świata zwrócone są na Polskę. Historia sama osądzi ten wybór.

PRZEKRÓJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile
Olgia Woźniak (szef), Milena Rachid, Chehab, Piotr Stanisławski; stale współpracują: Irena Ciesielska, Piotr Kossobudzki
PRACOWNIA GRAFICZNA: Władysław Buchner (wicedyr. art.), Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski
stale współpracuje: Kuba Dąbrowski **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Knap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Cichoński **KOREKTA:** Dorota Dul, Tatiana Hardej **REDAKTOR TECHNICZNY:** Alan Jawor **ARCHIWUM:** Dominika Bok
ADRES REDAKCJI: UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNA: Katarzyna Janowska **ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ:** Marek Zajac **DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** Anna Myślik **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gędziorowska, Piotr Witek **SEKRETARIAT:** Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33 **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubnycht, Bartek Winczewski **KRAJ:** kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wierzeźnik (redaktorzy), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Ryciak, Anna Szulc; stale współpracują: Piotr Najszub, Agata Jankowska **ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostyrzyński (redaktor), Maciej Jarkowicz, Joanna Woźniczko-Czeczott **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl
ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracują: Ola Salwa, Kaliber 45
FOTODZIENISZ: foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Kretzel, Marek Szczepaniak, **ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ARTYKULOWY:** artykulow@przekroj.pl, **WYDZIAŁ GRAFICZNY:** wydzialgraficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTOGRAFICZNY:** wydzialfotograficzny@przekroj.pl, **WYDZIAŁ DZIENISZ:** dzienisz@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRAJ:** kraj@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KULTURA:** kultura@przekroj.pl, **WYDZIAŁ CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ ROZMAITOŚCI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, **WYDZIAŁ FOTODZIENISZ:** foto@przekroj.pl, **WYDZIA**



Lech Aleksander
Kaczyński
Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej
Próbki Języka Długo

Maria Helena
Mackiewicz-Kaczyńska
Małżonka Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Próbki Języka Długo

Ostatnia droga

Msza pogrzebowa w intencji
Marii i Lecha Kaczyńskich odbyła się
w Bazylice Mariackiej. Prezydencka para
spoczęła w krypcie pod Wieżą Srebrnych
Dzwonów na Wawelu



Pył powstrzymał delegacje rządowe

— Urszula Dąbrowska —

Choć składa się z drobin o mikroskopijnej wielkości, spowodował paraliż na światową skalę

GIGANTYCZNA CHMURA WULKANICZNEGO popiołu uniemożliwiła ponad 30 delegacjom udział w pogrzebie pary prezydenckiej. Do Krakowa nie przylecieli między innymi prezydent USA Barack Obama, kanclerz Niemiec Angela Merkel, premierzy Włoch Silvio Berlusconi i Hiszpanii José Luis Zapatero oraz prezydent Francji Nicolas Sarkozy.

Islandia ma pecha – leży dokładnie na granicy starcia dwóch tektonicznych gigantów. Płyty eurazjatycka i północnoamerykańska stale na siebie nacierają, a efektem ich ruchu są zarówno malownicze gejzery, jak i niebezpieczne erupcje wulkaniczne. Tym razem islandzki pech objął zasięgiem całą Europę. Środowa erupcja wulkanu Eyjafjallajökull wyrzuciła do atmosfery setki tysięcy ton gazów i pyłów. Energia wybuchu była tak duża, że zanieczyszczenia dotarły na wysokość 11 kilometrów.

Te najtwardsze, jak maleńkie kamyczki, popiół skalny i starta na proch magma, przemieszczają się wraz z wiatrami tak wysoko, że pozostają niewidoczne z ziemi, ale jednocześnie stanowią ogromne zagrożenie dla samolotów. Nie co dzień zdarza się, by Wielka Brytania, Norwegia, Szwecja, Finlandia i wiele innych państw zawieszały ruch lotniczy na kilka dni. Paraliż komunikacyjny ogarniający całą Europę to gigantyczne straty finansowe nie tylko dla linii lotniczych, ale też dla całej gospodarki.

Dlaczego wstrzymanie lotów było konieczne? Pierwszy problem to zła widoczność. Ostry pył może zeszlifować szyby, czyniąc je zupełnie matowymi. Równocześnie pod wpływem

ostrzych drobin pumeksu głębokiej mechanicznej erozji ulegają powłoki samolotu. Kilkadziesiąt sekund w chmurze pyłu wulkanicznego to jak ostrzeliwanie samochodu piaskiem wyrzucanym z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. W takiej chmurze pojawiają się również wyładowania elektrostatyczne, które mogą zagrozić pokładowej elektronice.

Jednak pył jest najgroźniejszy dla silników. Zawarte w nim drobiny skalne dostają się wraz z powietrzem do komory spalania paliwa. W temperaturze 1,4 tysiąca stopni Celsjusza, która panuje w silniku, topią się i zamieniają w magmę oblepiającą wszystkie metalowe elementy. Skalna skorupa może unieruchomić łopatkę turbiny i zatkać dysze paliwowe. W dodatku pył wnika w najmniejsze szczeliny maszyny i może uszkodzić systemy sterowania oraz urządzenia nawigacyjne. Co gorsza, nawet całkowicie sprawne radary samolotów, choć wykrywają inne zagrożenia, są ślepe na popiół wulkaniczny. Dlaczego? Bo chmury pyłu są suche, a radary pogodowe pracują na częstotliwości pozwalającej wykryć w powietrzu skroploną wodę.

Lot w chmurze pyłu jest śmiertelnie niebezpieczny – i nie jest to jedynie wniosek wypływający z teoretycznych rozważań. Ocenia się, że od 1970 roku ponad sto rejsowych samolotów miało awarię po napotkaniu chmury popiołu wulkanicznego. W 1982 roku brytyjski boeing 747 trafił na taką przeszkodę w drodze z Kuala Lumpur w Malezji do australijskiego Perth. Na wysokości 11 kilometrów w okolicach Dżakarty (Indonezja) wszystkie cztery silniki przestały pracować. Wążąca

400 ton maszyna rozpoczęła lot ślizgowy. Po czterech minutach na wysokości 3650 metrów, gdy schłodzona magma się pokruszyła, załoga zdołała ponownie uruchomić silniki i wylądować awaryjnie dzięki niewielkiemu fragmentowi szyby, który zachował przejrzystość. Dopiero po lądowaniu ustalono, że przyczyną awarii okazał się pył z czynnego na Jawie wulkanu Galunggung. Od tamtego wydarzenia rozpoczęto wnikliwą obserwację stref aktywności wulkanicznej i zorganizowano system ostrzegania o erupcjach. Ale niebezpieczne chmury niesione przez wiatry mogą rozprzestrzenić się właściwie po całym globie.

ZAGROŻENIE DLA LOTNICTWA TO JEDNAK tylko część wulkanicznego problemu. Opadający teraz pył może być niebezpieczny dla tych, którzy mają problemy z układem oddechowym: astmatyków, chorych na bronchit lub rozedmę płuc. Lekarze radzą im w najbliższych dniach ograniczyć spacerowanie na wolnym powietrzu i stać przy sobie leki. Nawet ludzie zdrowi mogą przez jakiś czas mieć podrażnione oczy, ból gardła i katar.

Wulkaniczne problemy potrwają około tygodnia. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że prawdziwe kłopoty mogą dopiero nadejść. W dowolnej chwili może dać znać o sobie największy i najgroźniejszy islandzki wulkan Katla. Jego aktywność może być tak silna, że bezpośrednio zagrozi Wielkiej Brytanii, a nawet innym krajom europejskim. Na szczęście na razie są to jedynie katastroficzne, ale niepotwierdzone ostrzeżenia geologów.

Ta wielka ciemna chmura to efekt erupcji wulkanu Eyjafjallajökull na Islandii. Zanieczyszczenia dotarły na wysokość 11 kilometrów

FOT. STANISŁAW ROZPEDZIK/PAP

Miedwiediew doleciał

Składy kilku delegacji wykraczać miały poza dyplomatyczną powinność. Niestety, właśnie te wizyty nie doszły do skutku

GŁÓŚCIEM, NA KTÓREGO SZCZEGÓLNIE czekali pod Wawelem, był prezydent USA Barack Obama. Nic dziwnego – zwyczajowo w takich sytuacjach obecny jest wiceprezydent lub sekretarz stanu. Prezydent przylatuje tylko wtedy, gdy uroczystość dotyczy osoby wyjątkowo zasłużonej dla Stanów Zjednoczonych. Prezydent Lech Kaczyński, choć proamerykański, taką postacią nie był, w dodatku obaj przywódcy widzieli się zaledwie trzy razy podczas spotkań wielostronnych. Spekulowano więc, że swą wizytą Obama chce zatrzeć fatalne wrażenie, jakie wywołało w naszym kraju ogłoszenie decyzji o rezygnacji z budowy elementów tarczy akurata w dniu 17 września 2009 roku – w 70. rocznicę sowieckiej inwazji na Rzeczpospolitą.

Wbrew zapowiedziom nie doszło też do wspólnej wizyty kanclerz Niemiec Angeli Merkel i prezydenta tego kraju Horsta Köhlera. Dla zachowania dyplomatycznych standardów wystarczyłby przyjazd jednej z tych osób, dlatego obecność obu miała zdaniem komentatorów pokazać, że mimo chłodnych stosunków, jakie łączyły Lecha Kaczyńskiego z naszym zachodnim sąsiadem, Niemcy dążą do emocjonalnego i politycznego zbliżenia z Polską. Ostatecznie do Krakowa przylecieli śmigłowcami prezydent Horst Köhler i szef MSZ Guido Westerwelle.

W Krakowie miała również się znaleźć delegacja Unii Europejskiej – pierwszy raz w historii na tak wy-

sokim szczeblu. Nie przyleciał jednak zapowiadany Herman van Rompuy, przewodniczący Rady Europejskiej. Wizytę w Krakowie odwołał też José Manuel Barroso, szef Komisji Europejskiej. Na pogrzeb dotarł jedynie Jerzy Buzek, przewodniczący Parlamentu Europejskiego. Dodajmy, że szefowie unijnych struktur bardzo rzadko biorą udział w pogrzebach polityków (na pogrzebie Jana Pawła II był Barroso), regułą jest

ca. To pierwsza wizyta Miedwiediewa w Polsce. Wcześniej dwukrotnie nie przyjął zaproszenia – nie pojawił się na organizowanym przez prezydenta Balu Niepodległości w Teatrze Wielkim w 2008 roku, nie było go też na tegorocznych obchodach rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau. Spekuluje się, że nie przyjeżdżał, bo pamiętał o gwałtownej reakcji Lecha Kaczyńskiego na interwencję w Gruzji w sierpniu 2008 roku, a tak-



Prezydent Niemiec Horst Köhler do Krakowa przyleciał śmigłowcem

bowiem, że uczestniczą w nich przedstawiciele poszczególnych państw. Po odwołaniu obecności także przez prezydenta Francji Nicolasa Sarkozyego oraz następcę brytyjskiego tronu, księcia Walii Karola, jedynym przywódcą światowym, który znalazł się w Krakowie, był prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew. Jego obecność dla polskiej polityki zagranicznej może okazać się jednak najbardziej znaczą-

ce o jego sprzeciwie wobec rosyjsko-niemieckiego Gazociągu Północnego. Premier Władimir Putin nie wspominał o przylocie na pogrzeb prezydenta RP, ale obecność Dmitrija Miedwiediewa spełniła wszystkie wymagania protokołu dyplomatycznego. Ponadto Putin stoi na czele rosyjskiej komisji, która cały czas bada przyczyny katastrofy pod Smoleńskiem.

— rk, iggy, sylw, mac

NIE ODWOŁALI:

Albania – prezydent Bamir Topi, Armenia – przewodniczący parlamentu Abrahamyan Hovik, Azerbejdżan – premier Artur Rasizade, Białoruś – przewodniczący parlamentu Borys Batura, Czechy – prezydent Václav Klaus z małżonką, Gruzja – prezydent Micheil Saakaszwili z małżonką, Irak – minister przemysłu Fawzi Fransa Toma, Iran – wiceminister Republiki Islamu do spraw europejskich Ali Ahani, Kosovo – prezydent Fatmir Sejdiu, Litwa – prezydent Dalia Grybauskaitė, Łotwa – prezydent Valdis Zatlers z małżonką, Maroko – premier Abbas El Fassi, Mołdawia – pełniący obowiązki prezydent Mihai Ghimpu, Mongolia – wiceprzewodniczący Wielkiego Horalu Nyamaa Enkhbold, Niemcy – prezydent Horst Köhler z małżonką, Parlament Europejski – przewodniczący Jerzy Buzek, wiceprzewodnicząca Rodi Kratsa-Tsagaropoulou, Rosja – prezydent Dmitrij Miedwiediew, Rumunia – prezydent Traian Băsescu, Słowacja – prezydent Ivan Gašparovič z małżonką, premier Robert Fico, przewodniczący parlamentu Pavol Paška, Słowenia – prezydent Danilo Türk, Ukraina – prezydent Wiktor Janukowycz, minister spraw zagranicznych Kostiantyn Hryszczenko, Węgry – prezydent László Sólyom, premier Gordon Bajnai

ODWOŁALI:

Przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso, przewodniczący Rady Europejskiej Herman von Rompuy, sekretarz generalny NATO Anders Fogh Rasmussen, Afganistan – prezydent Hamid Karzaj, Algieria – sekretarz stanu Abdelaziz Belkhadem, Australia – gubernator generalna Quentin Bryce, Austria – prezydent Heinz

Fischer, Belgia – książę Filip, Bulgaria – prezydent Georgi Parwanov, Chiny – minister transportu Li Shenglin, Chorwacja – prezydent Ivo Josipović, Cypr – prezydent Demetris Christofias, Dania – królowa Małgorzata i minister SZ Lene Espersen, Egipt – minister do spraw współpracy międzynarodowej Aboulanga Fayza, Estonia – prezydent Toomas Ilves i premier Andrus Ansip, Finlandia – prezydent Tarja

Halonen, Francja – prezydent Nicolas Sarkozy i minister SZ Bernard Kouchner, Grecja – prezydent Geórgios Papandréou, Hiszpania – król Juan Carlos z małżonką, premier José Luis Zapatero, Holandia – premier Jan Peter Balkenende, Indie – minister SZ S.M. Krishna, Irlandia – prezydent Mary McAleese, Japonia – przewodniczący parlamentu Eda Satsuki, Kanada – premier Stephen Harper, Kazachstan

– przewodniczący parlamentu Ural Muchamedżanow, Korea Południowa – premier Chung Unchan, Kuwejt – wysłannik emira, Liechtenstein – książę Alois, Luksemburg – wielki książę Henryk, Macedonia – prezydent Gorge Iwanow, Meksyk – minister SZ Patricia Espinoza Cantalleno, Nigeria – minister SZ Odein Ajumogobia, Norwegia – król Harald V oraz minister SZ Jonas Gahr Store, Nowa

Zelandia – gubernator generalny Anand Satyanand, Monako – książę Albert II, Pakistan – szef MON Ahmad Chaudhry Mukhtar, Serbia – minister SZ Vuk Jeremić, Szwecja – król Karol XVI Gustaw oraz minister SZ Carl Bildt, Stany Zjednoczone – prezydent Barack Obama, Turcja – prezydent Abdullah Gül, Wielka Brytania – książę Walii Karol, Włochy – premier Silvio Berlusconi.

— Renata Kim, Agata Jankowska, Sylwia Piechowska, Igor Ryciak —

Im wszystkim należy się hołd

Miałem takie głupie przekonanie, że prezydent jest zawsze, że nie może umrzeć – wyznał nam jeden z harcerzy pomagających żałobnikom

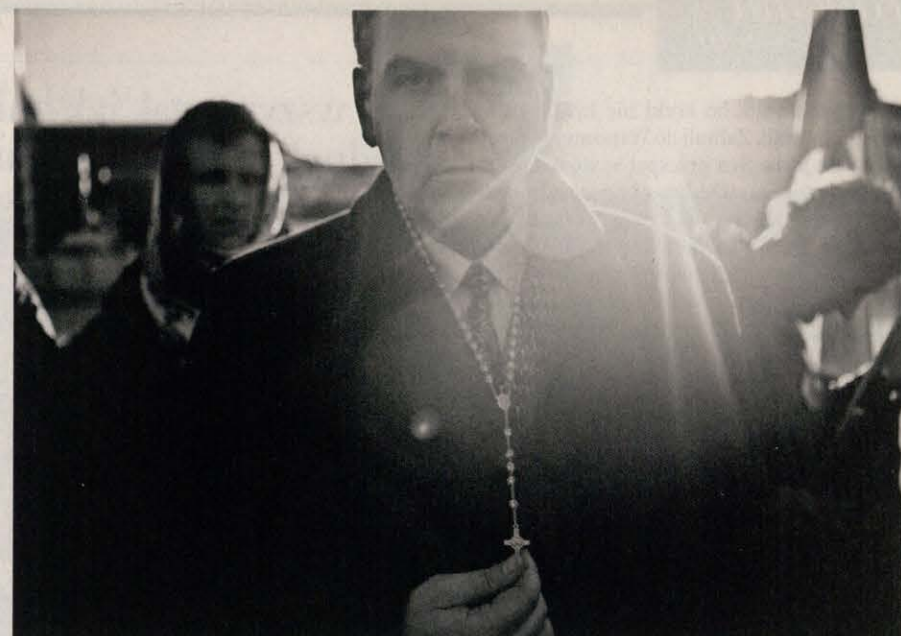
PRZEZ MINIONE DNI TYSIĄCE RAZY POWTARZANO, że Polacy chcą być razem. Albo że chcą być tu, gdzie dzieje się historia – przed Pałacem Prezydenckim, na placu Piłsudskiego, wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, którym w kondukcie przewieziono trumny Lecha i Marii Kaczyńskich. Ale co to dokładnie znaczyło być razem? Albo być tu, gdzie dzieje się historia? Dlaczego tak dużo ludzi przez ostatni tydzień gromadziło się w miejscach żałoby. Odpowiedzi jest wiele.

• **Bo nie rozumiem Polaków.** Przy rondzie de Gaulle'a zatrzymali się dwaj motocykliści z Lublina. Skórzane spodnie, kurtki nabijane ćwiekami, na piersiach białe-czerwone naklej-

ki przepasane kirem. Decyzję o przyjeździe do Warszawy na sobotnie uroczystości podjęli w nocy. Nagle poczuli, że muszą. – Nie umiem ocenić, jakim prezydentem był Lech Kaczyński. I jest mi z tym źle – mówi Rafał, 34-letni adwokat. – Kiedyś zgarbiony mruk, dziś uśmiecha się do mnie z telewizyjnego ekranu życzliwy i ciepły. U jego boku wczoraj stała kobieta, która prowokowała do żartów reklamówką wnoszoną do samolotu, a dziś Maria Kaczyńska jest symbolem miłości do męża, uosobieniem spokoju, skromności i klasy. I nie mogę zrozumieć rodaków, którzy wczoraj lby politykom chcieli urywać, a dziś popadają w masową histerię, nazywając

zryw zjednoczeniem. A potem w jednej chwili znów stają przeciw sobie i skaczą sobie do gardeł, bo ktoś chce na Wawel, a ktoś nie chce. Ale to nasza polska histeria i jestem jej częścią. Dlatego przyjechałem do Warszawy. Jedno jest pewne i to rozumiem – należy się hołd wszystkim tym, którzy weszli na pokład samolotu lecącego na uroczystości w Katyniu.

• **Bo ja też mogę umrzeć.** Punkt informacyjny na rogu Karowej i Krakowskiego Przedmieścia, przed hotelem Bristol, zorganizowała niezależna grupa harcerzy z Warszawy. 14-letni Staś Frejłak z dwoma kolegami tłumaczy przyjezdnym, jak dojść na plac Piłsudskiego, rozdaje mapki. – Jest mi dobrze, gdy pomagam ludziom – mówi. Śmierć Lecha Kaczyńskiego była dla niego szokiem. – Miałem takie głupie przekonanie, że prezydent będzie zawsze, że nie może umrzeć. Dlatego kiedy usłyszałem, że odszedł, było mi ciężko. Nie płaka-



Świat runął nam po raz drugi w tym samym miejscu świata. Trudno o bardziej dramatyczny symbol ciągłości polskich losów

MARSZAŁEK SEJMU BRONISŁAW KOMOROWSKI

łem, ale czułem niepokój. Bo jeśli może umrzeć ktoś, kto jest tak ważny jak prezydent, to znaczy, że ja też mogę umrzeć. Każdy może odejść – martwi się Staś Frejłak.

• **Bo to był prezydent.** 20-letni Jakub Nalepa z Dąbrowy Górniczej nigdy nie należał do zwolenników prezydenta Lecha Kaczyńskiego, ale jego śmierć bardzo go dotknęła. – Jako prezydentowi należał mu się hołd i wszelkie honory. Dziś powinniśmy zapomnieć o frakcjach i podziałach. Powinniśmy być tu razem, bez względu na poglądy polityczne – przekonuje. Jakub jest zdekla-

rowanym ateistą. Przyszedł na uroczystości żałobne na placu Piłsudskiego, bo wierzy, że w ten sposób pokaże, jak młodzi ludzie biorą udział w życiu kraju. – Łatwo narzekać na Polskę, mówić, że tu nic nie jest normalne. A przecież to nasze pokolenie ją buduje. Nie lubię słuchać, że jesteśmy zbyt młodzi na poważne deklaracje. A kiedy jak nie teraz mam kształtować światopogląd? Kiedy mam mówić o ideałach?

• **Bo warto płakać razem z innymi.** Agnieszka i Jacek Warchulscy z Torunia wyjechali z domu o 7 rano. Przed godziną 10 stali już na placu →

100 tysięcy Polaków pożegnało na placu Piłsudskiego w Warszawie 96 ofiar katastrofy



→ Piłsudskiego, bo korki nie były tak duże, jak się obawiali. Zabrali do Warszawy niespełna rocznego Jasia. Syn przespał w wózku uroczystość, ale to nic. – Kiedyś, gdy dorosnie, będzie mógł powiedzieć, że był tu w tym czasie, w tym miejscu – Jacek jest wzruszony. Chcieli przyjechać do Warszawy, bo ofiary tragedii były od lat obecne w ich życiu za pośrednictwem prasy i telewizji. – Dlatego chcemy tu, w Warszawie, opłakiwać ich razem z innymi. Tak naprawdę dopiero teraz przekonałam się, że to wszystko prawda, a nie jakiś koszmarny sen, z którego za chwilę się obudzę – mówi Agnieszka.

• **Bo był patriotą.** Daniela Jansen stoi przed teledyskiem, za którego pośrednictwem transmitowane są uroczystości żałobne. Placze. Na plac Piłsudskiego przyszła wprost z Pałacu Prezydenckiego. – W księdze kondolencyjnej napisałam, że bardzo żałuję, iż odszedł i nas osierocił – szlocha. 69-letnia Daniela mieszka w Warszawie z mężem Niemcem. Heinrich płakał po Lechu Kaczyńskim tak samo jak żona. – Prezydent był wielkim patriotą – mężczyzna mówi po polsku z wyraźnym obcym akcentem. Łzy płyną mu po policzkach. – Miał rację, że upominał się, by Niemcy wypłaciły Polsce odszkodowania za straty wojenne. Miał rację, że mówił prawdę o krzywdach, jakich Polacy doznali z rąk Niemców. Zawsze upominał się o sprawiedliwość dla swojego kraju. Dzięki niemu kocham Polskę.

• **Bo trzeba podać sobie ręce.** Andrzej Lechów przyjechał z żoną i 15-letnim synem z Zielonej Góry. Jego 20-letnia córka Ewa studiuje w Warszawie. – To jest taki moment, kiedy trzeba podać sobie ręce, nie wstydzić się lez – mówi Ewa. – Wspólnie łatwiej uporać się z cierpieniem.

• **Bo to były piękne dni.** Mariusz Przybylski z warszawskiej Białoleki przyjechał na plac Piłsudskiego rowerem. W 10-kilometrowej trasie towarzyszył mu (na swoim rowerku) 8-letni syn Kacper. – Bardzo żałuję, że nie dałem rady pokłonić się przed trumną prezydenta. Miałem dużo pracy. Nie zawsze się z nim zgadzałem, ale był moim prezydentem. Jestem bardzo zbudowany tym, jak Polacy reagują na tragedię. To były piękne dni. Zdaliśmy egzamin jako naród – ocenia Mariusz.

• **Bo to obowiązek.** Ewie Łopacińskiej nie przeszkadza zimny wiatr szalejący nad placem Piłsudskiego. Ani to, że sprzed hotelu Victoria, gdzie stoi, nic nie widzi i niemal nic nie słyszy. – Mogłabym siedzieć wygodnie przed telewizorem, ale dopóki się ruszam, mam obowiązek tu być. Żyję, więc muszę pożegnać tych, którzy odeszli – tłumaczy. Ma zapalenie oskrzeli, bierze antybiotyki, ale nie dała się przekonać synowi, by zostać w domu. Zabrała ze sobą 8-letniego wnuka Wojtka. Przed chwilą go znalazła, bo na pół godziny zapodział się w tłumie. – Zginął nasz prezydent, a mama bardzo płakała – opowiada teraz chłopiec. – Od tej pory co wieczór modlimy się za wszystkich zmarłych. □

RADIO VOX FM Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 20 kwietnia o godz. 20.00

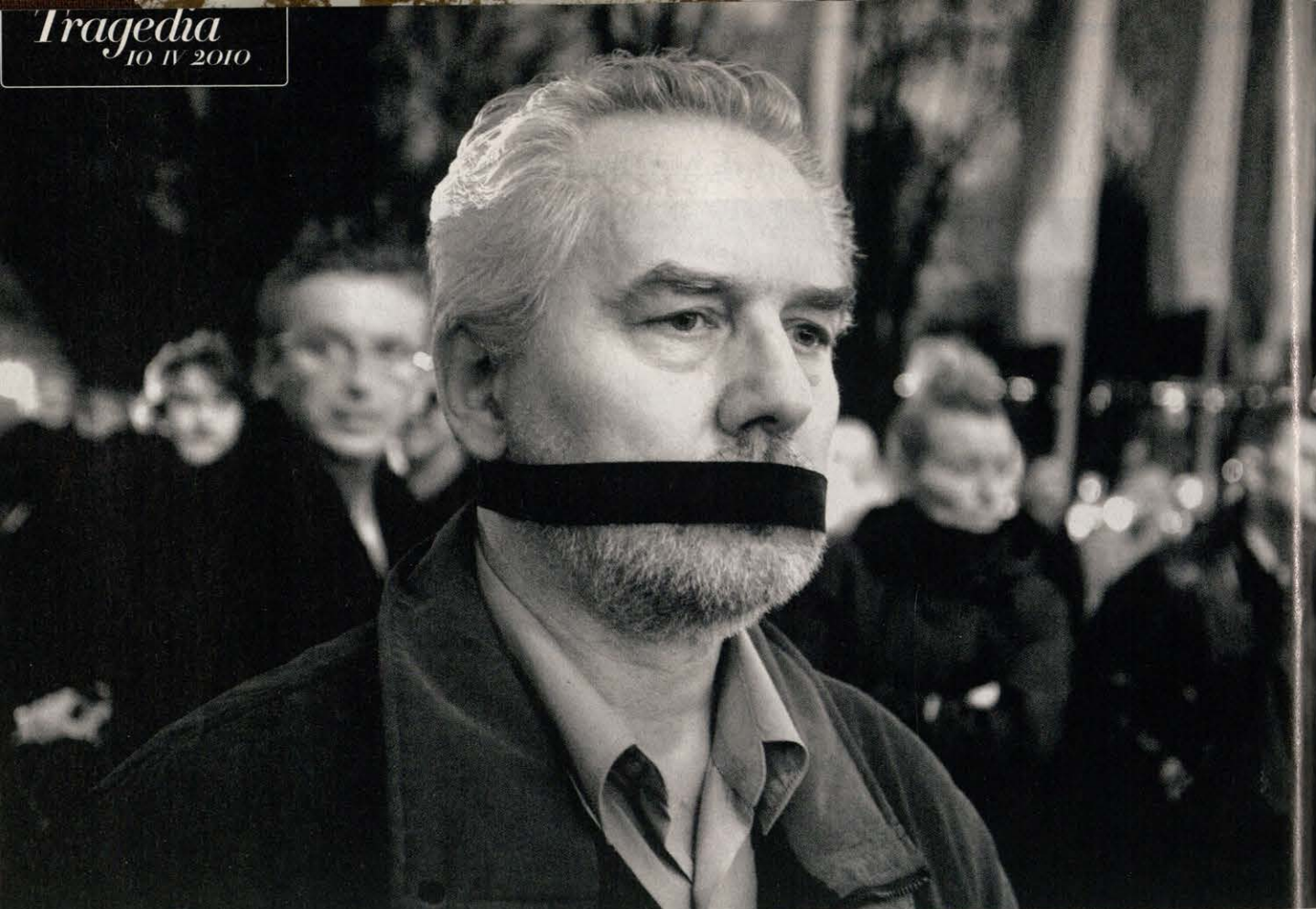
My wszyscy, tak jak oni na pokładzie tego samolotu, różnimy się zyciorysami, poglądami, wiekiem. Jednak najgłębszy sens wspólnoty, która rodzi się w takich chwilach, musi przetrwać w nas

PREMIER DONALD TUSK



Leszku, Leszku, słowa „patriotyzm”, „pamięć historyczna”, „polska tożsamość” nie były dla ciebie pustymi dźwiękami

SZEF GABINETU PREZYDENTA RP MACIEJ ŁOPIŃSKI



czwartek, trzeci dzień
manifestacji pod Pałacem
Kazimierzowskiem w Krakowie.
Wraz z przeciwnikami
ciała prezydenta
na Wawelu demonstrowali
w strajku głodowym



GOSPODARZ KATEDRY NA WAWELU UZNAŁ, ŻE POWINNI W NIEJ SPOCZAĆ LECH I KACZYŃSCY. TO MIEJSCE POCHÓWKU KOLEJNY RAZ PODZIELIŁO POLAKÓW

GRZEBANIE PO POLSKU

— tekst Anna Szulc, zdjęcia Bogdan Krężel —

PO KATASTROFIE POD SMOLEŃSKIEM UDAŁO NAM się przeżyć trzy dni wspólnego smutku i zadumy. Narodowe demony zrobiły sobie krótką przerwę. Zmartwychwstały czwartego dnia.

Pierwsze pogłoski pojawiły się we wtorek około południa: córka Marta i brat Jarosław postanowili, że Lech i Maria Kaczyńscy nie spoczną w Warszawie – ani na Powązkach, gdzie leżą ich krewni (między innymi ojciec tragicznie zmarłego prezydenta), ani w archikatedrze Świętego Jana, gdzie pochowano prezydentów II Rzeczypospolitej. Miejsmem pochówku ma być Wawel. Wiadomość potwierdził o godzinie 18 kardynał Stanisław Dziwisz jako biskup diecezjalny i główny gospodarz krakowskiej katedry. To z jego ust Polska usłyszała, że prezydent z żoną zostaną pochowani w krypcie pod Wieżą Srebrnych Dzwonów, w pobliżu sarkofagu marszałka Józefa Piłsudskiego (później okazało się, że będzie to przedsięwzięcie krytyczne). – Żeby tam spoczął razem z tymi, którzy się zasłużyli dla dobra naszej ojczyzny – oświadczył kardynał.

Po czym dodał, że w ten sposób rodzina, a także Polacy, chcieli Lecha Kaczyńskiego „zapisać wśród wybitnych bohaterów naszego narodu”. Na końcu metropolita wyraził nadzieję, że całe społeczeństwo przyjmie tę decyzję ze zrozumieniem.

Emocje góra

Problem w tym, że tym razem, w przeciwieństwie do przykładów z przeszłości, społeczeństwa zupełnie nie dopuszczono do głosu – za uważa Leszek Mazan, krakowski publicysta specjalizujący się w historii miasta. – Myślę, że gdyby dano ludziom szansę, choćby przez rozpisanie referendum, Polacy przy całym szacunku dla prezydenta zastanowiliby się poważnie, czy powinien spoczywać obok Łokietka, Kościuszki, Mickiewicza i Piłsudskiego.

Mazanowi, co ciekawe, wtóruje krakowski biskup Tadeusz Pieronek, nawiasem mówiąc, mieszkaniec Wawelu. – Podejmowanie decyzji, które skutkują dla wielu przyszłych po-

koleń, wymaga czasu i dystansu – uważa biskup. – Górę wzięły emocje – dodaje profesor Franciszek Ziejka, przewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa i był rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Być może będziemy musieli zadać sobie w przyszłości wiele trudnych pytań – dopowiada profesor Stanisław Waltoś, prawnik i dyrektor Collegium Maius.

My pytamy więc już teraz. Na przykład: skoro na Wawelu znalazło się miejsce dla prezydenta Lecha Kaczyńskiego, dlaczego do pochówku tam nie mieliby mieć prawa inni współcześni polscy prezydenci – Aleksander Kwaśniewski i Lech Wałęsa? A może będą mieli prawo, skoro kryptę krakowska kuria nazywa prezydencką?

Do dziś nie wiadomo, kto naprawdę pierwszy wpadł na pomysł, by dla Lecha i Marii Kaczyńskich wybrać Wawel. Kardynał mówi, że jedynie przystał na propozycję złożoną mu przez rodzinę zmarłego prezydenta, a rzecz ca-

ła miała działać się w porozumieniu z pełniącym obowiązki głowy państwa marszałkiem Sejmu Bronisławem Komorowskim. – To nie była moja decyzja – wielokrotnie podkreślał kardynał w środę. – Inicjatywa wyszła od rodziny i od wielu, wielu osób.

Jakich osób? Reprezentujących jakie interesy? Publiczne czy prywatne? W środę marszałek Komorowski oficjalnie zaprzeczył, że z decyzją o miejscu pochówku ma cokolwiek wspólnego. Innymi słowy, władze państwa nie uczestniczyły w rozmowach na ten temat. Bliscy współpracownicy Jarosława Kaczyńskiego zarzekali się (w większości anonimowo), że ani prezes PiS, ani jego bratanica nie brali Krakowa pod uwagę, dopóki do wawelskiego pochówku nie przekonali ich... hierarchowie kościelni. – To nie był pomysł Jarosława Kaczyńskiego – zaklina się już z imienia i nazwiska Andrzej Duda, minister w Kancelarii Prezydenta.

– Kuria nie miała wyjścia – usłyszałam od tak zwanych dobrze poinformowanych osób. – Kardynał Dziwisz znalazł się w sytuacji jak z greckiej tragedii. Cokolwiek by uczynił, musiał narazić się na kłopoty.

Wobec tylu tajemnic w czwartek rano w Krakowie zaczęła rozkwitać pierwsza miejska legenda związana z pochówkiem pary prezydenckiej. Zaczęto szeptać, że wszystkiemu z pewnością winny jest... Barack Obama. Otóż

prezydent USA miał zażądać, by pogrzeb Kaczyńskich odbył się w Krakowie, ponieważ – biorąc pod uwagę dobre wspomnienia jego poprzednika George’a W. Busha – miasto u stóp królewskiego wzgórza to jedyna polska metropolia, która zapewni bezpieczeństwo najwyższemu reprezentantom Ameryki.

Do autorstwa pomysłu z Wawelem przyznał się tymczasem Stanisław Markiewicz, krakowski fotograf i były opozycjonista. Na łamach lokalnej prasy stwierdził, że to on zaraził prezesa Jarosława Kaczyńskiego inicjatywą pochowania prezydenta i jego żony w podziemiach krakowskiej katedry (ale prezes PiS tych rewelacji nie potwierdza). Ideę wsparli między innymi były dyrektor krakowskiego magistratu Zbigniew Fijak: – Nie ma godniejszego miejsca dla człowieka, który jako głowa państwa zginął na służbie. I profesor Ryszard Terlecki, historyk PAN, poseł PiS: – Wawel jest miejscem, w którym spoczywają nie tylko królowie, ale też ludzie zasłużeni dla niepodległości Polski.

Bez względu na to, czyjego autorstwa była wawelska inicjatywa, w wielu środowiskach krakowskich przyjęto ją ze zdumieniem. Profesor Michał Rożek, historyk sztuki i autor wielu publikacji o dziejach miasta, w tym również poświęconych słynnym pochówkom, przypominał, w jaki sposób przedwojenny arcybiskup i książę Adam Stefan Sapieha dowiedział się, że naród chce, by na Wawelu spoczął Józef

Piłsudski. – Do Krakowa przybył adiutant Marszałka, generał Bolesław Wieniawa-Długosowski. Miał oficjalne pismo od prezydenta Polski. Głowa państwa przedstawiła w nim argumenty mające przekonać biskupa do wydania zgody na pochówek wodza – tłumaczy Rożek. Arcybiskup się wahał, bo prywatnie za Marszałkiem nie przepadał, jednak w końcu uległ.

– Mimo że wcześniej w porozumieniu właśnie z Piłsudskim publicznie oświadczył, iż katedra jest miejscem dla nowych grobów zamkniętym – dodaje profesor. Oświadczenie było następstwem wcześniejszych – delikatnie rzecz biorąc – mało przyjemnych zdarzeń. Pojawiało się mianowicie po tym, jak 78 lat po śmierci pochowano na Wawelu poetę Juliusza Słowackiego. Pochowano w atmosferze skandalu.

Świętość, wziętość, nadętość

Po raz pierwszy Polacy próbowali przenieść prochy Słowackiego do katedry w 1909 roku. Przeciwwstawiał się temu (skutecznie) ówczesny kardynał Jan Puzyna. Powód? Słowacki był dla niego jedynie literatem, poza tym heretykiem i głośnym krytykantem Watykanu. I śmiał w dodatku napisać taki oto wierszyk: „Przy kościółku, Mój aniołku, Koronka. Żonka. Pieczonka. (...) / Przy klasztoru, Mój kaczorku, Świętość. Wziętość, Nadętość”. Ostatecznie wawelski pochówek Słowacki zawdzięcza Piłsudskiemu właśnie, który wielbił jego twórczość. →

→ I gdy wieszczę trafił w końcu do podziemi katedry, Marszałek nazwał go „równym królem”. Piłsudskiemu wtórowali poeci tacy jak Lucjan Rydel, pisarze tacy jak Henryk Sienkiewicz, a nawet Stanisław Ignacy Witkiewicz, który wzywał, by w razie sprzeciwu Kościoła pochować Słowackiego w jednej z tatrzańskich dolin. Ostatecznie poeta spoczął w sąsiedztwie człowieka, którego bardzo za życia nie lubił. Mowa o Adamie Mickiewiczu. Ten również trafił na Wawel po długoletniej gorącej debacie publicznej, w której brały udział władze kościelne oraz politycy z Krakowa i Wiednia.

– Najpierw bowiem Wawel jako narodowa nekropolia dostępny był jedynie władcom i dostojnikom kościelnym – wyjaśnia profesor Jacek Purchla, historyk sztuki specjalizujący się w dziejach miasta, były wiceprezydent Krakowa. Przypomnijmy – pierwszą znaną z nazwiska osobą, która spoczęła na Wawelu, był biskup Maurus – umarł w 1118 roku. A pierwszym królem Władysław Łokietek, który zmarł w 1333 roku. Funeralne walory wawelskiego wzgórza docenił później najsłynniejszy polski kronikarz. Jan Długosz pisał: „Nie można by znaleźć drugiego równie znakomitego miejsca u Polaków dla grobów królów”. I prawdopodobnie się nie mylił.

Z reguły pogrzeby władców odbywały się bez protestów. Do jednej z nielicznych awantur doszło w 1625 roku, po śmierci królowej szwedzkiej Anny Wazy, siostry króla Zygmunta III. Biskup krakowski nie zgodził się na pogrzeb na Wawelu, bo Anna była luteranką. Król Zygmunt bezskutecznie próbował przekonać dostojnika, by zmienił zdanie. Ostatecznie królowna miała trzy pogrzeby, ale żadnego w Krakowie. – Gdy królów zabrakło, ich miejsce zgodnie z ówczesną romantyczną wizją historii zajęli ci, którzy czynem lub słowem walczyli o wolną Polskę – mówi profesor Purchla. – Bohaterowie i poeci.

W 1817 roku spoczęły w katedrze wyłowione cztery lata wcześniej z Elstery i przewiezione z Warszawy zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego. Rok później za zgodą cara Aleksandra na Wawel przywieziono ze szwajcarskiej Solury trumnę ze zwłokami Tadeusza Kościuszki.

Kazimierz Girtler, XIX-wieczny dzierżawca dworu w podkrakowskich Krzeszowicach oraz wytrawny pamiętnikarz, napisał w swoich dziennikach, że pogrzeby Poniatowskiego i Kościuszki „były jakby przeglądem ostatnich naszych dziejów”. Bo „z tego pogrzebu duch Polski jakby zawołał do nas: Jeszcze Polska nie zginęła!”. Girtler dodawał, że już wtedy dojrzewała w rodakach idea chowania w katedrze wawelskiej „obok królów i wodzów narodu także królów ducha”.

Zdaniem Jacka Purchli w tę romantyczną tradycję wpisał się w XX wieku jeszcze Józef Piłsudski jako ten, który doprowadził Polskę do niepodległości. I to właśnie Marszałek – jak podkreśla wielu historyków – miał być ostatnim bohaterem pochowanym na Wawelu. – Tej zasady trzymano się właściwie do dzisiaj

– mówi profesor Jerzy Wyrozumski, mediewista, prezes Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, sekretarz generalny Polskiej Akademii Umiejętności.

Zaznacza też, że w najnowszych dziejach Polski zdarzył się jeden wyjątek. Na początku lat 90. XX wieku na Wawel sprowadzono prochy generała Władysława Sikorskiego. Był to jednak zrozumiały precedens, bo Sikorski był bohaterem wojennym, a sprowadzeniu jego szczątków z Anglii przez wiele lat sprzeciwiała się brytyjskie władze. Kiedy wreszcie po upadku PRL zmieniły zdanie, Polacy uznali to za wydarzenie historyczne, które należało symbolicznie, wyraźnie – czyli wawelsko – upamiętnić.

Początki pantoflowa

Co ciekawe, gdy w 1993 roku pogrzeb Sikorskiego na Wawelu był już pewny, krakowski architekt, profesor Wiktor Zin, postanowił zaprojektować dla generała sarkofag. Zrobił to w nocy, w kilka godzin. Sprawa zakończyła się awanturą, bo inni architekci zaczęli się domagać rozpisania publicznego konkursu. Zatem znów nie obyło się bez niesnasek. – Powody, dla których Wawel powinien stać się miejscem zamkniętym, miały nie tylko wymiar merytoryczny, bo ocena zasług bohaterów wymagała spokoju i historycznego dystansu, ale też praktyczny – dodaje profesor Wyrozumski. – Tam po prostu zrobiło się bardzo ciasno.

I jeszcze jedno: dotychczas uzgodnienia dotyczące pochówków na Wawelu prowa-

dzone były przez długie miesiące, czasem lata, przez środowiska państwowe i kościelne, przy udziale między innymi kapituły katedralnej i Stolicy Apostolskiej. Konsensu brakowało kilkakrotnie, chociażby wtedy, gdy Polacy chcieli na Wawelu widzieć po śmierci pisarza Henryka Sienkiewicza albo poetę Wincentego Pola. – Słusznie wychodzą z założenia, że choć gospodarzem katedry jest Kościół, to Wawel pozostaje wspólnym dobrem, zarówno kościelnym, jak i narodowym. Zatem zgoda powinna być obopólna – tłumaczy profesor Wyrozumski (my nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że o planach pochówku prezydenta Lecha Kaczyńskiego na Wawelu kapituła i nuncjusz papieski, arcybiskup Józef Kowalczyk, dowiedzieli się pocztą pantoflową albo – jak członek kapituły, biskup Tadeusz Pieronek, oraz najwyższe władze państwowe, a wreszcie i cały naród – z mediów).

Wawelska ciasnota sprawiła, że po 1900 roku wielkich Polaków chowano w Krakowie głównie na Skałce, w krypcie zasłużonych, w panteonie ojców paulinów, obecnie też już zamkniętym, bo także przepełnionym. Trzeba przyznać, że tym właśnie pochówkom towarzyszyły największe awantury. W atmosferze skandalu chowano tam malarza i dramaturga Stanisława Wyspiańskiego (bo krytykował Kościół i wiódł rozwiązać życie) czy kompozytora Karola Szymanowskiego (bo był homoseksualistą). Wreszcie poetę Czesława Miłosza, który na Skałce spoczął sześć lat temu. W pro-

test przeciwko pochowaniu noblisty włączyli się między innymi aktor Ryszard Filipiński i historyk literatury z UJ, doktor Jan Majda, oraz Towarzystwo Pamięci Narodowej, którego członkowie publicznie deklarowali, że nie mogą pozwolić, by w świętym miejscu leżał człowiek „przepojony nienawiścią do Polski”. Z kolei przedstawiciele Patriotycznego Komitetu Protestacyjnego przeciwko Profanacji Narodowego Panteonu pojawili się na Skałce kilka dni przed pogrzebem, by na jednym z murów na sznurku wywiesić wyrwane z kontekstu cytaty z Miłosza typu: „Polska to ciemnogroń”. Ostatecznie środowiska ultrapravicowe ogłosiły poetę wielkim „anty-Polakiem”. Atmosferę złagodziło dopiero oświadczenie spowiednika Miłosza, z którego wynikało, że „odszedł z tego świata zaopatrzony sakramentami świętymi, pojednany z Bogiem i Kościołem”.

Tłum wybił okna

Takich oszczerstw (ale przecież dowodów na to, że był katolikiem i kochał swój kraj, nie brakuje) oszczędzono Lechowi Kaczyńskiemu. – Z pewnością prezydent był patriotą – zauważa profesor Stanisław Waltoś. – Wciąż jednak nie wiem, jakich czynów dokonał, by móc spocząć obok marszałka Piłsudskiego.

Bo wybór krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów, w której stoi sarkofag Marszałka, a w pobliżu którego została pochowana prezydencka para, krakowskich profesorów zrytował najbardziej. – Piłsudskiemu należy się majestatyczna samotność – mówi profesor Waltoś.

Tymczasem decyzja o pochówku Kaczyńskich na Wawelu wzburzyła nie tylko wielu naukowców, ale też znanych artystów. Najgłośniej zaprotestowali Andrzej Wajda, twórca filmu „Katyn”, i jego żona Krystyna Zachwatowicz. Pomysł pochowania pary prezydenckiej na Wawelu skrytykowali na piśmie przede wszystkim w kontekście decyzji arcybiskupa jako strażnika katedry. Inni postanowili wziąć udział w zbiorowych protestach. Pierwszy odbył się w ubiegły wtorek, kilka godzin po decyzji kardynała Dziwisza. Nie minęła jeszcze 20, gdy przed pałacem biskupów krakowskich zaczęli zjawiać się pierwsi demonstranci. „Powązki”, „Kardynale, zmień decyzję” – skandowali. Na jednym transparentie pojawiło się pytanie: „Czy na pewno równy królom?”.

W demonstracji nie wzięli udziału politycy. Brakowało prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego, który oficjalnie nie ma nie przeciwko pogrzebowi na Wawelu, choć wielokrotnie w przeszłości podkreślał, że prezydent Lech Kaczyński z Krakowem jest mocno na bakier. Decyzji o takim pochówku prywatnie nie poparł krakowski poseł PO Jarosław Gowin, ale demonstrantom się dziwił. – Przecież kłamka zapadła. Zatem te protesty niczemu nie służą, są jedynie przejawem głębokiej choroby moralnej narodu – oceniał.

Zupełnie innego zdania jest rysownik Andrzej Mleczko, który poszedł na demonstrację



Mroczne katakumby Wawelu to rozdział zamknięty i nie należy ich łączyć ze współczesną polityką

RYSONNIK ANDRZEJ MLECZKO

(choć przyznaje, że rzadko bierze udział w takich akcjach). – Czytałem kiedyś, że przepowiednia po zabójstwie świętego Stanisława głosiła, iż nie należy w Krakowie wybierać biskupa o imieniu Stanisław, bo to oznacza kłopoty – próbuje żartować Mleczko. – Mówiąc jednak serio, uważam, że pomysł krakowskiej kurii, by sarkofag prezydenta Kaczyńskiego stał w pobliżu trumny marszałka Piłsudskiego, jest dużym nieporozumieniem. Zawodowi patrioci nie odbiorą mi prawa do zabierania głosu w tej sprawie. Mroczne katakumby Wawelu to rozdział zamknięty i nie należy ich łączyć ze współczesną polityką.

Podobnie myśli krakowski pieśniarz Andrzej Sikorowski: – Odnoszę wrażenie, że publiczne szafowanie żałobą i majestatem śmierci oznacza w polskich warunkach, że obywateli nie mają prawa do jakiegokolwiek krytyki. I to krytyki działań, które – bądź co bądź – dotyczą spraw dla nich istotnych. Nie rozumiem też zakłamania, które sprawia, że zwyczajnym ludziom, którym przytrafiła się tragedia, nadaje się nagle cechy herosów i ojców narodu. A już rzeczą całkowicie niezrozumiałą jest, że zakłamanie polityków skutkuje niedorzecznymi decyzjami, jak ta, by prezydenta o dość przeciętnym dorobku i popularności nobilitować pochówkiem w nekropolii przynależnej największym bohaterom.

Nie był królem, Kraków mówi nie! – skandowali młodzi ludzie, a takich było najwięcej

– Okoliczności, w jakich postawiono krakowian, są szokujące – dodaje w rozmowie z „Przekrojem” Tomasz Żółcien, pracownik jednej z miejscowych uczelni, uczestnik demonstracji. I dopowiada z goryczą, że kiedyś przychodzono „pod ten pałac”, by witąć goszczącego w nim papieża Polaka. – A teraz po raz pierwszy w historii przyszliśmy, by protestować!

To akurat nieprawda. Latem 1937 roku rozsierdzony tłum wybił okna w tym samym pałacu biskupim, wkrótce po tym jak arcybiskup Sapięha wbrew władzom państwowym wydał polecenie przeniesienia trumny marszałka Józefa Piłsudskiego z królewskiej, prastarej krypty Świętego Leonarda do pozbawionej symboliki krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów. Oficjalnym powodem było przekonanie Sapięhy, że wycieczki pielgrzymujące do grobu Marszałka nie szanują powagi katedry. Nieoficjalnym – że Piłsudski nie wpisywał się w schemat Polaka katolika. Zmienił wyznanie, miał drugą żonę, był socjalistą. Przeciwko decyzji arcybiskupa głośno zaprotestował wówczas prezydent Ignacy Mościcki.

Dwanaście złotych

Wtedy, przed wojną, wyraz swojemu sprzeciwowi dawali też ludzie kultury. Najgłośniej grzmiał pisarz Wacław Sieroszewski: „Bezprzekładne stanowisko biskupa Sapięhy musi być surowo ukarane – twierdził. – Wara każdemu od majestatu Rzeczypospolitej i najświętszych wartości narodu. Zasłonić trumnę Marszałka wartą żołnierską, a biskupa, który ośmielił się zlekceważyć wolę prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, zamknąć w areszcie”.

A jaka byłaby wola prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, który zginął tragiczną śmiercią pod Smoleńskiem? Zdaniem pralata Zdzisława Sochackiego, proboszcza krakowskiej katedry, Lech Kaczyński nie miałby nic przeciwko temu, by spocząć obok Piłsudskiego. Jak również obok ziemi z pól katyńskich. – Niekoniecznie – zauważa profesor Jan Hartman, filozof z UJ. – Ewidentnie była to decyzja polityczna, więc prywatne wartości przestały mieć znaczenie. Myślę jednak, że z ludzkiego punktu widzenia zarówno dla prezydenta, jak i jego rodziny byłoby znacznie lepiej, gdyby Lech Kaczyński został pochowany w Warszawie.

Nie tylko dlatego, że każdy, by odwiedzić grób, będzie musiał zapłacić 12 złotych za wstęp do katedry, a znacznie łatwiej byłoby zapalić świeczkę na Powązkach, gdzie wstęp jest darmowy. Również dlatego, że pochówek prezydenta w miejscu, w którym spoczęli Kościuszko i Słowacki, a nie spoczęli Narutowicz i Mościcki, zniweczył nadzwyczajną w naszych czasach zgodę narodową. Przerwał żalobną ciszę, na którą nie tylko Lech Kaczyński, ale wszystkie ofiary katastrofy po prostu sobie zasłużyły.

współpraca Sylwia Piechowska

W minionych latach krakowianie pod pałac przychodzili, by cieszyć się papieżem Polakiem. Teraz pokazali tam swój gniew



Myślę, że z ludzkiego punktu widzenia zarówno dla prezydenta, jak i jego rodziny byłoby lepiej, gdyby Lech Kaczyński został pochowany w Warszawie

PROFESOR JAN HARTMAN

— Rozmowa Igora Ryciaka —

Benzyna dopiero zaczyna się palić

Tragiczna śmierć prezydenta nie jest przesłanką wystarczającą do natychmiastowego pochówku na Wawelu. Spór o to będzie trwał latami – mówi historyk, profesor Tomasz Nałęcz



18 maja 1935 roku kondukt z ciałem marszałka Józefa Piłsudskiego z dworca na Wawel szedł 4,5 godziny. Do krypty trumnę znieśli generałowie

Co Józef Piłsudski powiedziałby o sporze wokół miejsca pochówku Lecha Kaczyńskiego?

– Jednego jestem pewien: nie życzyłby sobie, by w jego krypcie spoczął ktośkolwiek inny. Nie tolerował konkurencji. W czasie swojego urzędowania nie mianował żadnego marszałka. Był przekonany o swojej wyjątkowości. To był typ indywidualisty, dlatego fakt, że ma dzielić kryptę z kimś innym, byłby dla niego wyjątkowo bolesny.

Czy za życia Marszałek zastanawiał się, gdzie mają być złożone jego szczątki?

– Wielokrotnie. W swoim gabinecie w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych zostawił nawet notatkę z rozważaniami na ten temat, którą odnalaziono po jego śmierci. Dokument kończy się stwierdzeniem: „Pewnie będą chcie-



Tomasz Nałęcz, profesor Wydziału Historycznego UW, współautor książki „Józef Piłsudski – legendy i fakty”, członek Socjaldemokracji Polskiej

li mnie pochować na Wawelu. Niech?”. W 1935 roku wybuchła jednak gorąca dyskusja, czy Wawel jest właściwym miejscem dla Piłsudskiego. Czy Marszałek nie był świadomy, że sprawa wywoła kontrowersje?

– O nie, doskonale o tym wiedział. Piłsudski rozmawiał na ten temat z arcybiskupem Adamem Sapiehą, z którym spotkał się w 1933 roku na wielkiej rewii kawalerii zorganizowanej na krakowskich Błoniach z okazji rocznicy bitwy pod Wiedniem. Sapieha jasno wyraził swoje negatywne zdanie.

I potem był w tym konsekwentny. Nie lubił Piłsudskiego?

– Umierając, Piłsudski zostawił nie tylko wielkie grono zwolenników,

ale też sporą grupę przeciwników. Tamten spór jednak dotyczył czegoś zupełnie innego. Zdaniem arcybiskupa decyzji o pochówku kogokolwiek na Wawelu nie należało podejmować w samym środku żałobnych emocji, bo Wawel to miejsce zbyt ważne dla tożsamości narodu. Oprócz królów i biskupów wszyscy inni chowani byli w tym miejscu po wielu latach po śmierci. Ja podzielał to zdanie. Wawel powinien być miejscem składania szczątków osób, których życiorysy zweryfikowały czas i historia. W przypadku wszystkich grzebanych tam od początku XIX wieku taka weryfikacja miała miejsce. Powtarzam: Piłsudski to jedyny wyjątek i dlatego nie uniknięto wówczas sporów. Teraz oś dyskusji jest



identyczna. Na Wawelu został pochowany prezydent RP, który zginął, pełniąc służbę publiczną. To była śmierć tragiczna i to nie budzi wątpliwości. Rzecz w tym, że jego działalność nie została jeszcze zbadana i oceniona przez historyków. Poza tym decyzję podjęto pod wpływem emocji związanych z żałobą.

Gdzie więc powinien być spocząć Lech Kaczyński?

– Nie wykluczam, że na Wawelu, ale pod warunkiem wcześniejszego upewnienia się, że swoją działalnością zapewnił sobie miejsce w narodowym panteonie. Na to potrzeba jednak wielu lat badań historycznych. Oczywiście nie ma żadnych przepisów regulujących ten problem. Obracamy się wokół tradycji. W Warszawie powstaje przecież Świątynia Opatrzności Bożej. Są tam krypty, w których mają być chowani wybitni Polacy. Uważam, że byłoby pięknie, gdybyśmy rozpoczęli nową tradycję: Świątynia Opatrzności w Wilanowie miejscem pochówku prezydentów Rzeczypospolitej. To zresztą znakomite miejsce na trumnę Ryszarda Kaczorowskiego.

Tak uznała jego rodzina. Ale trzeba pamiętać, że ta świątynia wciąż jest w budowie.

– Są jeszcze dwa inne miejsca – Powązki i stołeczna archikatedra Świętego Jana. Każde z nich ma uzasadnienie. Powązki to miejsce spoczynku powstańców warszawskich, a przecież w utrzymaniu pamięci o powstaniu Lech Kaczyński miał bezdyskusyjne zasługi. W archikatedrze z kolei pochowany jest między innymi prezydent II RP Gabriel Narutowicz, który także zginął tragicznie przed końcem kadencji. Oba te miejsca byłyby godne i dobre.

Może lepiej pomyśleć o budowie nowego panteonu nie tylko dla zmarłych prezydentów, ale też dla wieszczów, bohaterów?

– Prawdę mówiąc, nie widzę takiej potrzeby. Powtórzę – mamy dość godnych miejsc z katedrą na Wawelu włącznie.

Francuzi od 1791 roku mają w Paryżu swój Panteon Narodowy, dzięki czemu unikają gorszących dyskusji.

– Budowa takiego obiektu w Polsce jest niemożliwa. To nie byłoby ani zrozumiane, ani ak-

Gabriel Narutowicz został pochowany 22 grudnia 1922 roku, szóstego dnia po zamachu. Leży w krypcie warszawskiej archikatedry Świętego Jana Chrzciciela

ceptowane. Proszę pamiętać, jak bardzo Francja różni się od Polski. Ta kiedyś najwierniejsza córa Kościoła jest od ponad stu lat krajem laickim, w którym jakiegokolwiek wpływu religii na instytucje państwa są niedopuszczalne. Świecki panteon w Paryżu jest tego symbolem i przejawem.

Polska tradycja jest zupełnie inna, jesteśmy bowiem społeczeństwem religijnym, a wpływ Kościoła na różne dziedziny życia pozostaje bardzo silny. Przecież podczas zaborów to Kościół zastępował nieistniejące państwo.

Ale urząd prezydenta Rzeczypospolitej mogą sprawować osoby wierzące i niewierzące.

– To nie powód, by budować jakieś nowe mauzoleum. Zresztą kto wie, czy nie jesteśmy właśnie świadkami powstania nowego zwyczaju, że zmarli prezydenci są chowani na Wawelu? Bo jak teraz będziemy różnicować zmarłych prezydentów? Według okoliczności ich śmierci czy może dokonania? Kto i jak ma to oceniać? Zupełnie nie wiem, jak te dylematy będą rozwiązywane w przyszłości. Chyba że przyjmujemy, iż każdy prezydent – niezależnie od tego, czy zmarł w czasie urzędowania, czy nie – ma prawo do pochówku na Wawelu.

Czy miejsce pochówku któregoś prezydenta RP wzbudzało już takie kontrowersje?

– Tylko w przypadku Gabriela Narutowicza, którego najbardziej zapiekła część endecji uważała za bezbożnika

i nie-Polaka. Prezydent Stanisław Wojciechowski zmarł w 1953 roku i chowano go niemal po kryjomu, przecież był to szczyt stalinizmu. Mościcki z kolei został pogrzebany w Szwajcarii, a jego zwłoki do warszawskiej archikatedry zostały sprowadzone w 1993 roku, co nie budziło żadnych sporów.

Jak szybko uciły spory wokół pochówku Józefa Piłsudskiego?

– One trwały niemal do wybuchu wojny. Arcybiskup Sapieha sprzeciwił się władzom państwa z prezydentem Ignacym Mościckim na czele, które chciały, by ciało Piłsudskiego spoczęło w krypcie Świętego Leonarda. Ostatecznie ciało Józefa Piłsudskiego spoczywa na Wawelu, ale w krypcie pod Wieżą Srebrnych Dzwonów. Sapieże zarzucono naruszenie kultu Marszałka. To była ogólnonarodowa dyskusja. Pojawiały się nawet głosy, że trzeba zerwać konkordat.

A jak będzie teraz? Może za kilka miesięcy zapomnimy o sprawie?

– Obawiam się, że spór o Wawel będzie trwał latami. Ta benzyna dopiero zaczyna się palić. Dotąd dyskusja była stonowana. Proszę zwrócić uwagę, że byliśmy niebawem zjednoczeni w żałobie, do momentu gdy pojawiła się informacja o Wawelu. Ale boję się czegoś jeszcze – ta dyskusja to prawdopodobnie początek kampanii wyborczej, w której politycy będą się licytować, kto lepiej zrealizuje niepisany testament zmarłego prezydenta. To będzie straszna kampania. □

Modlitwa przed grobem księdza Jana Twardowskiego w Świątyni Opatrzności Bożej. Poetę pochowano w 2006 roku, później spoczęli tam ksiądz Zdzisław Peszkowski (2007) i Krzysztof Skubiszewski (2010)



Jak teraz będziemy różnicować zmarłych prezydentów Rzeczypospolitej? Według okoliczności ich śmierci czy dokonania?



— Anna Szulc, Marcin Cichoński —

Mądrzej nad tymi trumnami

Z kolejnego wawelskiego sporu trzeba wyciągnąć wniosek na przyszłość – pomyślmy więc o nowym panteonie. O takiej wizji mauzoleum, która czerpie ze wzorców nie tylko polskich, ale i światowych

DZIŚ, GDY POLACY MÓWIĄ O PANTEONIE, TO MYŚLĄ: Wawel, Skalka, Świątynia Opatrzności Bożej. Ta ostatnia zresztą mogła być pierwszym prawdziwie świeckim miejscem pamięci Rzeczypospolitej. W 1791 roku, dwa dni po uchwaleniu Konstytucji 3 maja, posłowie Sejmu Czteroletniego zdecydowali o budowie narodowego gmachu zwanego wtedy Świątynią Najwyższej Opatrzności. To miał być akt wdzięczności za ustawę zasadniczą. Kamień węgielny wmurowano na terenie dzisiejszego Ogrodu Botanicznego UW, w pobliżu Łazienek. Konkurs architektoniczny wygrał Jakub Kubicki. – W projektach, które posłowie brali pod uwagę, świątynia nie miała znaku krzyża – mówi doktor Paweł Borecki z Katedry Prawa Wyznaniowego Wydziału Prawa i Administracji UW.

Dlaczego nie było krzyża? Bo pomysłodawcy, czyli posłowie, w tym marszałek Stanisław Małachowski, byli wolnomularzami. Marzyli o miejscu istotnym dla całego narodu, ponadwyznaniowym. Chodziło im o najwyższą opatrzność, którą

traktowali w kategoriach nie chrześcijańskiego Boga, ale absolutu. Bliżej im było do ludzi antyku, którzy w opatrności często widzieli synonim mądrości.

Plany przerwał trzeci rozbiór. Do pomysłu wrócono po odzyskaniu niepodległości. Nieco przewrotnie. W 1920 roku wspierana przez Kościół część posłów prawicy upubliczniła własny pomysł. Podziękowaniem za dziedzictwo Sejmu Czteroletniego miał być kościół pod wezwaniem Opatrzności Bożej. Idea ich poprzedników sprzed niemal 130 lat legła w gruzach.

Nie iść w stronę Lichenia

Ostatecznie krzyż stanął 11 lat temu na Polach Wilanowskich. Jako znak, że zgodnie z pomysłem międzywojennym powstanie Świątynia Opatrzności Bożej. Budowa wciąż trwa, ale pochowani już tam są ksiądz Jan Twardowski (choć chciał spocząć na Powązkach), kapelan Rodzin Katyńskich, ksiądz Zdzisław Peszkowski, oraz pierwszy polski szef dyplomacji po przełomie 1989 roku Krzysztof Skubiszewski. Teraz dołączył do nich były prezydent na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski*.

A gdyby pierwotny projekt całkowicie świeckiej świątyni wcielić w życie?

– W Polsce brakuje miejsca, w którym składać by się szczyty wielkich ludzi, prezydentów, mężów stanu, twórców kultury, niezależnie od ich wyznania czy przynależności etnicznej – podkreśla doktor Borecki.

Jako prawnik widzi to tak: parlamentarzyści szykują ustawę o stworzeniu narodowego panteonu, urzędujący prezydent powołuje kapitułę złożoną z wybitnych przedstawicieli różnych środowisk, w tym także bezwyznaniowych (by uniknąć sporów, skład określałaby przepisy). To kapituła decydowałaby, kto i dlaczego może spocząć w panteonie. Miejsce byłoby świeckie, ale przy składaniu ciał dopuszczalne byłoby obrządku różnych wyznań.

Zdaniem doktora Boreckiego świątynia może stać w pierwotnym miejscu – w Ogrodzie Botanicznym UW. Inspiracją mogą być zachowane szkice Jakuba Kubickiego.

– Panteon z pewnością powinno się wybudować w Warszawie, ale Łazienki są z powodów historycznych wykluczone – uważa Jakub Wacławek, stołeczny architekt, prezes warszawskiego oddziału SARP. – Znaleźlibyśmy inną, odpowiednią przestrzeń dla takiej inwestycji.

Dodaje, że nowy, pozbawiony symboli religijnych panteon powinien być budowlą

oszczędną i raczej nowoczesną. – Z pewnością nie powinniśmy iść w stronę Lichenia – uśmiecha się Wacławek.

Hołd po latach

Narodowe panteony na ogół budowane są w stolicach państw. Jak XVIII-wieczny paryski Panteon, który od czasów rewolucji jest miejscem spoczynku osób zasłużonych dla Francji. Nie zawsze ciała trafiają tam od razu. Marię Skłodowską-Curie i Piotra Curie przeniesiono do Panteonu dopiero w 1995 roku (Maria była pierwszą kobietą, której ciało wniesiono do tego budynku). Ostatnim, który spoczął w paryskim mauzoleum, był pochowany w 2002 roku – 132 lata po śmierci – Aleksander Dumas. Są tam groby 76 osób, w tym Woltera, Jana Jakuba Rousseau, Wiktora Hugo i Emila Zola.

Choć formalną decyzję, kto może spocząć w mauzoleum, podejmuje prezydent, jest ona poprzedzona ogólnonarodową dyskusją, w której biorą udział historycy oraz – jeśli to potrzebne – znawcy kultury i nauki.

Dwa razy co bardziej pobożni Francuzi próbali przywrócić Panteonowi funkcję religijną. Bezskutecznie. – Dzisiejsza Francja to państwo oparte na świeckości republikańskiej, w którym nie miesza się porządku publicznego z religijnym – tłumaczy profesor Andrzej Friszke, historyk z Polskiej Akademii Nauk.

Przeor, rodzina, naród

Współcześnie świecki panteon powstał w Brazylii w 1986 roku. Zaprojektował go słynny architekt Oscar Niemeyer, a budowla nosi imię

Tancredo Nevesa – byłego prezydenta tego kraju, który został tam złożony rok po śmierci. W panteonie mają być chowani wszyscy, którzy stanęli w obronie Brazylii. Kryteria precyzyjnie określa ustawa. Nie zapobiegło to jednak politycznym sporom, dlatego ciała wielu bohaterów, którzy wypełniają ustawowe wymogi, wciąż nie są do panteonu wprowadzone.

Inaczej jest w Wielkiej Brytanii – tamtejszy panteon bardziej przypomina nasz Wawel. Wielcy Anglicy od XIII wieku chowani są bowiem w Westminster Abbey, czyli w Opactwie Westminsterskim. Tu spoczywają Isaac Newton, Karol Darwin, Karol Dickens. Ostateczną decyzję o pochowaniu w opactwie podejmuje jego przeor. Jednak – jak we Francji – poprzedza ją publiczna debata. Ostatnią osobę pochowano tam 19 lat temu: aktor Laurence Olivier spoczął w opactwie – co ciekawe – bez dyskusji, bo i bez protestów. Westminster Abbey to jednak głównie miejsce spoczynku rodzin królewskich. Tam pochowano przykład księżną Dianę.

W Moskwie zasłużone osoby spoczywają najczęściej na cmentarzu Nowodziewiczym. Leżą tam Michaił Bułhakow, Mikołaj Gogol, Antoni Czechow, ale także Raisa Gorbaczow i konstruktor Andriej Tupolew. Decyzję o pochówku podejmuje władza miasta, dyskusji nie ma. Szczególnym rodzajem panteonu jest też plac Czerwony. I nie

chodzi wcale o Mauzoleum Lenina (w którym przez jakiś czas spoczywał też Stalin). Między mauzoleum a murami Kremla pochowano ponad sto osobistości i dygnitarzy ZSRR. Obok przeniesionego tu w 1960 roku Stalina leżą Nadieżda Krupskaja, Feliks Dzierżyński, a także kosmonauta Jurij Gagarin.

W Niemczech ważne postacie chowane są zazwyczaj w miejscu urodzenia lub w mieście, z którym przez swą działalność były związane – liczy się zdanie rodziny bądź wcześniej wyrażona wola zmarłego. Dopiero potem władze miasta sugerują umiejscowienie grobu w reprezentacyjnej części lokalnego cmentarza. Podobnie we Włoszech. Na przykład zmarły niespełna trzy lata temu Michelangelo Antonioni został pochowany w rodzinnej Ferrarze.

U nas jednak, powiedzmy sobie szczerze, skromniejsze pochówki się nie przyjmą. – Skoro już mamy tendencję do czczenia zasłużonych rodaków w sposób wysoce uroczysty, równy to mądrze – uważa profesor Jacek Hołow-

ka, etyk z Instytutu Filozofii UW.

– Faktycznie, najlepszym rozwiązaniem byłoby stworzenie panteonu pozbawionego znaczeń religijnych. Dzięki temu autorytety osób, które chcemy po śmierci uhonorować, nie byłyby szargane, bo nie podlegałyby niesmacznym dyskusjom. Nie zastanawialibyśmy się na przykład nad tym, kto był lepszym, a kto gorszym katolikiem, tylko nad tym, co naprawdę zrobił dla Polski. □

W 2007 roku, gdy większość polskich parlamentarzystów poparła dofinansowanie budowy Świątyni Opatrzności Bożej z budżetu państwa, dwójce posłów SLD zarzuciło pomysłodawcom łamanie wynikającej z konstytucji zasady świeckości państwa. Byli to Jerzy Szmajdziński i Jolanta Szymanek-Deresz. Oboje zginęli w katastrofie pod Smoleńskiem

— Rozmowa Marcina Cichońskiego —

Znaleźć miejsce z historią

Panteon budujemy nie jednorazowo, ale na setki lat – mówi krakowski architekt Marek Dunikowski

Czy Polacy potrzebują nowego panteonu?

– Tak. I powinien to być budynek świecki, ponieważ panteon budujemy nie jednorazowo, dla jednego prezydenta, ale na setki lat. A nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jakich wyznań będą następni prezydenci. Musimy więc od razu uszanować ich światopogląd.

Najtrudniejszą decyzją będzie zapewne wybór miejsca.

– To złożona sprawa. W moim biurze stworzy-

liśmy w 2002 roku projekt ostatniego sarkofagu do krypty wielkich Polaków na Skalkę. Dalej jej rozbudowy nie będzie. Następnym szczególnym miejscem pochówku miał być kościół pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła przy ulicy Grodzkiej. W Krakowie mieliśmy wówczas już trzy miejsca kojarzone z pochówkiem wielkich: kościół na Skalkę, kościół Świętych Piotra i Pawła, no i oczywiście Wawel. Tymczasem moim zda-

niem prezydent powinien spoczywać na cmentarzu. Miałoby to symbolicznie demokratyczny wydźwięk – oto prezydent chowany między ludem. I jeśli weźmiemy to wszystko pod uwagę, najlepszym miejscem wydaje mi się Warszawa i Powązki. A jeśli inne miejsce, to takie, które miałyby swoją historię. Wawel bowiem został wybrany na spoczynek królów dlatego, że było to miejsce już istotne dla kraju. Nie pochowano tam pierwsze-

go króla i nagle nie zaczęto dobudowywać murów, baszt oraz całej reszty.

Panteon nowoczesny jak w Brazylii czy tradycyjny jak we Francji? Architekci będą mieli bardzo trudne zadanie.

– Koncepcja architektoniczna musi być dostosowana do miejsca – to musi być kontekst, nie można tego zrobić w oderwaniu od tego, co jest wokół. Dlatego trudno rozmawiać o wyglądzie, dopóki nie będzie znane miejsce. Najbliższych kilka lat wykorzystajmy na spokojną dyskusję na temat panteonu. Emocje, które rodzą się w chwilach uniesienia, nie pozwalają na podjęcie decyzji, z których będziemy zadowoleni po dekadach. □



Marek Dunikowski, 60 lat, skończył Wydział Architektury Politechniki Krakowskiej. Jest jednym z najbardziej cenionych polskich architektów, autorem wielu projektów – za najbardziej znany uważa się muzeum obozu zagłady w Bełżcu. Działa w krakowskiej komisji urbanistyczno-architektonicznej.

Przez ponad 200 lat we francuskim Panteonie pochowano 76 zasłużonych dla kraju osób





Pogrzeb na Wawelu
przypieczętował
bohaterski mit marszałka
Józefa Piłsudskiego



Katastrofę pod Smoleńskiem
porównuje się
do okoliczności, w jakich
zginął generał Sikorski



Jeśli włączamy
prezydenta
w paradygmat
bohaterów, może
być pochowany
tylko na Wawelu

Gdyby tych, którzy oddawali hołd prezydentowi, jeszcze niedawno spytać, czy płakaliby po śmierci Lecha Kaczyńskiego, wielu odpowiedziałoby: nie. Co się stało, że jednak płakali?

– Dwa miesiące temu odpowiedzieliby jako prywatni ludzie. W minionym tygodniu zaś staliśmy się narodem. Nie przeżywalibyśmy prywatnej żałoby po człowieku, ale żałobę narodową po prezydencie. To manifestacja naszej więzi z Polską.

Rodzaj żałoby wpływa na nasze reakcje?

– Oczywiście. Proszę to porównać ze śmiercią Jana Pawła II. Ta żałoba odbywała się w wymiarze ludzkim. Gdyby tak potraktować prezydenta, inaczej byśmy to przeżyli, ale nie mogliśmy tego zrobić, bo on był głową naszego państwa i nie leciał na wakacje, lecz odbywał podróż w sprawie państwowej. A my mamy bardzo szczególny sposób myślenia i mówienia o sobie jako o narodzie. Nasza tożsamość narodowa jest zbudowana na emocjach i schematach narracyjnych, które nawarstwiały się przez dziesięciolecia naszej historii i teraz automatycznie się uruchamiają.

Jak je najkrócej opisać?

– Jako kult ofiary dla ojczyzny. Mobilizujemy się w obliczu ofiary. Potrzebujemy jej, by się jednoczyć. Z ofiarą wiąza-

— Rozmowa Olgi Woźniak —

MY, NARÓD

SKĄD WIEMY, W JAKI SPOSÓB MÓWIĆ O ŻAŁOBIE NARODOWEJ? DLACZEGO „KWIAT INTELIGENCJI PO RAZ KOLEJNY ZASILIŁ SWOJĄ KRWIĄ ZIEMIĘ KATYŃSKĄ”? KTO ZASZCZEPIŁ W NAS KULT OFIAR? – PYTAMY MEDIOZNAWCĘ, DOKTORA JACKA WASILEWSKIEGO

ły się wszystkie ważne wydarzenia w naszej historii. Wystarczy prześledzić choćby tylko te z zeszłego wieku: rok 1918, kiedy „na stos rzuciliśmy nasz życia los”, Westerplatte, Katyń, powstanie warszawskie, Poznań ’56, Warszawa ’68, Gdańsk ’70, Radom ’76, Stocznia Gdańska w 1980 roku zakończona stanem wojennym, a nawet Okrągły Stół, który był owocem kompromi-

su między władzą a opozycją, czyli poświęcenia czegoś za coś. Wcześniej zaś Konstytucja 3 maja, za którą zaraz szły targowica, rozbiory, insurekcja kościuszkowska, powstanie listopadowe i styczniowe. Wszystko to są „wydarzenia ofiarnicze”.

Powstanie wielkopolskie?

– To powstanie, które premier Donald Tusk z potrzeby posiadania sukcesów

chciał wprowadzić do narodowej świadomości, w ogóle nam do tego nie pasuje. Nie ma tam wyraźnych bohaterów, którzy poświęciłby ofiarę. „Praca organiczna, odwaga oraz rozważa to trzy czynniki, które przyczyniły się do zwycięstwa powstania wielkopolskiego” – mówił Tusk podczas obchodów 90. rocznicy tego wydarzenia. I dodał, że „to jedno z niewielu polskich świąt historycznych, które możemy czcić z uśmiechem na twarzy”. To bardzo nietypowe dla naszego postrzegania świąt narodowych, bo dla nas liczy się walka, poświęcenie, ofiara – najlepiej niewinna. Wszystko, co narodowe, czcimy żalobniczo.

I jak wpisuje się w to żałoba po prezydencie?

– To był wstrząs, który próbowaliśmy zrozumieć. Wymagał usensownienia, a my w ramach psychologicznego wyposażenia mamy w mózgach maszynowy sensu, które nam w tym pomagają. W chwilach kryzysu sięgamy po pew-



Doktor Jacek Wasilewski zajmuje się analizą przekazów społecznych i kreacją znaczeń w popkulturze. Pracuje w Zakładzie Retoryki Dziennikarskiej Wydziału Dziennikarstwa UW

ne schematy myślowe, narracyjne, które w procesie wychowania wdrukowały się w nasze umysły i są zależne od kultury, w której wzrastaliśmy. Im bardziej emocjonalne jest przeżycie, któremu próbujemy nadać sens, tym bardziej nasza reakcja nie poddaje się racjonalnemu osądowi, staje się automatyczna. Wchodzimy w gotowy scenariusz.

Śmierć prezydenta uruchomiła w nas „program żałoby narodowej”?

– Właśnie. A my mamy pewien automatyczny sposób mówienia o żałobie narodowej. Bo jeśli chcemy uhonorować czyjąś śmierć jako naród, musimy pokazać, że to nie jest zwyczajna śmierć. Wielcy Polacy nie giną po prostu w wypadkach. Wróćmy do wydarzeń, o których mówiliśmy, że w ostatnich latach kształtowały nasze poczucie tożsamości narodowej. Zauważmy powtarzalność sposobów opowiadania o nich. Wszędzie tam byliśmy ofiarami. Jak więc przydać śmierci odpowiedni ciężar narodowy? Trzeba zrozumieć ją jako ofiarę. Wkładamy więc wiele wysiłku w to, by ową katastrofę ująć w kategorii symbolu. I to sły-chać w języku, jakim o niej mówimy. Proszę posłuchać wypowiedzi kardynała Dziwisza pytanego przez dziennikarza o sprawę Wawelu:

● **Dziennikarz:** – Czy ksiądz się nie obawia, że ta decyzja podzieli Polaków?
Kardynał Stanisław Dziwisz: – Ona powinna nas łączyć wszystkich. Śmierć bohatera nie powinna nas dzielić.

(wypowiedź z konferencji prasowej kardynała Dziwisza z 13.04.2010 roku transmitowanej przez TVP)

I to jest to: kardynał użył określenia „śmierć bohatera”. Jeśli nazwalibyśmy to tragicznym zbiegiem okoliczności, Polak, który jest prześlągnięty kulturą romantyczną, odebrałby to jako dyshonor. I zaczęliśmy sobie racjonalizować, że to bohater-ska śmierć, bo ci, którzy zginęli, byli na stanowiskach, na służbie, na pielgrzymce w narodowej sprawie. Śmierć w katastrofie nie daje nam warunków do usensownienia, mówienia o śmierci bohatera, bo taka śmierć jest intencjonalna. Potwierdzają to głosy ludzi:

● **Myślę, że ta ofiara prezydenta Kaczyńskiego, tę śmierć należy traktować jako ofiarę. Była to ofiara konieczna, żeby w encyklopediach światowych pojawiło się słowo „Katyń”.**
(telefon słuchacza do Radia TOK FM z 13.04.2010 roku, audycja „Let’s Tok”)

No tak, ale śmierć bohatera jest w jakiś sposób zamierzona. Bohater jest na nią gotów.

– Oczywiście. Prezydent nie mógł sam intencjonalnie rozbić samolotu. Ale jednocześnie mówimy, że był w trakcie walki. Polak idealny romantyk musi walczyć. Dla-

tego teraz w telewizji przywołuje się wypowiedzi prezydenta podkreślające jego wolę walki:

● **Będziemy walczyć aż do chwili, gdy prawo będzie rzeczywiste dla wszystkich – to podstawowe przesłanie dla każdej uczciwej władzy.**

Życzę tego Polakom, żeby w naszej – wbrew pozorom wcale nie prostej rzeczywistości – żebyśmy wykazywali chęć walki do ostatniego centymetra, do ostatniej sekundy.

(fragmenty życiorysu Lecha Kaczyńskiego emitowanego przez Program 1 TVP 11.04.2010 roku)

O co można walczyć w wolnej Polsce?

– O prawdę. Na przykład o prawdę o ojczyźnie. A więc człowiek, który walczył o prawdę, zginął. Jest więc bohaterem. Być patriotą to znaczy mieć zdolność poświęcania się za polskość. Za Katyń, który też oznacza polskość wyznaczoną przez ofiary. Te ofiary koniecznie muszą być niewinne i bezbronne, bo to nasz mesjański, mikiewiczowski sposób postrzegania samych siebie.

Dlatego telewizja tak często emitowała głosy, że prezydent był niesprawiedliwie oceniany. Ofiara ma stworzyć nowy porządek. Jeśli więc w takim kontekście słuchamy słynnego kontrowersyjnego kazania, którym oburzały się niektóre media, zaczynamy odbierać je zupełnie inaczej:

● **To mogło wydarzyć się w środę [wtedy do Smoleńska poleciał premier Tusk – przyp. red.]. Zdarzyło się wczoraj. Widać to był ten kwiat polskiej inteligencji, to były te elity, które miały zasilić swą krwią ziemię smoleńską, katyńską ofiarą sprzed 70 lat nie została zapomniana. Myślimy nie zasypali kroków, którymi kroczyli ci żegnający się z najbliższymi.**

(12.04.2010 roku w przemyskiej katedrze podczas homilii ksiądz prałat Zbigniew Suchy odniósł się do katastrofy pod Smoleńskiem)

Krew musi zasilić ziemię, aby to, co jest istotą naszego narodowego mitu, ta ofiara, która już została poniesiona, nie poszła na marne. Co by się stało, gdybyśmy zapomnieli o Katyniu? Zginęłaby część naszej tożsamości. Nasz patriotyzm wyraża się w tym, że powinniśmy ginąć. A zatem prezydent to także patriota.

● **Mieli ręce związane koleczastym drutem, do którego przywiązano sznur oplatający ich szyję. Za każdym razem, ruchem dusili się, byli jak niemowlęta aborcyjne.**

(ciąg dalszy homilii)

Oburzające porównanie? Kapłan ma polską narrację dotyczącą niewinnej ofiary, idzie więc takim tropem skojarzeń: niewinne → dziecko, ofiara → dziecko zamordowane → aborcja. Nie powinniśmy się oburzać, bo on tymi nieprecyzyjnymi słowami wyraża w pewnym sensie naszą polskość. →



Robotnicy Stoczni
Gdańskiej stawiali
żądania socjalne.
Dziś pamiętamy tylko,
że walczyli o wolność

Za każdym razem mieliśmy wroga, a więc wydarzenia spod Smoleńska też go wymagają. To emocjonalna logika mitu

→ A jak wpisują się w to przytoczone przez „Nasz Dziennik” słowa posła PiS Artura Górskiego: „Mam niemal pewność, że Rosjanie mataczą. Jeśli się złoży w całość informacja, nawet jeśli odnoszą się do różnych scenariuszy, a także weźmie się pod uwagę ewentualne intencje Rosjan, to można powiedzieć, choć bez stuprocentowej pewności, że Rosja jest w jakimś sensie odpowiedzialna za ten nowy Katyń”? – Zobaczymy, co dzieje się w chwilach przełomowych dla polskiej historii. One zawsze wiążą się z jakimś zagrożeniem: 3 maja – targowica, Stocznia Gdańska ’80 – stan wojenny, Okragły Stół – Magdalenka opisywana przez niektórych jako powtórzenie Jałty. Za każdym razem mamy jakiegoś wroga. Jeśli na historię patrzymy przez taki pryzmat, to i wydarzenia spod Smoleńska wymagają wroga. Podpowiada to emocjonalna logika mitu. A więc mitologizujemy wydarzenia z 10 kwietnia?

– Naturalnie. Mitologizacja to wpisanie wydarzeń w kanoniczną narrację. Dlatego w wypowiedziach dotyczących tych wydarzeń pojawiają się klisze: porównania do generała Sikorskiego, prezydenta Narutowicza. Osobisty fotograf prezydenta Maciej Chojnowski mówi o nim (co podchwytka TVN): „Nigdy nie obrażał się, że na zdjęciach widoczny jest czasami jego niski wzrost. Prezydent mówił o sobie, że jest takim Wołodjowskim”. To odwołanie do polskiej legendy stworzonej przez Sienkiewicza – rycerza, który poniósł ofiarę. Podobnie jak Julian Ordon, który nie chcąc poddać fortyfikacji Rosjanom, wysadził się wraz z nią 6 września 1831 roku. Opisał to Mickiewicz, opierając się na notatce prasowej i dokonał sporego nadużycia, Ordon bowiem przeżył, tylko został poparzony, a legenda była mu ciężarem do końca życia. Mickiewicz zaś nie chciał z nim utrzymywać kontaktów, bo on mu burzył ten mit ofiary złożonej na ołtarzu ojczyzny. No tak, ale wkrótce dowiemy się pewnie, że prezydent i 95 innych osób zginę-

ło na przykład z powodu czyjegoś zaniechania, i mit przyniesie. – To będzie już bez znaczenia albo zaraz pojawią się głosy, że to kłamstwo. Bo to by musiało przełamać nasz narodowy mit, zaprzeczyć naszym emocjom, naszej tożsamości. A my w tej opowieści nie opisujemy prawdziwych wydarzeń związanych ze śmiercią prezydenta. My opisujemy kogoś zupełnie innego. Dlatego też, by trudniej było używać racjonalnych argumentów do krytyki tego mitu, łączymy je z sacrum. Co ciekawe, mitologizują nawet osoby, które były w opozycji wobec Lecha Kaczyńskiego. Aleksander Kwaśniewski mówił na przykład:

● Tragedia tych ludzi, tragedia formacji politycznych, do których należeli, ale też tragedia narodu. Rzeczywiście Katyń po raz drugi upomniał się o polską elitę. Przekłete miejsce, nie waham się powiedzieć po raz drugi: przekłete miejsce.

(wypowiedź z 10.04.2010 roku dla Radia TOK FM)

O właśnie: znów przywoływany wątek polskiej elity.

– Jeśli prezydent ginie w Katyniu i chcemy się posługiwać tą analogią, to musimy mówić, że „kwiat inteligencji zasilił krwią katyńską ziemię”. Jeśli 70 lat temu w Katyniu był kwiat polskiej inteligencji, to teraz też musi się pojawić. Bo nie mówimy już o realnych ludziach, ale o pewnych widmach, o tworcach narodowych. „Kwiat polskiej inteligencji” pojawia się w sferze symbolicznej, by narracja była spójna, niezależnie od wcześniejszych ocen. Bo realni ludzie przestali istnieć dla tej historii. Gdybyśmy mówili o nich jak o prywatnych osobach, zlamalibyśmy decorum żałoby narodowej. Widać to dobrze także po tym, jak w mediach zmienił się wizerunek prezydenta Kaczyńskiego. Nagle w każdym piśmie pojawiły się jego sympatyczne zdjęcia. On jest ciepły, rodzinny, skromny. Bo nie pokazujemy kogoś realnego, uwikłanego w spory. Ten, kto zginął, musi wpisać się w obraz istniejącego poza czasem idealnego Polaka.

Idealnego czyli...

– Honorowego, walecznego, odważnego, ceniącego wartości rodzinne, religijne, tradycyjne. To nasza nakładka retoryczna na postać prezydenta. On nie jest opisywany jako konkretna postać, jako Lech Kaczyński. Ale jest wyidealizowany jako wzór Polaka. A skoro wpisujemy go w paradygmat bohaterów, skoro stawiamy w jednym szeregu z Sikorskim i Piłsudskim, to może być pochowany tylko tam, gdzie bije serce polskiej tradycji – na Wawelu. Na Powązkach prezydent bohater znów zostałby sprywatyzowany, stałby się indywidualny, a nie narodowy.

A zatem Wawel to naturalne zakończenie tej historii, która opowiada nam się w głowach?

– Tak. Konsekwentnie musimy powtórzyć rytualną resztę tej opowieści.

I pochować prezydenta na Wawelu wraz z małżonką?

– Gdybyśmy tego nie zrobili, uderzyłobyśmy w wartości rodzinne jako wartości narodowe. One także sprawiają, że argument o życzeniu rodziny jest taki ważny. Trud-

Nie opisujemy już realnych ludzi, ale widma, twory narodowe kształtujące decorum żałoby

no dyskutować racjonalnie z wartościami, bo te albo się uznaje, albo nie.

Czy jest szansa na to, byśmy kiedykolwiek wyzволili się z romantycznego myślenia o narodzie?

– Pierwsza sprawa – czy w ogóle chcemy, czy nie jesteśmy z tego dumni. Po drugie, nasiąkamy tym w szkole, więc trzeba by zmienić program nauczania. Dopóki szkoła będzie zorientowana na narodowe zwycięstwa i porażki, dopóty będziemy mówić takim językiem. Musielibyśmy inaczej napisać swoją historię. A tego nie zrobimy, bo nasze dzieje opisał już za nas romantyzm i przenieśliśmy to do sfery mitu, więc nie możemy z tym dyskutować. Wystarczy się rozejrzeć po tabliczkach ulic, kogo mamy wpisanego jako bohatera: ponoszących za coś ofiary, wojowników, działaczy politycznych. Niemal nie mamy innych schematów. Lekarzy? Jak na lekarstwo. Inżynierów? Prawie żadnych. Dlatego dla Polaka bohaterem nie będzie Maria Curie, Ignacy Łukasiewicz czy Tytus Chałubiński.

A czy nie zaczęliśmy wreszcie bardziej czuć się Europejczykami niż Polakami?

– Musielibyśmy zasymilować symbole europejskie. Na razie jest flaga i dziwny dla Polaka hymn „Oda do radości”. Kto śpiewa o radości w kraju, w którym wszelkie święta obchodzi się żałobnie, a ojciec płacze, mówiąc do swej Zosi, że nasi biją w tarabany? **Może uda się w końcu stworzyć społeczeństwo obywatelskie?**

– Polacy nie mają wspólnot obywatelskich, ale narodowe. Próby stworzenia społeczeństwa obywatelskiego się nie udają, bo tworzymy je na podstawach narodowych.

A Solidarność? Nie była ruchem obywatelskim?

– Symbolicznie? Religijno-narodowym. **Jak długo jeszcze będziemy mówić językiem żałoby?**

– To z pewnością żelazce. I będzie też zależało od tego, co dalej stanie się z wizerunkiem Lecha Kaczyńskiego. Jeśli rytuałowi stanie się zadość i oderwie się on od rzeczywistości, to stanie się trwałym symbolem, jak choćby Józef Piłsudski, na którego w ogóle już nie patrzymy przez pryzmat jego słabości. Jeśli jednak ktoś ten symbol zawłaszczczy, wykorzystując go na przykład w kampanii prezydenckiej, to ludzie się od niego odwrócą. Bo skupiliśmy się wokół niego tylko pod warunkiem, że jest ponad podziałami, że jest ogólnonarodowy. Każda próba instrumentalizacji skończy się źle.

A może pojawi się ktoś, kto będzie o sobie mówił, że jest kontynuatorem jego myśli, działań?

– Wówczas nie będzie mógł być agresywny, nie będzie mógł za dużo mówić. Nie wiadomo, czy Jarosław Kaczyński mógłby być tak wstrzemięźliwy w walce wyborczej. Mit prezydenta zaszkodził też Bronisławowi Komorowskiemu.

Ludzie będą ich porównywać?

– Komorowskiemu będzie bardzo trudno utrzymać narrację w opozycji do PiS, a zwłaszcza w opozycji do prezydenta, bo jeśli on sam na chwilę stał się symbolicznie Lechem Kaczyńskim, to jak się od tego odbić? Nie może go krytykować, bo byłby małostkowy. A istotą PO jest bycie w opozycji: my jesteśmy tacy, bo jesteśmy inni od tamtych. To dzięki temu wiele osób ich popiera, choć nie zna programu Platformy.

A pan wywiesił flagę na znak żałoby narodowej?

– Nie. Nie chcę tego, co się stało, przeżywać „narodowo”. Uważam, że taki kontekst wciska przeżycia w obowiązkowy wymiar bezrefleksyjnej wspólnotowości. A ja chcę przeżyć to osobiście, a nie jako doznanie zaprojektowane przez naszą prometejsko-męczeńską kulturę. □



Konstytucja 3 maja wiązała się z tragedią targowicy



Insurekcja kościuszkowska to ludowa ofiara na ołtarzu niepodległości Polski



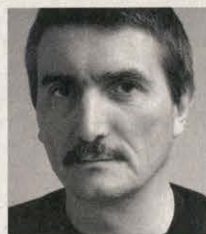
Credo Józefa Piłsudskiego: Lepiej „bić się do zgonu, niż oddychać hańbą”

— Wojciech Mazowiecki —

Co robi Jarosław Kaczyński?

Prezes PiS znów dzierży klucze do polskiej polityki. Nie wszystkie, ale to od jego decyzji zależy jakość debaty publicznej po zakończeniu żałoby narodowej

PIS JEST ROZBITE I OBOLAŁE. Partia straciła najtęższe głowy, prezes przeżywa wielki osobisty dramat. Towarzyszy temu powszechny odruch solidarności i współczucia, zupełnie naturalny po smoleńskiej katastrofie. Ten gest nie oznacza wcale rozgrzeszenia z błędów popełnionych w latach IV RP, ale wśród zwolenników tego projektu pojawiła się bardzo silna pokusa takiego jego odczytania i politycznego wykorzystania. Dla wielu z nich w obliczu rozpaczki jedyną iskierką nadziei stała się wiara, że ojczyzna, która Lecha Kaczyńskiego za życia nie zrozumiała, po tragedii musi temu zadośćuczynić. Ta wiara jest istotna, nie można jej lekceważyć – nie wszystkie działania dadzą się sprowa-



Wojciech Mazowiecki, dziennikarz, pracował w „Gazecie Wyborczej”, „Przekroju”, teraz jest szefem programowym Superstacji

dzić tylko do manipulowania nie-szczęściem. Ta wiara jest też groźna, bo może się łatwo przerodzić w kolejny polski fanatyzm.

Powtórzmy: pokusa, by budować teraz politykę na naturalnym odruchu społecznego współczucia, jest olbrzymia. A to wcale nie jest jeszcze najgorsze. Już w trakcie żałobnego tygodnia pojawiła się gotowość do moralnego linczu wobec ludzi takich jak Janusz Palikot. Z kręgu prawicowych publicystów wylała się chęć odwetu, rzucenia na kolana przeciwników Lecha Kaczyńskiego i ich publicznego rozliczania. To oczywiście na dłuższą metę nie najlepszy pomysł i dość szybko doprowadziłby PiS do roztrwonienia okazywanej mu dziś solidarności – może jednak skutecznie i na długi czas zatruć

atmosferę polityczną w Polsce. Dlatego tak ważne jest, co robi Jarosław Kaczyński.

MOŻE SIĘ PO PROSTU ZAŁAMAĆ I WYCOFAĆ z życia publicznego. Po ludzku rzecz biorąc, byłaby to decyzja zupełnie zrozumiała i dość prawdopodobna. Jednak nie w kategoriach polityki, a ta jest żywiołem i sensem życia Jarosława Kaczyńskiego. Tylko on jest w stanie zapanować nad PiS i pomóc pozbyć się dziś prawicy. Ma największy kapitał współczucia i nawet przeciwnicy – choć uważają, że wiele niedobrego Polsce w przeszłości wyrządził – nie życzą mu zakończenia politycznej kariery w takich okolicznościach.

Znacznie bardziej prawdopodobny jest więc wariant przeciwny. Jakoś nikt nie wierzy, że Jarosław Kaczyński – mimo strasznej traumy – nie pozbiera się politycznie. To osobowość niezwykle twarda i mocna. Będzie też podda-

ny silnej presji ze strony swoich zwolenników, bo rzeczywistość jest ich jedyną nadzieją.

Jego powrót może być agresywny, obliczony na szybki rewans i wykorzystanie źle odczytanego nastroju chwili – to wariant, niestety, najbardziej prawdopodobny. Powrót spokojniejszy byłby możliwy, jeśli chwilowe zjednoczenie Polaków i ich wznieślenie się ponad politykę Jarosław Kaczyński wzięłby do siebie jako odrzucenie także jego stylu działalności publicznej. To dziś wygląda na pobożne życzenie, ale pozwoliłoby mu przecież na działanie bardziej długofalowe. A dla atmosfery politycznej byłoby znacznie korzystniejsze, choć – tu nie ma raczej żadnych złudzeń – służyłoby jedynie spokojniejszemu i godniejszemu, ale jednak odbudowywaniu IV RP.

Nowy projekt polityczny już powstaje na bazie mitu zmarłego tragicznie Lecha Kaczyńskiego. Jego pierwszym aktem – założycielskim – był pogrzeb na Wawelu. Wybór tego miejsca zburzył żałobę narodową. Jarosław Kaczyński – nawet jeśli nie był inicjatorem – zdawał sobie sprawę z politycznych konsekwencji tego pomysłu, ale nie uczynił nic, by podziałowi narodowemu w takiej chwili zapobiec. To budzi obawę, że jednak wybrał wariant agresywny. Konsekwencją byłby jego start w wyborach prezydenckich, czemu może towarzyszyć kampania daleka od niedawnego nastroju. Niekoniecznie objawi się to w retoryce samego prezesa PiS. Wystarczy, że wróci atmosfera rozliczeń, wrogości i moralnego wzmocnienia na modłę znaną z IV RP. Publicyści prawicy już zachęcają do tego polityków. Podobnie stało się pięć lat temu, po wielkim uniesieniu narodowym po śmierci papieża. Dlaczego by więc teraz odpuścić? Ludzkie współczucie pozwoliło uwierzyć PiS i wielu jego zwolennikom, że nadszedł czas na bój ostateczny. Są przekonani, że trzeba zdążyć wykonać ten moment. Bo tylko działając szybko i agresywnie, można liczyć na odzyskanie przynajmniej prezydentury.

WPRZECIWIENSTWIE DO TEGO, CO SIĘ działo pięć lat temu, mamy dziś do czynienia z wyraźną erozją autorytetu Kościoła katolickiego. Katalizatorem najgorszego scenariusza, jaki zbiera się nad Polską, mogą być ambicje niektórych hierarchów i widoczna gotowość do politycznego wikłania tej instytucji.

O Rádiu Maryja wspominać wiele nie warto – bo łatwe do przewidzenia były zarówno jego działania, jak i konsekwentny brak reakcji biskupów na agresję tego środowiska.

Zdarzył się jednak niebywały incydent podczas żałoby: w katedrze przemyskiej ksiądz wyraził żal, że nie rozbił się inny samolot lecący do Katynia – z premierem na pokładzie. Reakcji hierarchów na to nie było.

Czwartego dnia żałoby narodowej kardynał Stanisław Dziwisz wyszedł z zaskakującą inicjatywą pochowania tragicznie zmarłego prezydenta na Wawelu. I niewiele myśląc,

po kilku godzinach sprawę nieodwołalnie za-
klepał. Jednocześnie wystąpił z fałszywym ape-
lem o jedność, choć doskonale wiedział, że po-
dzieli polskie społeczeństwo, choćby dlatego,
że jeszcze przed ostateczną decyzją odciął się
wyraźnie od niego niektórzy hierarchowie, na
przykład biskup z jego diecezji. Episkopat Pol-
ski dwa dni później uznał jednak za stosowne,
by zaapelować do osób, które ta decyzja do-
tknęła, o niewyrażanie swych uczuć.

Wspomnieć też trzeba o mijaniu się
z prawdą rzecznika kardynała, który sugero-

POLSKA JEST DZIŚ INNYM KRAJEM NIŻ PRZED
10 kwietnia. Nie lepszym, nie gorszym, ale
takim, w którym wszystko się zdarzyć mo-
że, bo jesteśmy emocjonalnie rozchwia-
ni. Katastrofa i nastrój końca świata, jaki się nam
udzielił, powoduje powszechny postulat „lepszey”
polityki. Co to konkretnie ma znaczyć, nikt nie
wie. Jedno jest tylko pewne: Platforma Obywatel-
ska nie może dalej opierać swej strategii na pro-
stym zanegowaniu PiS.

Jest bardzo ważne, jak po zakończeniu formal-
nego czasu żałoby i rozpoczęciu za chwilę kampa-



Mało kto
wierzy,
że mimo
olbrzymiej
traumy, jaką
przeżywa,
był premier
nie wróci
do polityki

wał rzekome ustalenia z władzami państwo-
wymi (od czego odciął się marszałek Ko-
morowski) i inicjatywę rodziny w tej spra-
wie (czemu zaprzeczyli między innymi An-
drzej Duda, minister z Kancelarii Prezydenta,
i Adam Bielan, jeden z najbliższych ludzi Jaro-
sława Kaczyńskiego).

I po co to wszystko? Przecież Lech Ka-
czyński – choć można by wiele gorzkich słów
o nim powiedzieć – był naprawdę człowie-
kiem skromnym i do jego postawy inicjatywa
kardynała o miejscu pochówku zupełnie nie
przystawała. Nie sposób tego odebrać inaczej
niż zaangażowanie się kardynała w konkret-
ny projekt polityczny za cenę zburzenia cze-
goś naprawdę w Polsce ważnego. To było, nie-
stety, pierwsze błogosławieństwo dla scena-
riusza agresywnego.

W nadchodzącym więc czasie decyzje we-
wnątrz polskiego Kościoła będą miały du-
że znaczenie także dla klimatu naszego życia
publicznego. Bo nie jest obojętne – z punktu
widzenia poprawiania klasy politycznej – jak
zachowuje się instytucja aspirująca do tytu-
łu najwyższego powszechnego autorytetu.
Czy będzie demonstrować fałszywą jedność,
by ukryć ambicję jednego z pasterzy. Czy też
będzie poskramiać wszelkie próby włącza-
nia Kościoła w bieżącą agresywną politykę
– od zwykłych księży do hierarchów. To zresz-
tą jest istotne także dla samej tej instytucji.

nii wyborczej będzie się zachowywać partia rzą-
dząca. Na razie po katastrofie postępuje wzoro-
wo, co źle znoszą zwolennicy szybkiego rozlicza-
nia przeciwników Lecha Kaczyńskiego. Także bez
zarzutu jest marszałek Komorowski, który na każ-
dym kroku podkreśla, że tylko administruje, cza-
sowo pełniąc obowiązki głowy państwa.

Jeśli atmosfera polityczna w Polsce stężeje, PO
– i we własnym interesie, i w ogólnym – powin-
na jak najdłużej schodzić z linii strzału, nie dać się
sprowokować, nie oddawać ciosów. I wcale tu nie
chodzi o jakąś pokutę, ale o to, że od rządzących
więcej i dłużej niż od innych będzie się wymagać.
Ale to tylko pierwszy test dobrych intencji.

Drugim będzie unikanie pokusy powrotu
do gnuśnej dotąd strategii anty-PiS. To zagro-
żenie jest całkiem realne: cóż bowiem prostsze-
go niż pozwolić PiS rozwinąć skrzydła i tylko
chwilę poczekać, aż społeczna sympatia odwróci
się od agresora. A potem znów wejść w zwarcie
i stare koleiny, jawiąc się jako cywilizowa-
na wersja prawicy. Tyle że to za mało – przynaj-
mniej z perspektywy dzisiejszej tęsknoty za lep-
szą polityką.

Bo jeśli polska polityka ma się zmienić na lep-
sze, to dużo musi się zmienić po każdej stronie.
Strasznie ciężko w to uwierzyć. Łatwiej już w to,
że w ostatecznym rachunku społeczeństwo uka-
rze każdego, kto zburzy te marzenia lub będzie ni-
mi manipulował. Tylko jak wiele osób zdąży to za-
uważyć przed najbliższymi wyborami? □



Warszawa, lotnisko Okęcie, Jarosław Kaczyński oddaje hołd tragicznie zmarłemu bratu

RZĄDY LUDZI ZRANIONYCH

Od chwili katastrofy pod Smoleńskiem nastroje społeczne falowały w sposób nieprzewidywalny – od szoku, niedowierzania, przez smutek, po protesty związane z miejscem pochówku prezydenckiej pary. Do czasu podjęcia tej decyzji podziały polityczne poszły na bok. Unikano oceny prezydentury Lecha Kaczyńskiego, a koncentrowano się na przymiotach człowieka, którego wspominano ciepło i serdecznie. Potem nastrój żałobnej powagi na chwilę przysł. – To zrozumiałe, bo uzasadnieniem dla pochowania obok królów nie może być wyłącznie to, że ktoś był miłym człowiekiem i miał serdeczne, bliskie małżeństwo. A przecież przez pierwsze dni jedynie to było tematem żałobnych adoracji prezydenta. Teraz musi paść pytanie o zasługi, o konkretne decyzje, a nie tylko o dobre intencje. O dokonania, a nie tylko o marzenia. Pojawiają się porównania do marszałka Józefa

— Rozmowa Katarzyny Janowskiej —

WESZLIŚMY W TĘ TRAGEDIĘ JAKO TŁUM,
A WYCHODZIMY JAKO LUDZIE WSPÓLNIE PŁACZĄCY.
MAMY FLAGI PRZEPASANE KIREM, A NIE NADZIEJĄ.
JESZCZE NIE UMIEMY PATRZEĆ W PRZESZŁOŚĆ,
BY CZERPAĆ Z NIEJ SIŁĘ NA MIERZENIE SIĘ
Z PRZYSZŁOŚCIĄ – MÓWI PROFESOR PIOTR SZTOMPKA,
SOCJOLOG Z UNIwersYTETU Jagiellońskiego

Piłsudskiego. Słyszałem też, jak ktoś szukał podobieństw między świętej pamięci panią Marią i królową Jadwigą. Tyle że takie oceny to już kwestia polityczna, która niestety znów dzieli zjednoczonych jeszcze kilka dni temu Polaków. Nieuchronnie wróciła krytyka prezydentury przez jednych i daleko trudniejsza na racjonalnym gruncie jej idealizacja przez drugich. Wielka, wielka

szkoda, że tak się stało, bo w jednej chwili na skutek podejmowanej sercem, a nie rozumem decyzji roztrwoniliśmy ogromny społeczny kapitał zjednoczenia w tragedii, żalobie i bólu. Jeszcze jakiś czas na fali rozpędzonych ponad wszelkie granice uniesień polskiej duszy wielu rodaków będzie decydować o pochówku na Wawelu popierać. Głosy rozsądku będą w mniejszości. Pó-

Profesor Sztompka:
– Mam nadzieję, że ta dramatyczna danina
krwi 96 osób nie pójdzie na marne



niej jednak przyjdzie refleksja. A wcześniej wymuszona zapisami konstytucji szybka i obawiam się, że na tej antagonizującej opinię publiczną sprawie skoncentrowana kampania prezydencka. Miało być tak pięknie, a będzie jak dawniej. **Wiem, że to określenie spoza naukowej terminologii, ale przy okazji dramatycznej katastrofy doszła chyba do głosu wspomniana przez pana profesora polska dusza.**

– Oczywiście socjolog używa słowa „dusza” metaforycznie, zresztą nawet pojęcie „charakter narodowy” jest metaforyczne. Nie chodzi bowiem o jakieś psychologiczne cechy, ale o naznaczenie ludzi w danym kraju pewnymi nawarstwiającymi się doświadczeniami historycznymi, które wytwarzają szczególny typ odruchów. To właśnie nazywam w skrócie polską duszą. Co w niej zagrało w ostatnich dniach? Przede wszystkim nasza emocjonalność, która jest, być może, słowiańska. Kiedy patrzymy na to, co dzieje się w Rosji, budzi to wielki respekt, szacunek, ale wynika po części właśnie ze słowiańskiej emocjonalności, która odzywa się nawet w tych na co dzień zimnych przedstawicielach tamtejszych władz.

Inna bardzo charakterystyczna dla naszego narodu cecha to niezwykle silne przeżywanie śmierci i pamięci. Nigdzie na świecie Dzień Wszystkich Świętych nie wygląda tak jak u nas. To polski fenomen – przywiązanie do pamięci i podnoszenie śmierci do rangi fundamentalnego doświadczenia, które powinno się przechowywać, pielęgnować.

I trzeci czynnik, po części uniwersalny, ale w Polsce niezwykle silny, to odczucie braku wspólnoty ponadrodzinnej, ponadprywatnej. Ciągłe powtarzamy, że w Polsce daleko jeszcze do odrodzenia się społeczeństwa obywatelskiego. Równocześnie wszelkie badania pokazują, że ludzie wspólnot potrzebują, szukają wspólnot zastępczych. Znamy z niedawnej historii takie momenty, tyle że miały one różny od obecnego wymiar. Mam na myśli oczywiście śmierć Jana Pawła II, a wcześniej mobilizacje narodowych, wspólnotowych, patriotycznych i religijnych sentymentów podczas wizyt papieskich.

Do tego trzeba dodać katolicyzm. Kościół katolicki w odróżnieniu od protestanckiego opiera się na wspólnej rozmowie z Bogiem w kościele, nie samemu, nie w pojedynkę. Poza tym odwołuje się do pięknych idei, jak przebaczenie i miło-

sierdzie. W takich momentach jak po katastrofie pod Smoleńskiem na wierzch wychodzą archetypy, ukryte warstwy kultury długo przez naród celebrowanej.

A do tego wszystkiego doszła jeszcze jedna rzecz, zupełnie banalna – katastrofa zdarzyła się w sobotę. Sobota i niedziela to przecież momenty refleksji, także refleksji metafizycznej dla wierzących. W pierwszy roboczy dzień wszystko wróciło do normalnego trybu i dobrze, bo na tym polega mechanizm ludzkiego ratowania się przed dramatem śmierci. Bez rutyny, bez pracy, bez codzienności, bez tego, że znów nas otacza masa spraw do załatwienia, tkwilibyśmy w tym wstrząsie, traumie.

Podsumowując, zadziałał polski obyczaj – te świeczki, te kwiaty; i chrześcijańskie podłoże naszej kultury, dzięki któremu zapomniałmy z dnia na dzień o tym, co jeszcze niedawno mówiliśmy o niektórych spośród zmarłych.

Pojawiły się głosy, że ci, którzy atakowali prezydenta, nie mają teraz prawa ciepło go wspominać. Zdecydowanie się z takim stanowiskiem nie zgadzam.

– A ja uważam, że to było bardzo pięknie i po chrześcijańsku, ale mało rozumnie: niektórzy z dnia na dzień zapomnieli, że jeszcze niedawno mówili o małości, a dziś mówią o wielkości, ba!, o bohaterstwie. Z perspektywy racjonalnej to rzeczywiście trudne do uzasadnienia.

Rozmawialiśmy po raz pierwszy bezpośrednio po katastrofie i wtedy zastanawialiśmy się, czy to jest chwilowy wzlot emocji, czy coś głębszego. Teraz nastrój jest już inny, ale to nie znaczy, że trauma minęła. Może nawet kolejne wydarzenia jeszcze ją wzmacniają.

– Nasuwa się porównanie z pierwszą pielgrzymką papieską, którą sam bardzo przeżywałem. Błonia wypełnione dwumilionowym tłumem, uniesienia patriotyczne, ludzie nagle się do siebie uśmiechają – kiedyś nazywałem to w rozmowie z panią cudem socjologicznym. Sytuacja z ostatnich dni jest z pozoru podobna, ale obawiam się, że w istocie inna. Tamta była pozytywną mobilizacją narodowej energii, patriotyzmu, chęci walki, poczucia godności – rok później przerodziła się w ruch Solidarności. Dała fantastyczne efekty. Dziś każdy historyk przyzna, że to był impuls do duchowej przemiany narodu, który przyszedł jako tłum, a wyszedł z mszy papieskich jako społeczeństwo.

A jako kto wyjdziemy z tej tragedii?

– Przyszliśmy jako tłum, a wychodzimy jako żałobnicy, ludzie wspólnie płaczący. Mieliśmy ściśnięte gardła albo lzy w oczach, a nie wyciągnięte ręce z palcami ułożonymi w znak V. Mieliśmy flagi przepasane kirem, a nie nadzieją. To zupełnie inne odczucia. I chyba bardziej ulotne, szybciej przemijające, łatwiej stwarzające pokusę politycznych manipulacji.

Te manipulacje chyba już się zaczęły albo wkrótce zaczną. Prezydent pochowany wśród najwybitniejszych Polaków – to, obym się myliła, może być zarzewiem politycznych przepychanek.

– Jeśli mówimy o polityce, to do mojej listy dorzuciłbym jeszcze jedną polską specyfikę, która mocno zaważyła na reakcji społecznej. Polska to polityka osób. Myślimy wszystkich albo prawie wszystkich tych tragicznie niedawno mówiliśmy o niektórych spośród zmarłych. To szalona różnica.

Czy z tego, co się wydarzyło, może płynąć jakaś siła?

– Tak. Polska pamięć o martyrologii, o daninach krwi, o autentycznych, a nie malowanych emocjami bohaterach to jest siła, która pozwoliła nam przejść i przez rozbiory, i przez wojny światowe, i przez realny socjalizm, i dotrzeć do wolności. W tamtą czarną sobotę pod Smoleńskiem znów przydarzyła nam się trauma, znów martyrologia ludzi, którzy wprawdzie nie walczyli przeciw czołgom, ale zginęli na służbie. Jechali oddać hołd pomordowanym oficerom i utrwalić pamięć o tragedii sprzed 70 lat.

Dobrze, że będą pomniki. Mam nadzieję, że wszystkich ofiar, a nie tylko wybrańców. Dzień 10 kwietnia będzie pewnie świętem narodowym. Dramatyczne momenty, śmierć najbliższych, tragedie rodzinne kształtują nas, zmieniają. Ból nie idzie na marne.

Z drugiej strony jednak jesteśmy mocno naznaczeni pesymizmem. Czy dodatkowo dawka martyrologii może przynieść coś pozytywnego? Czy na tym możemy budować nowoczesne społeczeństwo?

– Sam chętnie bym widział tę nowoczesną perspektywę, która każe myśleć nie o przodkach, tylko o następach; →

Piotr Sztompka, socjolog, profesor UJ. Wydał 20 książek, między innymi „Rethinking Progress” (1990), „Society in Action” (1991), „Traumę wielkiej zmiany” (2000) oraz tłumaczoną na wiele języków „Sociology of Social Change” (1993), której polskie wydanie ukazało się w 2005 roku pod tytułem „Socjologia zmian społecznych”. **Laureat nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej** nazywanej polskim Noblem.



Pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski. Na krakowskich Błoniach dwa miliony ludzi. Papieska msza dała im poczucie godności, siłę do walki

—> kiedy się buduje nie pomniki, tylko szklane domy; kiedy się skupia nie na pracy grabarzy, tylko na pracy organicznej – dla dzieci i wnuków, dla przyszłych pokoleń. Tak czynią kraje szczęśliwsze w swoich losach od naszego, które teraz na świecie przodują. Pamiętamy 11 września. Na oczach całego świata zginęły tysiące ludzi, runęły dwa budynki będące symbolem Stanów Zjednoczonych, ale reakcje Amerykanów były inne niż nasze – zwarli szeregi, skonsolidowali się wokół prezydenta, nawet jeżeli nie był wzorem charyzmatycznego przywódcy. Heroizowali nie tych, którzy zginęli, ale tych, którzy walczyli, by innych ratować – strażaków i policjantów. Potem wojna z terroryzmem, mobilizacja narodu, zgoda na ograniczenia wolności obywatelskich. I to w Ameryce! Zgoda narodowa z myślą o przyszłości, a nie o tym, żeby czcić i pamiętać. Oczywiście Amerykanie też pamiętają, ale w miejscu WTC nie zbudują pomnika, lecz nowy budynek, centrum przemysłu i handlu. Może my, Polacy, kiedyś dojdziemy do tej nowoczesnej postawy – nauczymy się patrzeć w przeszłość, ale czerpać stamtąd nie lzy, lecz siłę mierzenia się z przyszłością.

Pan profesor przypomina WTC i pozytywnych bohaterów tamtego dramatu. W naszej sytuacji pozytywnymi bohaterami mogliby się stać tylko politycy, jeżeli zmieniliby na dłużej język, obyczaje, przedmiot swoich debat.

– Marzyłoby się, aby ta brutalizacja polityki, jakiej przez ostatnie lata byliśmy świadkami, odeszła w przeszłość. Czy to realne? Mam obawy, ale marzenia też mają swą moc sprawczą, więc pomarzę sobie z panią przez chwilę. Ci, którzy będą przez najbliższą dekadę, dwie uczestniczyć w polityce, to będą ludzie tak czy owak zranieni, bo ich koledzy, przyjaciele, przełożeni i podwładni zginęli w tragicznych okolicznościach, a rany jeszcze się pogłębiły w atmosferze narodowej żałoby. Zranieni zaś mają to do siebie, że są



bardziej refleksyjni, może bardziej chrześcijańscy i etyczni. I może to przekleństwo polskiej polityki, jakim była nieustanna i brutalna walka, nieco się złagodzi. Nie mówię, że ma zniknąć, bo nie wrócimy do plemiennej wspólnoty. Żyjemy w kraju podzielonym interesami, wartościami, dążeniami, a teraz jeszcze tą decyzją wawelską. To jest nieuchronne, całe sedno demokratycznego myślenia to pluralizm, różne poglądy i wartości. Wierzymy w różnych bogów, mamy różnych idoli. Ale może zmieni się sposób traktowania właśnie tych, którzy mają inne przekonania i lojalności. Uznamy, że to nie są wrogowie, ale co najwyżej konkurenci, a może nawet ci, od których można się nauczyć i dowiedzieć czegoś sensownego.

Inne marzenie – mam wrażenie, że bardziej realistyczne – wiąże się z niespodziewanymi i zupełnie w polskiej perspektywie historycznej unikalnymi reakcjami rosyjskimi na naszą tragedię zarówno ze strony polityków, jak i zwykłych ludzi. To daje nadzieję, że nasze odwieczne fobie, konflikty i rany można jednak w nowoczesnym świecie z obu stron przezwyciężyć, co byłoby ze wszech miar sytuacją wymarzoną.

Więc może jednak ta dramatyczna dżina krwi 96 ofiar nie pójdzie na marne? Może to nie będą tylko marzenia? □

W reakcji na 11 września Amerykanie zwarli szeregi. Bohaterami uczynili nie tych, którzy zginęli, ale strażaków, którzy ratowali innych



— tekst Milena Rachid Chehab, zdjęcia Rafał Milach —

Siedem tamtych dni

GDY OPADNĄ EMOCJE, ZACZNIEMY WSPOMINAĆ, CO ROBILIŚMY W TYCH SZCZEGÓLNYCH DNIACH. PO PIERWSZYM SZOKU SZYBKO ZROZUMIELIŚMY, ŻE JESTEŚMY ŚWIADKAMI HISTORII. DO WARSZAWY ZACZĘŁY CIĄGNĄĆ DZIESIĄTKI TYSIĘCY LUDZI, BY POŻEGNAĆ PREZYDENCKĄ PARĘ. COFNIJMY SIĘ DZIEŃ PO DNIU, ABY LEPIEJ ZROZUMIEĆ, CO SIĘ STAŁO W TYM TYGODNIU



KARA BOSKA Z TĄ CHMURĄ PYŁU. NIEBO MŚCI SIĘ ZA KŁÓTNIE O WAWEL – WZDYGAŁA SIĘ CZYNNY, KTÓRY CODZIENNIE ZAPALA ZNICZ PRZED PAŁACEM

PIĄTEK: TO BĘDZIE W PODRĘCZNIKACH

W całej Europie paraliż lotniczy porównywany do tego z 11 września 2001 roku. Winna jest chmura pyłu znad Islandii. Od rana nie cichną spekulacje: co z pogrzebem, z delegacjami zagranicznymi, z transportem. Pojawiają się teorie spiskowe. – To kara boska z tą chmurą – nie ma wątpliwości Paweł, który przed Pałac Prezydencki codziennie przyjeżdża spod Warszawy motocyklem. – Niebo mści się za kłótnie wokół Wawelu. Dobrze, że tylko tak – wzdycha. Kolejka do pałacu ciągnie się aż za kolumnę Zygmunta. Ludzie przyjeżdżają z całej Polski, stoją po kilkanaście godzin, harcerze wnoszą ofiary omdleń i wyziebień – średnio 20 na godzinę. 19-letni Mateusz Kucharski przybył z Człuchowa na Pomorzu (400 kilometrów). O staniu od 7.40 do 1 w nocy mówi: – Może się wydawać, że przyjazd tutaj, a potem spędzenie kilkunastu godzin o dwóch cukierkach oraz zaliczenie omdlenia tylko po to, by przez kilka sekund przykłąknąć przed trumną, jest bez sensu. Ale prezydentowi za to, co zrobił dla kraju, należy się hołd. To również przygoda. Uczestniczę w czymś, o czym następne pokolenia będą czytały w podręcznikach – opowiada po wyjściu z gmachu. W kolejce poznał delegatów Babiogórskiego Parku Narodowego. – Gdyby nie to spotkanie, nie wiedziałbym, że to jedyny park narodowy, który w godle nie ma zwierzęcia, ale roślinę: okrzyna jeleniego – opowiada Mateusz. Wczesnym popołudniem w urzędach prawie nikt nie pracuje, wiele osób bierze wolne „z powodu żałoby”, studenci od paru dni mają dni rektorskie.



CZWARTEK: HANDEL KWITNIE

Hurtownie podniosły ceny zniczy tak, że o interesie, jaki ludzie zbijali od niedzieli do wtorku, nie ma już co marzyć. Oprócz świeczek (5 złotych) najlepiej sprzedają się tulipany białe, czerwone i biało-czerwone (2 złote sztuka, czarna wstążka gratis). Asortyment rozszerza się z godziny na godzinę, zwłaszcza że pozwolenie na handel nikt nie sprawdza. W czwartkowy wieczór przed pałacem można kupić między innymi: herbatę (4 złote, ale harcerze rozdają za darmo, podobnie jak wodę i czasem czekoladę), wafelki, flagi (małutka – 10 złotych, większa i samochodowa po 20), naklejki z polską flagą (5 złotych), wycięte z gazety i naklejone na kartkę lub wydrukowane na domowej drukarce zdjęcia pary prezydenckiej (5 złotych). Michał z pomocą dwóch kolegów od poniedziałku zarobił tu na cały semestr studiów geograficznych. Oprócz flag ma podświetlane plastikowe łańcuchy na szyję zakończone zawieszka w kształcie Polski lub serca, które ozdobione są napisem „Smoleńsk 10 IV 2010. Żałoba narodowa”. Po naciśnięciu przycisku zawieszki pulsują wszystkimi kolorami tęczy. Kosztują 20 złotych i sprzedają się jak świeże bułeczki.

ŚRODA: NIE PRZENOŚCIE NAM STOLICY DO KRAKOWA

Awantura o Wawel toczy się na ulicach, w sklepach, tramwajach, a nawet w korkach, w których bywa, że kierowcy trąbią na samochody z krakowskimi rejestracjami.

– Po co było to całe gadanie o żoliborskiej inteligencji, powstańczej tradycji rodzinnej, po co kilka lat rządów stolicą, po co w ogóle z Warszawy było stolicę robić, skoro jak przychodzi co do czego, to z prezydenta robią krakusa aż przykro – denerwuje się starszy pasażer tramwaju linii numer 7 wracający po codziennym rytuale stawiania znicza przed pałacem.

W Krakowie protesty z transparentami „Bez przesady”, „Zginął śmiercią tragiczną, a nie bohaterską”.

Przynajmniej połowa tłumu z Krakowskiego Przedmieścia nie ma jednak wątpliwości, że zmarłemu prezydentowi pochówek koło Piłsudskiego po prostu się należy.

– Za to, co zrobił dla kraju, jak zginął, no i za to, jak przez pięć lat znosił opluwanie w mediach – wyjaśnia Anna Lendla, która przyjechała z rodziną z Koła w Wielkopolsce na „żywą lekcję historii”.



WTOREK: TEORIE SPISKOWE

– Od soboty przewiozłem już około 40 osób. Jakies 80 procent z nich nie miało wątpliwości, że to wina Ruskich. Wiadomo. Komu mogło zależeć na tym, żeby zginął nasz prezydent? Już raz próbowali, ostrzeliwując go w Gruzji. A teraz go zabili. Całą naszą elitę wymordowali, urządzili nam drugi Katyń – opowiada taksówkarz stojący w korku wzdłuż trasy przejazdu konduktu z trumną Marii Kaczyńskiej. Panią Magdę, która pomaga harcerzom ustawiać znicze i zdjęcia przed pałacem, pytam wieczorem, skąd wziął się zestaw takich samych dużych portretów Marii Kaczyńskiej.

– Ta gazeta, wie pani jaka, zostawiła wczoraj w nocy.

– Dziennikarze?

– No co pani – patrzy na mnie jak na nierozgarniętą. – Całe ich środowisko. Pani nie widzi? Ci wszyscy ludzie kładą kwiaty i znicze panu Szmajdzińskiemu i pani Szymanek-Deresz!

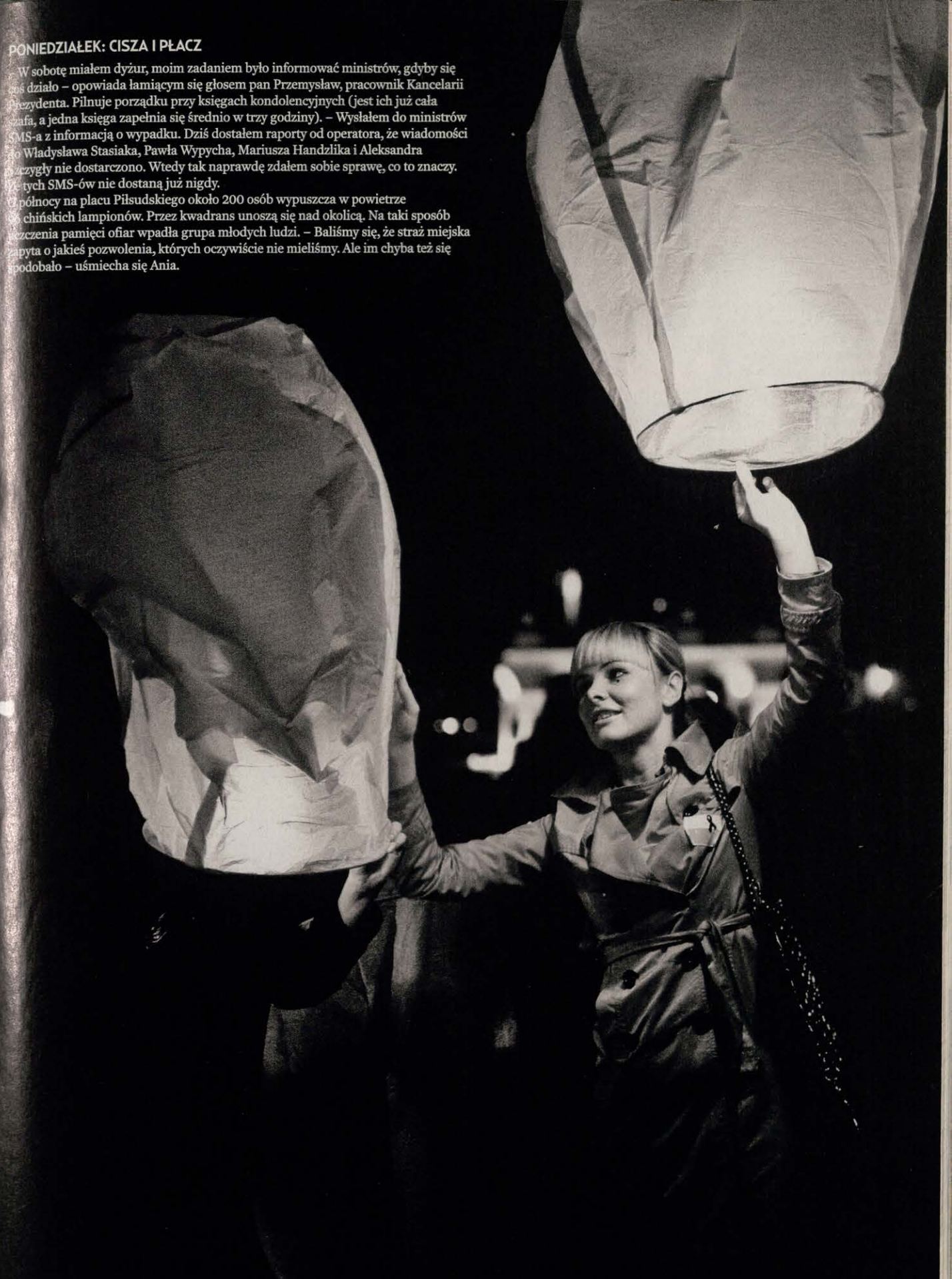
– Jak to?

– A czyje portrety są największe? Zwykli ludzie tego nie postavili! Zwykli ludzie nie stawiają zdjęć Lecha Kaczyńskiego na samej ziemi, by wiadomo było, kto był najważniejszy! Jestem psychologiem, to jest przekaz podprogowy. Tu się manipuluje ludźmi jak w telewizji. A niby dlaczego „Wyborcza” dała na pierwszej stronie zdjęcie prezydenckiej pary na ciemnym tle? Manipulacja podprogowa. Mówię pani, niech pani tylko nie głosuje na Platformę.

PONIEDZIAŁEK: CISZA I PŁACZ

W sobotę miałem dyżur, moim zadaniem było informować ministrów, gdyby się coś działo – opowiada łamiącym się głosem pan Przemysław, pracownik Kancelarii Prezydenta. Pilnuje porządku przy księgach kondolencyjnych (jest ich już cała szafa, a jedna księga zapełnia się średnio w trzy godziny). – Wysłałem do ministrów SMS-a z informacją o wypadku. Dziś dostałem raporty od operatora, że wiadomości do Władysława Stasiaka, Pawła Wypycha, Mariusza Handzlika i Aleksandra Łęczyńskiego nie dostarczono. Wtedy tak naprawdę zdałem sobie sprawę, co to znaczy. Te SMS-y nie dostaną już nigdy.

O północy na placu Piłsudskiego około 200 osób wypuszcza w powietrze chińskich lampionów. Przez kwadrans unoszą się nad okolicą. Na taki sposób pamięci ofiar wpadła grupa młodych ludzi. – Baliśmy się, że straż miejska zapyta o jakieś pozwolenia, których oczywiście nie mieliśmy. Ale im chyba też się spodobało – uśmiecha się Ania.



NIEDZIELA: KONDUKT

Po południu Warszawa zamiera. Przez miasto jedzie kondukt z trumną Lecha Kaczyńskiego. Wzdłuż trasy tłumi ludzi, a wśród nich kobieta w okularach z różowymi szklami.
– Ratuje się przed rozpaczą – tłumaczy zapłakana.
Po przewiezieniu trumny do Pałacu Prezydenckiego tysiące ludzi przechodzą pod budynek i stają w kolejce, by wpisać się do wyłożonych ksiąg kondolencyjnych. Piszą: „Panie Prezydencie, choć dotąd byłem Pana wielkim krytykiem, perspektywa śmierci wszystko zmienia”; „Pokonałem 350 kilometrów, żeby być tu z Wami. Wasza śmierć dała mi chęć do życia. Dziękuję Wam za świadectwo życia małżeńskiego”; „Nie trzeba być wysokim, aby być wielkim. Na zawsze w sercu i w pamięci!”.



NA MIEJSCU UROCZYSTOŚCI KATYŃSKICH JEST JUŻ PREZYDENT POLSKI LECH KACZYŃSKI



NOSIŁA TVP1 O 9.11 W SOBOTĘ. SAMOŁOT SPADŁ KWADRANS WCZEŚNIEJ



SOBOTA: TRAGEDIA

O 9.11 Krzysztof Ziemięć zapowiada w TVP1 relację z Katynia: „Dziś uroczystości wyjątkowo polskie. Na miejscu jest już prezydent Polski Lech Kaczyński, są też przedstawiciele, kilkuset przedstawicieli Rodzin Katyńskich”. Na ekranie ujęcia, jak prezydent z małżonką składają kwiaty pod pomnikiem ofiar. Pół godziny później okazuje się, że zdjęcia pochodzą z archiwum.
O 8.56 Tu-154 rozbił się, podchodząc do lądowania na lotnisku w Smoleńsku. Po 10 przed Pałacem Prezydenckim pojawiają się pierwsze znicze i kwiaty.



— Rozmowa Piotra Najstuba —

UWAGA, NADCIĄGA JEGO WYSOKOŚĆ MIT

NA NASZYCH OCZACH, CZASEM BEZ NASZEJ ZGODY, POWSTAJE NOWY MIT. BĘDZIE NAMI PRÓBOWAŁ RZĄDZIĆ, BO TAKA JEST JEGO NATURA – OCENIA CHŁODNO PROFESOR JERZY JEDLIICKI

Czy na naszych oczach tworzy się nowy mit, tragiczny mit?

– Chyba tak.

Jak by pan opisał ten mit?

– Na szczegółowy opis jeszcze chyba za wcześnie, dopiero wylania się zarys mitu. Na razie mamy zjawisko licytacji na symbole. Czymś takim jest choćby ostatnia okładka „Przekroju” z datami zbrodni katyńskiej i tragicznego wypadku pod Smoleńskiem, to znaczy łączenie obu wydarzeń klamrą symboliczną, jak gdyby to był dalszy ciąg tej całej historii albo jej rewers... A przecież jedno z drugim ma niewiele wspólnego, to zbieżność przypadkowa, koincydencja, tragicznie nieszcześliwy wypadek.

A geografia?

– Tylko geografia. Jednak my bardzo lubimy takie symboliczne zbieżności. Niezależnie od światopoglądu jest w nas ten romantyzm, a więc niesłychanie silna i głęboka potrzeba jakiejś wspólnotowej symboliki. Stąd ta licytacja na symbole: najpierw się mówiło „cmentarz wojskowy”, ktoś to przebija „Świątynią Opatrzności”, potem jeszcze mocniejsze „podziemia archikatedry Świętego Jana” i wreszcie kardynał Dziwisz oznajmia „Wawel”. Tego już nikt nie przebija. Zwycięza ten, kto zalicytował najwyżej, zagrał na emocjach narodowych najsilniej, bo Wawel to jest jednak...

Nic bardziej polskiego nie mamy.

– Tak, bo to tradycja, nasza historia, wieki patrzą na nas. Odtąd każdy, kto powie: no tak, ale majestat śmierci przemienia, wszyscy w końcu jesteśmy śmiertelni, a oceniać się będzie wedle tego, czego mógł ktoś dokonać i czego dokonał, a w tej mierze to nie był prezydent jakiejś królewskiej miary – będzie na przegranej pozycji.

Więc sceptycy są na przegranej pozycji.

– Nie, raczej nie będą chcieli brać udziału w tej licytacji. I tak stworzy się nowa symbolika dat, miejsc, osób, grobów królewskich itd., powstanie legenda, która zakrzepnie prawdopodobnie w rodzaj mitu przesłaniającego rzeczywiste, twarde historyczne realia.

To będzie mit fałszywy, prawdziwy? Już kończąc to pytanie, poczułem, że nie jest zbyt mądre...

– Rzeczywiście, bo mity nie są ani prawdziwe, ani fałszywe, mity tworzą pewną strukturę logiczno-symboliczną, która żyje sama dla siebie i sama się tłumaczy. Dlatego mówimy o nich mity, że nie są stwierdzeniami historycznymi, które można weryfikować za pomocą źródeł. Jednocześnie są prawdziwe w tym sensie, że zaczynają włączyć ludzkimi emocjami, pamięcią i przekonaniem.

Ten mit tworzący się na naszych oczach może utrudnić realną ocenę prezydentury Lecha Kaczyńskiego czy nawet ją wykoławić, a do tego będzie zamykał usta oponentom albo przynajmniej zwolennicy tego mitu będą próbowali zamknąć nim usta politycznym oponentom. Czy można temu zapobiec?

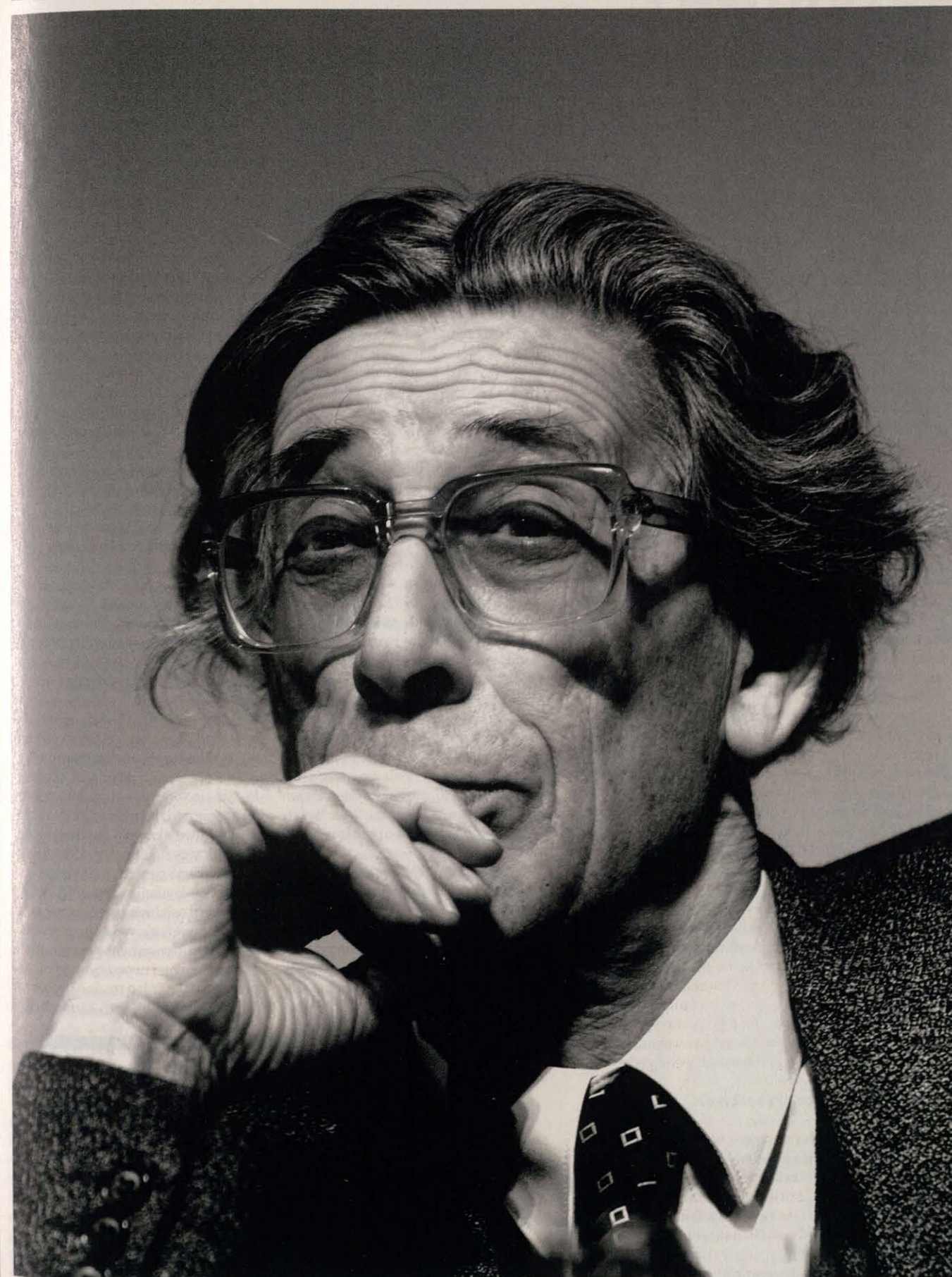
– Nie. Ta decyzja wawelska jest w tym sensie niefortunna, że po niej na nic już się zdały apele kardynała Dziwisza o jedność. Symboliczna wartość została podniesiona za wysoko, wielu to czuje i dlatego ta decyzja już dzisiaj skłóca ludzi i antagonizuje społeczeństwo.

Ten mit może nam przynieść coś dobrego?

– Jak każde zdarzenie, które w jakiś sposób spaja wspólnotę narodową. Ale to właśnie się skończyło. Trzy

dni trwało takie poczucie, że wszyscy czujemy podobnie, niezależnie od tego, z jakiej konfesji politycznej jesteśmy, dlatego że wśród ofiar są ludzie wszystkich partii, ugrupowań, zawodów. A nawet gdyby tak nie było, to stało się wielkie nieszczęście i w jego obliczu ludzie wychodzą na ulice i są razem, poruszeni. I to masowe poruszenie pchnęło decydentów ku Wawelowi, który paradoksalnie tę wspólnotę uczuć przełamał. Bo kilka dni podsycania patriotycznych emocji wymusiło traktowanie tej tragedii jako wydarzenia o znaczeniu, jakiego ona nie ma. Katastrofa nie ma żadnego znaczenia, jest po prostu bolesnym wypadkiem, ale kiedy się temu przypisuje naddatek symbolu, to emocje spontaniczne, pozytywne, wspólne zaczynają pękać.

Oczywiście jest jeszcze drugie, odczuwalne zdarzenie pozytywne. Można było przez tych kilka dni poczuć, że puściły lody w stosunkach polsko-rosyjskich. Jednak z tego, co słyszę, lud dopatruje się w katastrofie odruchowo jakiegoś celowego działania, zmyślenia albo bożej woli w ostateczności. Lud – jak pan wie – nie wierzy w przypadki. Przypadek jest czymś, co w pospolitym mniemaniu wymaga racjonalizacji, wytłumaczenia, ujawnienia ukrytych przyczyn. Już przecież krążą różne niestworzone opowieści... I nie wiadomo, czy zwycięży przekonanie ludzi racjonalnych, że teraz rzeczywiście dzieje się coś dobrego w stosunkach polsko-rosyjskich zarówno na szczeblu władzy, jak i w stosunkach międzyludzkich. Więc nawet nie jest pewne, czy to drugie dobro się osto. Jestem w tej chwili – jeżeli chodzi o dalszy rozwój wypadków – bardzo ostrożny. Nadzieja, że nastąpi →



→ jakaś nowa jakość w życiu publicznym, może nie przetrwać, ona już się kruszy.

Na pewno w obliczu rozbitego samolotu i szczątków ludzkich premier Tusk i premier Putin przełamali barierę, bo zobaczyli razem coś strasznego. I w tym sensie ich rozmowy będą odtąd wyglądały inaczej. Nie sądzę więc, żeby spiskowa teoria miała się ugruntować.

– Ona prawdopodobnie będzie podskórna, nie na powierzchni, te „czarne” wątki i opowieści będą się lęły w ludzkich głowach. Może też, a mamy już tego początki, na antenie Radia Maryja czy w niektórych parafiach.

Od kilku dni jak mantrę powtarza się zdanie, że „elity polskie doznały znacznego uszczerbku”, że elita, inteligencja długie lata będzie musiała zapełniać tę dziurę.

– Jedni mówią, że nie ma ludzi niezastąpionych, inni – wręcz przeciwnie, że każdego można zastąpić. Co to znaczy zastąpić? Każdy człowiek jest osobną jednostką, indywidualnością ze swoimi myślami, uczuciami, cnotami, wadami i dopóki jeszcze nas się nie klonuje, każdy z nas jest niezastąpiony. Ginąc, ginie całkowicie, jako osobny byt. Natomiast jeżeli pan pyta o inteligencję w ogóle, o państwo, to oczywiście, że tak nie jest. Szczerby są poważne, ale one będą w dwóch znaczeniach zastąpione. Najszybciej w urzędach, w instytucjach itd., gdzie muszą zostać wypełnione w ciągu kilku miesięcy. Najbardziej dotkliwe są w wojsku, bo rzeczywistość polegała cała wojskowa elita, ale i w Kościele, i w Kancelarii Prezydenta, w Sejmie i rządzie. W prawnym, konstytucyjnym porządku ci ludzie zostaną zastąpieni. Czy ich zastępcy będą od nich lepsi, czy gorsi, tego nikt nie potrafi dzisiaj powiedzieć. Inne zgoła jest pytanie: czy jest to wielka wyrwa w potencjale polskiej inteligencji? Nie wydaje mi się. Inteligencja przeżyła nieporównanie większe straty i istnieje dalej, jest zastępowalność pokoleniowa.

Mówię o tym dlatego, że dość łatwo niektórzy szermują porównaniem z wielotysięcznym mordem polskiej inteligencji w Katyniu.

– To są właśnie porównania moim zdaniem niedopuszczalne zarówno jeżeli chodzi o skalę, jak i o przyczynę. Tam była zbrodnia z premedytacją, a dzisiaj jest to bardzo nieszczęśliwy wypadek osób, spośród których każdy z nas kogoś znał osobiście lub z działalności publicznej. To byli wspaniali ludzie, a wielu z nich należało do tych bardziej widocznych warstw społeczeństwa. Choć nie zawsze, bo przecież są te młodziutkie stewardesy, są urzędniczki, funkcjonariusze BOR, których mało kto znał, a których jest ogromnie żal. Jednak nie można tego porównywać ze stratami wojennymi, z Katyniem, z powstaniem warszawskim, z egzekucjami inteligencji. Nie godzi się takiego porównania czynić.

Ta tragedia zamuruje polską politykę?

– Co to znaczy?

Zamuruje, czyli wszyscy zastygną w dzisiejszych pozach – jedni będą na sztandarach mieli zmarłego tragicznie prezydenta pochowanego królewsko na Wawelu, a drudzy będą zakłęci tym symbolem milczeli i w związku z tym nie atakowali wprost przeciwników politycznych.

– Nie, nie będą milczeli. Nie będą na razie krytykowali zmarłych, ale będą atakowali żywych. Nie po-

Z patriotyzmem jest jak z pobożnością – to są sentymenty falujące. Aktywizują się w momentach, kiedy wydarzy się coś, co je pobudza, a potem po prostu przygasają

wiedziałbym tego w minioną sobotę ani w niedzielę [10, 11 kwietnia – przyp. red.], ale dzisiaj mamy środę [14 kwietnia – przyp. red.] i widzę, że sprawy idą już w innym kierunku – silnego rozłamu w społeczeństwie. Więc nie sądzę, żeby miało nastąpić zamurowanie. Będzie rozłam i gdy jedni będą płynąć na fali tej legendy czy tego tworzącego się mitu, inni będą zjeżeni przeciwko niemu. Kościół, większa jego część, już jest na tej fali, choć biskup Pieronek wypowiedział się w innym duchu, więc nawet w Kościele może być rozdźwięk.

Czy to wydarzenie spowoduje, iż brat prezydenta będzie miał nieporównanie większą przewagę polityczną nad wszystkimi innymi, dlatego że...

– I co więcej, niezależnie od tego, czy będzie miał na to ochotę, czy nie, będzie musiał kandydować, bo największa partia opozycyjna nie może sobie pozwolić na to, żeby nie wystawić kandydata, a innego nie ma. Więc będzie kandydował jako kontynuator dzieła swojego brata.

Zdecydują emocje wyborców? Żeby oddać to, co okrutny los zabrał bratu?

– To będzie miało znaczenie. W każdym razie będzie miał mocniejszą pozycję, niżby miał Lech Kaczyński. Te wydarzenia w ogóle mogą spowodować przetasowania w życiu politycz-

nym. Trudno jednak wdawać się w jakieś przepowiednie. Sytuacja jest bardzo płynna.

Czy żywi rządzący stanęli na wysokości swojego smutnego zadania wynikającego z frustracji?

– Zachowują się tak, jak powinni – i Komorowski, i Tusk – do tej chwili przynajmniej. Taktownie i z szacunkiem dla zmarłych, ich rodzin, dla rosyjskich partnerów.

A ten podział, który następuje w związku z pochówkiem na Wawelu, jaki najczarniejszy scenariusz może spowodować?

– Moim zawodem jest relacjonowanie tego, co się zdarzyło, a nie tego, co się zdarzyć może, więc niech mnie pan zwolni z odpowiedzi, zwłaszcza że przepowiednie czasami same sobie napędzają wiarygodność.

Nie da się użyć jakiejś historycznej paraleli?

– Nie. Jedno przewiduję – że ten pokój boży szybko się skończy, ale co się z tego rozwinie, to tego nie wiem.

Padają też głosy, że ta katastrofa w symboliczny sposób kończy pewną epokę.

– „Kończy się epoka”; „już nic nie będzie takie jak dawniej” – to są wyświechtane formuły, frazesy, które wyrażają chwilowy stan emocjonalny, ale które nie mają żadnego znaczenia w sensie prawdziwego przewidywania.

Ci, którzy mówili o końcu epoki, twierdzili, że w ten sposób kończy się symbolicznie era solidarności.

– Era solidarności dawno się skończyła. Nic się w tej chwili nie kończy, dalej będzie podział na dwa główne bloki plus dwa skrzydła bardziej skrajne i ludowcy na dodatek. Rząd Tuska będzie trwał pewnie jeszcze rok czy półtora w koalicji z PSL. PiS będzie w opozycji osłabione przez stratę swoich czołowych aktywistów, a wzmożone tym ogromnym pobudzeniem emocjonalnym i tworzącym się mitem prezydenta. Bardzo trudno będzie się pozbywać SLD, bo jego kandydat też

zginął, a innego na jego miejsce nie wiadać. Taka będzie sytuacja.

Myśli pan, że ten mit, który powstaje na naszych oczach, zmieni też nasze społeczne pojmowanie patriotyzmu? Bo podkreśla się, że prezydent pochowany na Wawelu kultywował i szerzył konkretny model patriotyzmu.

– Ten model patriotyzmu stale istnieje i ma swoje media. Z patriotyzmem jest jak z pobożnością – to są sentymenty falujące. Aktywizują się w momentach, kiedy wydarzy się coś, co je pobudza, a potem przygasają, nie nikną, ale przygasają. To oczywiście niejedyny model patriotyzmu, bo istnieje również patriotyzm mi bliski, dużo bardziej zracjonalizowany, oparty na poczuciu odpowiedzialności za skutki naszych słów i czynów. On również ma swoją bogatą historyczną tradycję, ale w mniejszym stopniu porusza ludzkie serca i emocje. Więc w tej chwili mamy niewątpliwie do czynienia z silnym wzburzeniem emocjonalnym patriotyzmu bardzo tradycyjnego, przywiązanego do tej całej kopuły symbolicznej – barwy narodowe, śpiewy narodowe, godła narodowe, wspomnienia narodowe, zwłaszcza wspomnienia walk zbrojnych i martyrologii. Ten wzór doznał znacznego wzbudzenia, ale myślę, że po pewnym czasie osłabnie, choć jeszcze długo może dominować.

I wpływać na przykład na wyniki wyborów politycznych?

– Z pewnością. Pytanie tylko, jaką to ma siłę wychowawczą dla młodzieży, która – wydawało się – jest coraz chłodniejsza, jeśli chodzi o uczucia ojczyźniane... Sądząc po głosach w radiu, telewizji, prasie, jest spora grupa młodzieży, która właśnie doznała takiego obudzenia. Jednak kiedy umarł papież, to też czegoś podobnego doznawali, a tymczasem tak zwane pokolenie JPII jest dzisiaj zanikające. Takie przeżycia pozostawiają ślady w biografiach indywidualnych, ale nie sądzę, żeby zmieniały ludzkie postawy. Dyspozycje psychiczne zbiorowości zmieniają się bardzo wolno.

Czy ta tragiczna śmierć zmieni taką emocjonalną pozycję funkcji prezydenta w ludzkich głowach? Bardziej do nich dotarło, kim jest prezydent, kto to jest prezydent, po co jest prezydent?

– Paradoxs sytuacji polega na tym, że prezydent nie jest właśnie w konstrukcji politycznej RP kluczową figurą, więc musi raz po raz negocjować swój zakres kompetencji i obowiązków. Kwaśniewski robił to zresztą, a Kaczyński bardziej stanowczo i wchodząc w konflikty z rządem. Ale z drugiej strony frekwencja w wyborach prezydenckich zawsze była większa niż w innych.

– W każdych wyborach spersonalizowanych frekwencja jest większa niż wtedy, kiedy się głosuje na partię. To nie dlatego, że wybieramy prezydenta, tylko dlatego, że osobę.

Ta katastrofa może zwiększyć frekwencję w nadchodzących przymusowych wyborach?

– Tak, myślę, że tak.

To dobrze czy źle?

– Proszę o następne pytanie.

A może powinno być tak, że naród co jakiś czas podejmuje emocjonalne decyzje? Że to go jakoś kształtuje w inny sposób niż racjonalność?

– To przeciwstawienie jest trochę sztuczne, właśnie ono jest nieracjonalne. Ważenie racji oraz skutków zachowań ludzkich bynajmniej nie wyklucza zaangażowania emocji, tyle że staramy się je kontrolować. A czasem, gdy są bardzo gorące, wręcz fanatyczne, wymykają się spod kontroli i wtedy mogą stawać się niebezpieczne. Dzisiaj jednak różnica dwóch rodzajów patriotyzmu ma charakter aksjologiczny, światopoglądowy, a na dodatek jest różnica – jak by to powiedzieć – może stylu? Jeśli już miałbym mówić osobiście, to ja źle się czuję w zbiorowych poruszeniach. Na przykład nie włączyłem się aktywnie w ruch Solidarności w 1980 roku, bo nie wszystko mi się tam podobało, ale też dlatego, że mając naturę raczej sceptyczną, nie chłodną, lecz właśnie sceptyczną, z pewnym dystansem obserwowałem ten wielki ruch społeczny: jako zjawisko bardzo interesujące psychologicznie, historycznie, socjologicznie. Nie potrafiłem jednak włączyć się w rozgorączkowany, modlący się, uparty tłum. Po prostu temperamentalnie tego nie umiem. Więc teraz też nie potrafię się w to włączyć.

Panie profesorze, a jak moglibyśmy rozbroić ten mit, o którym ustaliliśmy, że...

– A ustaliliśmy już coś?

Na początku ustaliliśmy, że niesie ze sobą zagrożenia.

– Może zagrożenia dla pana, może dla mnie, ale nie z punktu widzenia większości...

Mam świadomość, jakim dla wielu ludzi ten mit będzie błogosławieństwem, że oto wreszcie jest jasność...

– Tak, więc myślę, że z tą naszą rezerwą znajdziemy się w mniejszości. A zatem w demokracji, w której ostateczną rację ma większość, nie ma jak rozbroić mitu. Będziemy prawdopodobnie zabierać głos w tej sprawie i – przynajmniej na początku – ostrożnie, dlatego że ściąganie to gniewu ludu, a gniew ludu bywa straszny. Tyle że bardzo szybko stygnie, a mity stygną wraz z nim. Do następnego razu.

PRZE KROJ

1 RYKI I PISKI

PIOTR NAJSZTUB ROZMAWIA

Z TOMKIEM LIPIŃSKIM

Jeszcze 30–20 lat temu polscy muzycy rockowi pomagali obalać państwo. Jak krzyczeli „wolność!”, to czuli, co krzyczeli. Jak śpiewali „precz z przemocą”, to krytycy milczeli, a recenzje pisali milicjanci. Co widzi, jak się dziś wokół siebie rozgląda ówczesna legenda punk rocka Tomek Lipiński?



2 DROGA NA 6. PIĘTRO

KAROLINA PASTERNAK

Michał Żebrowski otworzył właśnie prywatną scenę Teatr 6. Piętro. Aktor, w którym widziano następcę Zbigniewa Zapasiewicza i Gustawa Holoubka, dziś w swoim teatrze zatrudnia celebrytów. Zaszedł aż tak wysoko czy spadł z wysokiego konia?

3 GWAŁCENI DŹWIĘKIEM

OLGA WOŹNIAK

Jak dawno czyściłeś uszy? Tylko bez zachnień proszę. Nie będę tu nikogo odpytywać z higieny osobistej, idzie mi o rzecz dużo bardziej fundamentalną – zanieczyszczenie hałasem

NAJPOPULARNIEJSZE NA
PRZEKROJ.PL

Jerzy Jedlicki – historyk idei, profesor Polskiej Akademii Nauk. W ubiegłym roku odebrał naukową Nagrodę imienia Jerzego Giedroycia Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej za wydane pod jego redakcją trytomowe „Dzieje inteligencji polskiej do roku 1918”. W książce „Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują” Jedlicki opisał wizję rozwiązań społecznych kreślonych dla naszego kraju od XVII wieku, a w „Świecie zwyrodniałym” rozprawił się z europejską myślą konserwatywną ostatnich stuleci. Jest przewodniczącym rady programowej stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita, które walczy z antysemityzmem i ksenofobią. **W PRL zakładał nielegalne Towarzystwo Kursów Naukowych.** Sprzeciwia się procesowi karnemu wytoczonemu przez IPN autorom stanu wojennego, w tym generałowi Jaruzelskiemu. Ma 80 lat.

Wygrał tylko dlatego, że zaostorzono kryteria.



Golf. Najbezpieczniejszy samochód w testach NCAP.



W 2009 roku instytut Euro NCAP zaostriżł kryteria testów zderzeniowych. Golf w klasyfikacji łącznej uzyskał najlepszy wynik, zdobywając tytuł najbezpieczniejszego samochodu. Golf zapewnia najwyższy poziom bezpieczeństwa, oferując w standardzie m.in. systemy ABS, ASR, EDS i MSR oraz siedem poduszek powietrznych, w tym poduszkę chroniącą kolana kierowcy. Gwarantujemy – to najbezpieczniejszy wybór.

Volkswagen. Ponad standard to standard.



Das Auto.

Wygrał, bo jest najlepszy.



Polo. Car of the Year 2010.



Stworzyliśmy nowe Polo tak, by nikt nie miał wątpliwości, że jest najlepsze. Ponadczasowy, elegancki styl, komfortowe wnętrze oferujące jakość dotąd niespotykaną w tej klasie, innowacyjne, dynamiczne silniki, ekonomiczne i zarazem ekologiczne – Polo nie ma sobie równych. Dlatego specjaliści motoryzacyjni z 23 krajów przyznali mu prestiżowy tytuł samochodu roku. **Volkswagen. Ponad standard to standard.**



Das Auto.

CYWILIZACJA

→
W tym tygodniu:
SPRAWDZAMY, CZY ŚWIAT
W LUSTRZE JEST TOKSYCZNY,
I PRÓBUJEMY PRZEWIDZIEĆ,
CO NAS CZEKA ZA PÓŁ ROKU



Na prawo byt, na lewo niebyt

ODBICIA IRENA CIEŚLIŃSKA, ILUSTRACJA TOMEK KARELUS

Kiedy świat pękł na dwoje, życie zostało po jednej stronie lustra. To, co dzieje się po drugiej, bywa groźne, dziwne, niezwykle, ale zawsze jest fascynujące

NA POZĄTKU PO DRUGIEJ STRONIE WSZYSTKO wyglądało tak jak po tej właściwej, po której mieszkała Alicja, zanim zdecydowała się przejść przez zwierciadło. W kominku palił się ogień i było ciepło. – Całe szczęście – pomyślała sobie. – Przecież gdybym zmarła, nie mogłabym włożyć rękawiczek. Prawa nie pasowałyby już na prawą rękę, a lewa na lewą. Choć może mogłabym zamiast tego włożyć na prawą rękę lewą rękawiczkę i na odwrót?

Linia życia i śmierci

Z czasem podobieństwo świata po drugiej stronie lustra do tego z właściwej strony okazało się tylko pozorne. Przede wszystkim prawa ręka Alicji przestała nagle być tak zręczna (a przecież ręce powinny być przede wszystkim zręczne), za to lewa była zręczniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

Przewaga praworęcznych po właściwej stronie była znacząca już w epoce kamienia łupanego – 10 tysięcy lat przed naszą erą. Blisko 80 procent dłoni obrysowywanych na ścianach jaskiń to lewe dłonie, co oznacza, że prehistoryczni malarze prawicę mieli zręczniejszą.

To niejedyny dowód, że prawe i lewe nie jest traktowane przez naturę z równą sympatią. Nasze ciała nie są symetryczne – wątroba przesunięta jest na prawo względem osi ciała, natomiast śledziona, serce i żołądek na lewo. Zdarzają się jednak wyjątki od tej reguły. Jedna na pięć tysięcy osób zbudowana jest odmiennie. Z kolei niemal wszystkie ślimaki mają prawoskrętne muszle, a te, które na skutek przypadkowej mutacji noszą domki zwinięte w przeciwnym kierunku, zdarzają się tak rzadko, że w Indiach uważane były za święte.

O ile jednak na poziomie makroskopowym natura preferuje jedną stronę, ale dopuszcza odmienne, o tyle w mikroświecie dyskryminacja jest pełna. Helisa DNA wszystkich organizmów żyjących na Ziemi skrecona jest zawsze w prawo. Jeśli spotkacie kogoś, kto ma lewoskrętne DNA, strzeżcie się! Choćby wyglądał swojsko, nie dajcie się nabrać – to musi być Obcy.

Wszystkie ziemskie białka zbudowane są z lewoskrętnych aminokwasów i prawoskrętnych cukrów. Ich lustrzane odbicia są względnie niszczone. Przyroda nie uznaje w tym przypadku żadnych wyjątków.

Kiedy żywe komórki obumierają, cząsteczki, z których zostały zbudowane, powoli zmieniają skrętność. Badając, jaka część DNA uległa zamianie na nietypową dla żywych organizmów formę lewoskrętną, jesteśmy w stanie określić

wiek komórek sprzed dziesiątków tysięcy lat, i to o wiele dokładniej niż tradycyjną metodą opartą na oznaczaniu zawartości węgla C-14.

Jeśli jednak chodzi o syntetyczne związki chemiczne, wiele z nich ma swoje lustrzane odpowiedniki. Na pierwszy rzut oka bardzo podobne – złożone z tych samych atomów mają jednakową masę, jednakowy – no, może prawie jednakowy – wygląd. Są jak prawa i lewa ręka. Chemiczy nazywają je enancjomerami lub związkami chiralnymi (od greckiego *cheir* – ręka). Słowem – związki rękawiczniki.

Rękawiczniki mają niemal identyczne właściwości fizyczne i chemiczne, więc naprawdę łatwo je pomylić. Mają taki sam kolor, konsystencję, fakturę, wchodzą w takie same reakcje chemiczne. Co je różni? Sposób, w jaki działają na światło i żywe organizmy.

Kiedy hodowana przez Ludwika Pasteura pleśń *Penicillium glaucum* dostawała na pożywece prawo- i lewoskrętne cząsteczki kwasu winowego, skrupulatnie wybierała i zjadała jedynie te pierwsze, drugie z obrzydzeniem odrzucając. Jak się okazuje, słusznie. Nienaturalne, skrecone w przeciwną do organicznej stronie izomery mogą być przyczyną chorób i przyspieszać starzenie.

Ludzie, niestety, nie są tak wybredni jak penicylina Pasteura. Przede wszystkim dlatego, że zaledwie niektóre chiralne odmiany potrafią odróżniać po smaku lub zapachu.

Gdyby Alicja przeszła na drugą stronę nie przez zwierciadło wiszące nad kominkiem w jadalni, ale przez lustro w łazience, mogłaby ją czekać niełicha konfuzja. Jej ulubione perfumy Alyssa Ashley o ciepłym magnetycznym zapachu piżma przestałyby pachnieć. Syntetyczne piżmo oparte na metylocykloketonach odbitych w lustrze traci intensywność.

To niejedyny zaskoczenie, jakie może przynieść perfumeryjna chemia. Cis oksatian, który po właściwej stronie pachniał owocami tropikalnymi z silną nutą grejpfruta, po drugiej stronie lustra czuć... cebulą, smażonym olejem z siewienia lnianego i zieloną herbata. Odbicie słodkiego kwiatowego trans oksatian pachnie czerwonymi rzodkiewkami i świeżo ściętą trawą. Lewoskrętne odmiany karwonu pachnie kminkiem, podczas gdy prawoskrętne nadaje charakterystyczny aromat mięcie. Ciastka pomarańczowe straciłyby aromat, bo odbicie prawoskrętnego limonenu („aromatu identycznego z naturalną pomarańczą”) pachnie limonką.

Na tym nie dość lustrzanych cudów: wykonywany w przemyśle spożywczym S feny-

loetanol pachnie delikatnie hiacyntem i gardenią, a w smaku przypomina truskawki. Jego lustrzane odbicie R fenyloetanol ma zapach miodowo-kwiatowy, a smakuje... jak niedojrzałe owoce. Zdarza się, jak dajmy na to w przypadku glukozy, że obie odmiany – i ta nasza, i ta lustrzana – są smakowicie słodkie, ale tylko (+) glukoza jest przyswajalna przez organizm. Odbita w lustrze (–) glukoza, choć słodka, nie jest trawiona. Nie sposób więc od niej przytyć.

Ciasteczko: nie jedz mnie

Gdy Alicja, bawiąc się z czarnym kotkiem, wdrapała się na półkę, nie miała jeszcze nawet ośmiu lat. Nie mogła więc być w ciąży. Dlaczego to takie ważne? Bodajże najgłośniejsza historia, która wskazała, jak groźne mogą być lustrzane odbicia związków chemicznych, dotyczyła kobiet spodziewających się dziecka.

Contergan, lek sprzedawany bez recepty w latach 1957–1961, miał działać delikatnie uspokajająco, przeciwdepresyjnie i lągo-



Śpiewak Thomas Quasthoff jest jedną z ofiar lewoskrętnego odmiany talidomidu

dzić mdłości ciężarnych. Zalecano go także jako środek pomocny w usypianiu niemowląt. W jednej reklamie wykorzystano zdjęcie malucha sięgającego po fiolkę leku, które podpisano: „Całkowicie nieszkodliwy nawet dla małych dzieci”. Niestety, właśnie dla tych najmniejszych, jeszcze nieurodzonych, specyfik okazał się tragiczny – powodował zniekształcenie kończyn i deformację układu pokarmowego.

„Mam 134 centymetry wzrostu, krótkie ramiona, siedem palców – cztery prawe, trzy lewe, dużą głowę, brązowe oczy, wydatne wargi. Mój zawód: śpiewak” – przedstawia się dziś podczas koncertów jeden z najlepszych →



→ bas-barytonów operowych Thomas Quasthoff, Tony Meléndez, wirtuoz gitary, gra stopami – urodził się bez rąk. Mat Fraser, rockman i aktor, wykonuje striptiz obejmujący zdejmowanie protetycznych ramion. To tylko niektóre z ponad 10 tysięcy dzieci urodzonych z niewykształconymi rączkami i nóżkami, których kalekie stopy oraz dłonie wyrastały bezpośrednio z tułowia.

Późniejsze badania wykazały, że talidomid, substancja czynna feralnego leku, składa się z cząsteczek chiralnych. Te o konfiguracji prawoskrętnej były bezpieczne. Te lewoskrętne już nie. Niestety, preparat zawierał po połowie każdego rodzaju. Dziś mechanizm molekularny działań niepożądanych tego specyfiku jest, o ironio, dużo lepiej poznany niż... mechanizm działań terapeutycznych. Wiemy dokładnie, w jaki sposób dochodzi do uszkodzenia płodów – preparat wiąże i wyłącza cereblon, białko sterujące procesem rozwoju i formowania się kończyn. Nie do końca rozumiemy natomiast, co sprawia, że lek jest skuteczny w te-

rapii nowotworów, zwłaszcza szpiczaka mnogiego, mięsaka Kaposiego i trądu. A talidomid to niejeden farmaceutyk, który występuje w postaci dwóch lustrzanych odmian.

Na przykład enancjomery tyroksyny to dwa zupełnie różne leki. Dekstrotyroksyna zmniejsza stężenie cholesterolu i lipidów w surowicy, przyspiesza katabolizm, wzmacnia wydalanie cholesterolu, lewotyroksyna – hormon produkowany w tarczycy – przyspiesza przemianę białkową, cukrową, tłuszczową, przyspiesza czynność serca i zwiększa wydalanie moczu.

Dopa, lek stosowany w chorobie Parkinsona, ma działanie lecznicze tylko jako L-enancjomer. Jego odbicie, czyli D-dopa, jest biologicznie nieaktywne. Amfetamina w wersji S(+) wprawia mózg w euforię, ale jej lustrzane odbicie działa głównie na obwodowy układ nerwowy i serce, dając objawy podobne do zawału.

Dopiero rozgłos towarzyszący tragedii talidomidowej uzmysłowił ludziom, jak wielkie znaczenie ma wybiórczość przyrody w stosun-

ku do związków o określonej skrętności. Problem w tym, że o ile w naturalnych procesach otrzymujemy zawsze produkty zawierające lewoskrętne aminokwasy i prawoskrętne cukry, o tyle produkty syntetyczne zawierają zwykle mieszaninę „dobrej” i „złej” odmiany. Pewna ilość nienaturalnych prawoskrętnych aminokwasów znajduje się w fermentowanej żywności: serach, jogurtach, kwaszonych warzywach, piwie i winie.

Przeciętnie mamy w jadłospisie blisko jedną czwartą produktów składających się z obustronnych substancji. Czy jest się czym przejmować? Profesor Everhardus J. Ariëns z Uniwersytetu w Nijmegen w Holandii porównał działanie organizmu do bardzo złożonego urządzenia, w którym używa się tysięcy czy milionów śrub prawoskrętnych, ale dostawca części uparcie wysłał do niego komplety śrub zarówno prawo-, jak i lewoskrętnych. Połowa towaru jest do wyrzucenia, ale te tysiące niepotrzebnych śrub zanieczyszczają fabrykę, a przypadkowo użyte niszczą gwinty.

Cząstki i lustra

Dlaczego właściwie nasze organizmy zdecydowały się wykorzystywać tylko związki o jednej skrętności? Można w końcu wyobrazić sobie organizmy zbudowane tylko z prawoskrętnych aminokwasów zjadające się lewoskrętnymi cukrami (to byłoby oni – Obcy). Czemu życie na Ziemi wybrało tylko jedną stronę lustra? Na pewno po części ze względów praktycznych. Czy jakiegokolwiek inżynier o zdrowych zmysłach konstruowałby skomplikowany mechanizm wyposażony jednocześnie w śruby prawo-, jak i lewoskrętne? I konserwacja, i obsługa takiej maszyny musiałyby być niezwykle kłopotliwe.

A co jest odpowiedzialne za brak symetrii natury? Zwolennicy panspermii widzą w nim

FOT. WIKIPEDIA, GETTY/FPM (2), POLARIS/EAST NEWS, DPA/FORUM, SHUTTERSTOCK (2)

na przykład podrzutka z kosmosu. Przy syntezie związków w laboratorium chemicy otrzymują asymetryczne produkty przez naświetlanie reagujących składników światłem spolaryzowanym. A właśnie mocno spolaryzowane światło emitują gwiazdy neutronowe. Może wokół nich powstawały zarodki kosmicznej asymetrii? Rzeczywiście, w niektórych meteorach lewo- i prawoskrętne aminokwasy występują w całkowicie niezmiennych proporcjach. A może zawdzięczamy je działaniu naszej dziennej gwiazdy? Blask Słońca o wschodzie i o zachodzie jest spolaryzowany kołowo, ale raz, że bardzo nieznacznie, dwa – w przeciwnych kierunkach. Najprawdopodobniej więc to nie magia wschodów i zachodów jest odpowiedzialna za asymetrię życia. Inna z hipotez sugeruje, że pierwsze cegiełki życia powstały na Ziemi na asymetrycznym podłożu kwarcowym. Wśród kryształów kwarcu jest delikatna, 1,4-procentowa przewaga lewoskrętnych.

Długo wydawało się, że choć przyroda stroi sobie fochy i faworyzuje prawe, a nie lewe, to jednak przynajmniej fizyka jest całkowicie bezstronna. W 1957 roku za sprawą obserwacji rozpadu promieniotwórczego kobaltu przeprowadzonych przez Chien-Shiung Wu, fizyczkę z Uniwersytetu Columbia, musieliśmy pożegnać się z tym złudzeniem. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem produkty rozpadu, na przykład elektrony, powinny z tym samym prawdopodobieństwem wylatywać w górę co w kierunku przeciwnym. Wszystkim wydawało się to tak oczywiste, że nikt wcześniej nie podjął się sprawdzenia tego.

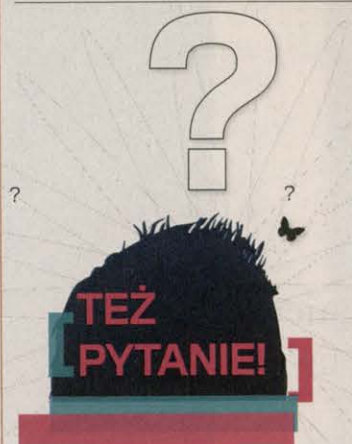
A jest co sprawdzać! To trochę tak, jakby co dzień rano wchodzić do łazienki i mrugać do lustra prawym okiem tylko po to, żeby się upewnić, czy odbicie tak jak co dzień posłusznie odmrugnie lewym. Znakomity fizyk, ojciec teorii kwantów Wolfgang Pauli pisał: „Nie wierzę, że Bóg jest słabym* mańkutem, i jestem gotów założyć się o wysoką sumę, że eksperyment da rezultat symetryczny”.

Pani Wu weszła pewnego ranka do łazienki i jej odbicie na mrugnięcie prawym okiem odpowiedziało... mrugnięciem prawą powieką. To oczywiście licentia poetica, odbicia ludzi (nawet fizyków) są bardziej zdyscyplinowane, ale... tak właśnie niesymetrycznie zachowują się cząstki elementarne w reakcji, którą obserwowała pani Wu.

Wydaje się więc, że u źródeł asymetrii w przyrodzie leżą właśnie niesymetryczne, faworyzujące jedną stronę prawa fizyki, konkretnie reguły rządzące zachowaniem tak zwanych słabych sił jądrowych. A że w fizyce – jak wiemy dzięki Einsteinowi – wszystko przekłada się na energię, to w konsekwencji pewne cząsteczki są energetycznie więcej warte niż ich lustrzane odpowiedniki. I ta różnica energii zapewne powoduje, że jeden izomer będzie zawsze nieco trwalszy niż drugi.

Komu się przysniło?

– Niech Wasza Wysokość tak głośno nie mruczy! – Alicja z należytym szacunkiem skarciła kotka, przecierając oczy. – Wasza Czarna Wysokość mnie obudziła, a miałam taki piękny sen! A ty, Kiciulku, przewędrowałeś ze mną cały Lustrzany Świat! Ale nigdy bym nie podejrzewała, że słabe oddziaływania mogły zamienić Cię w Czarną Królową. Chyba nie są jednak takie słabe, jak mi się wydaje... □



TEŻ PYTANIE!
Zadaj pytanie, odpowiemy na nie. Jeśli coś cię nurtuje, a nie wiesz, kogo zapytać, pisz na adres nauka@przekroj.pl. Za najciekawsze pytania przyznajemy nagrody

URSZULA DĄBROWSKA

1. CZY PSI ALBO MAŁPI OGON JEST PRZEDŁUŻENIEM KRĘGOSŁUPA? JEŚLI TAK, TO DLACZEGO MOŻNA GO ODCIĄĆ, NIE USZKADZAJĄC RDZENIA KRĘGOWEGO?

Ogon rzeczywiście jest przedłużeniem kręgosłupa, ale nie ma nic wspólnego z rdzeniem kręgowym. Nawet u ludzi niecały kręgosłup okala rdzeń. Jedynie siedem kręgów szyjnych, dwanaście piersiowych i dwa lędźwiowe. Pozostała część kręgosłupa (jeszcze trzy kręgi lędźwiowe, kość krzyżowa zrosnięta z pięciu kręgów i kość ogonowa) nie chroni rdzenia, lecz stanowi jedynie część szkieletu. Podobnie kości, które budują ogon zwierzęcia, też są tylko elementem konstrukcyjnym. Natomiast sam rdzeń kręgowy jest dość elastyczny (dlatego musi być chroniony przez kręgi). Dzięki temu jesteśmy w stanie poruszać głową – skręcanie szyi nie narusza przecież rdzenia.



Nasze nagrody – książki

J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowieść”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądą wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa; A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak

2. DLACZEGO DO DZIAŁAŃ MATEMATYCZNYCH UŻYWAMY ZNAKÓW „+”, „-”, „=”? CZEMU AKURAT TYCH?

Przez długi czas, praktycznie do XV wieku, w obliczeniach algebraicznych zamiast znanymi nam dziś równaniami posługiwano się pełnymi zdaniem. Do zapisu liczb używano cyfr, ale do opisu działań – słów. Aby przedstawić operację dodawania lub odejmowania, używano łacińskich terminów „plus” i „minus”, czyli dosłownie „więcej” i „mniej”. Z czasem skrócono słowa do pierwszych liter „P” i „M”. Ale w XVI wieku niemieccy księgowi i handlowcy zaczęli w swoich zapiskach używać znaków „+” i „-”, by zaznaczać nadwyżki lub niedobory w towarach (na przykład w beczkach, które mogły ważyć za mało lub za dużo względem normy). Znak plusa powstał prawdopodobnie przez skrócenie łacińskiego słowa „et”, które jest po prostu spójnikiem „i”. Niektórzy sądzą, że pozioma kreska minusa to też skrót, tym razem od literki „m” (to już wydaje się trochę naciągane). Wkrótce symbole zaczęły być używane w zapisach technicznych i naukowych. W tym samym czasie, a dokładnie w 1557 roku, Robert Recorde wprowadził znak „=”, który miał zastąpić w działaniach zwrot „równa się”. Walijski fizyk i matematyk uważał, że nic nie jest sobie bardziej równe niż dwie równoległe kreski. Jak widać, skutecznie przekonał do tego resztę naukowego świata. I to na dobre.



3. DLACZEGO POJAWIAJĄ SIĘ SIWE WŁOSY?

Włosy są zbudowane głównie z bezbarwnego białka keratyny. Dopiero pigment wytwarzany przez specjalne komórki melanocyty sprawia, że nasze włosy mają kolor. Eumelanina odpowiada za żółte odcienie blond, brąz i czerń. Feomelanina nadaje włosom odcienie czerwone i rude. Całkowity brak pigmentu we włosach (a także skórze i tęczówce oka) to wynik genetycznego zaburzenia – albinizmu. U zdrowych ludzi białe włosy zaczynają rosnąć, gdy melanocyty przestają pracować. Wraz ze starzeniem się organizmu komórki te stają się coraz mniej wydajne i obumierają. Nowo powstające włosy nie zawierają pigmentu i dlatego są szare, białe, a czasem po prostu przezroczyste.



Przewaga lewych, czyli dowód na prawnoręczność. Większość dłoni odbitych przez dawnych artystów to ręce lewe. Prawymi malowano

Prorok inżynier

Tylko dzieci i schizofrenicy nie postępują racjonalnie – mawia analityk CIA Bruno Bueno de Mesquita. Decyzje całej reszty można przewidzieć dzięki matematyce

PRZYSZŁOŚĆ PIOTR STANISŁAWSKI

Jak będzie wyglądała polska scena polityczna za pół roku? Dziś przewidzenie tego wydaje się niemożliwością, a próby publicystycznej futurologii kwitowane są wzruszeniem ramion. Zbyt wiele niewiadomych, za dużo czynników do wzięcia pod uwagę.

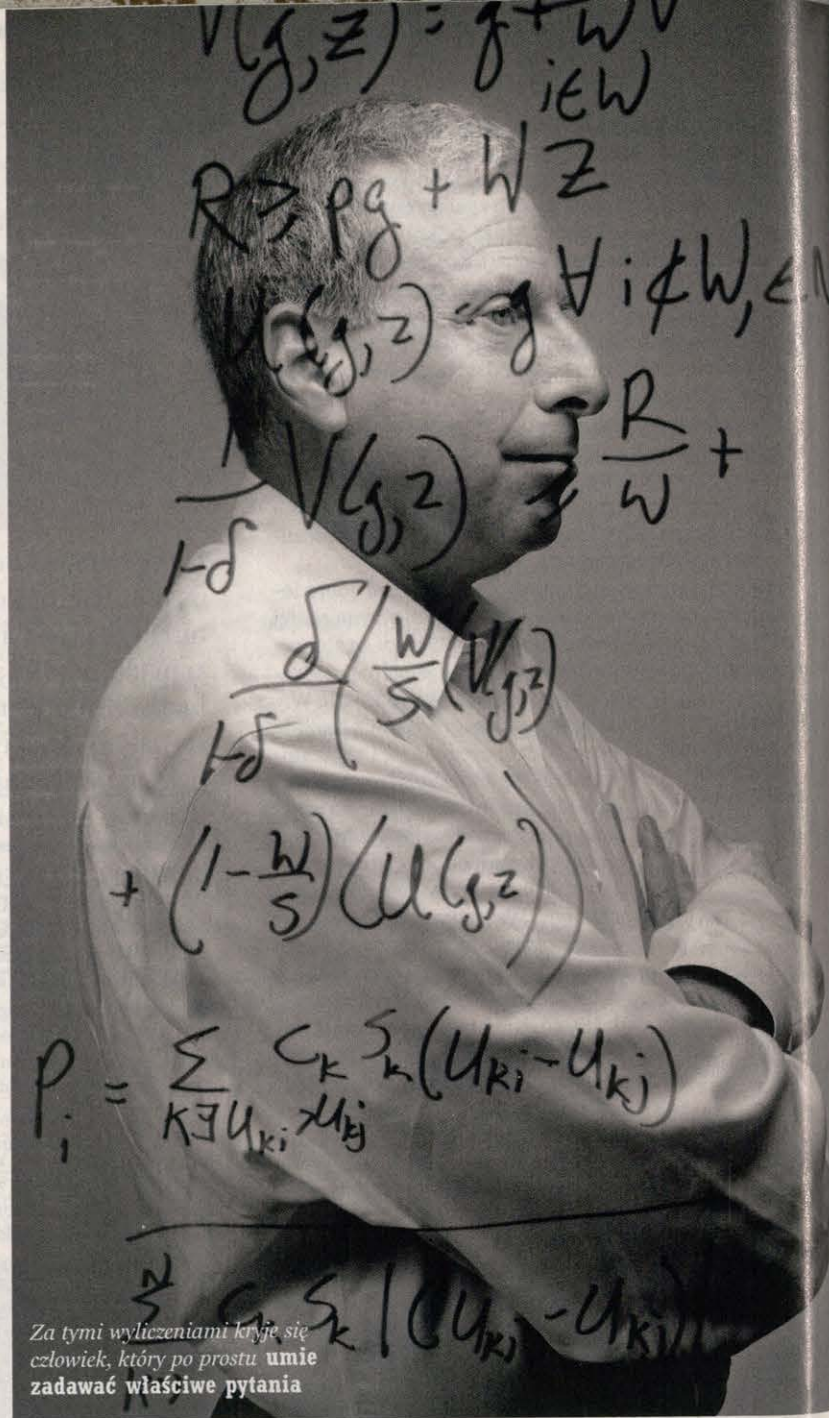
Jest jednak człowiek, który zapewne przewidziałby to ze szczegółami i niemal bez pomyłek. Nie jest to wybitny znawca spraw polskich, prawdę mówiąc, nasz kraj kompletnie go nie interesuje. Równie dobrze może zająć się przyszłością Indii, Izraela, Afganistanu czy Iranu. W zasadzie już się zajmował tymi krajami. Dlaczego? Bo leżą one w ścisłym kręgu zainteresowań CIA.

Taniec z algorytmem

Bruno Bueno de Mesquita nie próbowałby nawet dociec, czy rozbiorowa przeszłość Polski sprawi, że nasz strach przed Rosją zwycięży i podsyca nacjonalizm, albo czy umiejętne rozgrywanie polskiego mesjanizmu wykreuje nową patriotyczno-konserwatywną siłę polityczną. W świecie według tego amerykańskiego politologa ludzie kierują się prostą i uniwersalną zasadą – egoizmem. Niezależnie od wybranej taktyki i teorii, jaką się do niej dorabia, każdy ostatecznie dąży do tego, by było mu jak najlepiej. Tak, altruizm też wpisuje się w ten schemat, bo ma na celu zaspokojenie duchowych potrzeb.

Autorska metoda analizy, którą Bueno de Mesquita nazywa politycznym survivaliem, pozwala na przewidywanie rozwoju sytuacji, o której decyduje grupa ludzi. Mogą to być państwa, wielkie firmy, ale też niewielkie zespoły negocjatorów. Skoro zakładamy, że każdy kieruje się tym samym celem, odpada nam dociekanie osobistych preferencji i ukrytych zamiarów. Prymitywne? Być może, mimo to zadziwiająco skuteczne.

Bruno Bueno de Mesquita, wykorzystując osiągnięcia działy matematyki zwanego teorią gier*, rozwija polityczny survival od początku lat 80. To wtedy zaczął oferować prywatnym firmom przewidywanie przyszłości. Jednak sam pomysł ma znacznie dłuższą historię, która sięga lat 60. i książki Williama H. Rikera „The Theory of Political Coalitions”. 24-letni wówczas Bueno de Mes-



Za tymi wliczeniami kryje się człowiek, który po prostu **umie** zadawać właściwe pytania

quita został zaproszony przez Rikera do jego zespołu, gdy korespondencyjnie wykazał logiczny błąd w słynnej publikacji. I choć dziś w politologii teoria gier jest jednym z najczęściej stosowanych narzędzi, to Bueno de Mesquita stał się kimś w rodzaju proroka i ikony tego kierunku myślenia.

Z pewnością wielką w tym zasługą CIA, która od lat 80. zleciła mu przygotowanie ponad tysiąca prognoz dotyczących rozwoju sytuacji w różnych częściach świata. Ta współpraca jest jednym z najmocniejszych argumentów przemawiających za skutecznością politycznego survivalu – przez ostatnie ćwierć wieku władze w Centralnej Agencji Wywiadowczej zmieniały się tyle razy, że kolejne zlecenia

dla Bueno de Mesquity muszą być związane z jego osiągnięciami, a nie tylko towarzyskimi koneksjami. Dobrze o wynikach jego metody świadczy też intensywna współpraca z biznesem – politolog dorobił się niezłych pieniędzy na setkach większych i mniejszych zleceń, z których każde warte jest minimum kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

Jak więc można, wychodząc z dość prymitywnych założeń, osiągnąć tak imponujące rezultaty? Bruno Bueno de Mesquita rozpoczyna pracę od sformułowania właściwego pytania. W przypadku Polski mogłoby ono brzmieć: „Czy zwycięży opcja chrześcijańsko-konserwatywna?”. Wiadomo jednak, że na razie politolog go sobie

nie zada. Przeanalizujemy zatem przypadek rzeczywisty.

Rozpatrując w zeszłym roku sytuację w Iranie, Bueno de Mesquita zapytał: „Czy Iran zbuduje bombę atomową?”. Odpowiedzi brzmiały: „Tak, i przeprowadzi próbny wybuch”, przypisał umowną wartość 200 punktów, odpowiedzi: „Nie, i zarzuci program nuklearny” – 0 punktów.

Kolejnym ruchem jest przeprowadzenie wywiadów z ekspertami znającymi na wskroś sytuację w badanym środowisku. Na tej podstawie identyfikuje on grupę kluczowych graczy, ludzi mających rzeczywisty wpływ na bieg wydarzeń. W przypadku kraju nie chodzi tu tylko o rząd i jego otoczenie, ale też na przykład o szeroko rozumianą opozycję oraz duchowych przywódców.

W kwestii Iranu zidentyfikowano ponad 90 głównych graczy. Znaleźli się wśród nich zarówno prezydent Mahmud Ahmadi-neżad, najwyższy przywódca Ali Chamenei, jak i grupy religijnych radykałów czy Rada Bezpieczeństwa ONZ – każdy, kto ma coś znaczącego do powiedzenia w interesującej

By prognozować przyszłość, nie trzeba znać przeszłości. Wystarczy tylko pamiętać, że wszyscy jesteśmy egoistami

badacza kwestii. Gdy wszyscy święci zostaną już zebrani, rozpoczyna się ich opisywanie. Bueno de Mesquita przypisuje każdemu z nich punkty w czterech kategoriach. Do jakiego wyniku dąży gracz? Jak bardzo będzie starał się go osiągnąć? Jak silny wpływ może wywrzeć na innych? Czy sztywno będzie się trzymał celu?

Dążenia Ahmadineżada określono na 180 (bardzo mu zależy na bombie). Pozostałe kategorie oceniane w skali od 1 do 100 rozłożyły się następująco: 90 za wysiłki, zaledwie 5 za wpływ na innych i 90 za trzymanie się celu. Tak opisano każdego uczestnika gry. A potem zaczyna się matematyczny taniec. Dane zostają wprowadzone do komputera i algorytm politycznego survivalu rozpoczyna obliczenia. Składają się one z rund. W każdej z nich maszyna porównuje wpływ poszczególnych ludzi na pozostałych uczestników gry. Brzmi to niegroźnie, ale trzeba zdawać sobie sprawę, że o ile przy 5 osobach w każdej rundzie może zająć 120 interakcji, o tyle przy 10 to już 3,6 miliona koneksji! Dla irańskich 90 graczy liczba sięga niewiarygodnych $1,5 \times 10^{138}$. Temu nie podołałby na-

wet najpotężniejszy komputer, więc już na etapie przygotowania określa się, kto z kim rzeczywiście ma kontakt i na kogo może wpłynąć. Zależności pozosta-

ją złożone, jednak znajdują się w zasięgu maszyny o przeciętnej mocy. Całkiem przeciętnej, bo podczas wywiadu dla „New York Timesa” Bruno Bueno de Mesquita prezentował polityczny survival na starym laptopie.

Po każdej rundzie wyniki wszystkich graczy są modyfikowane. Jeśli okazało się na przykład, że ONZ wpłynęła na jakąś grupę (choćby przez zwiększenie dotacji), liczba oznaczająca sztywne trzymanie się celu przez tego gracza może się odpowiednio obniżyć. Potem rozpoczyna się kolejna runda, do której wszyscy przystępują z nowymi parametrami. Takich cykli obliczeniowych może być kilkadziesiąt czy kilkaset – zależy, jak długi okres zamierzamy brać pod uwagę.

Tajemnica w rozmowie

Wynik symulacji to wykres pokazujący wypadkową wpływów i celów wszystkich graczy zmieniającą się w czasie. Dla Iranu udało się wykazać, że stopniowo determinacja do zbudowania bomby będzie spadała do poziomu 115 oznaczającego: „Produkujemy paliwo, z którego można zrobić bombę, ale ograniczymy się do ilości wystarczających do prowadzenia badań”.

Gdzie tu wyjątkowy geniusz? Można by sądzić, że w algorytmie, którego Bruno Bueno de Mesquita nie ujawnia. Sam analityk jednak twierdzi, że jego obliczenia nie są niczym tajemniczym i właściwie każdy specjalista mógłby je odtworzyć.

Jego współpracownicy wskazują na coś innego. Bueno de Mesquita jest niezwykle doświadczonego rozmówcą. Wywiady z ekspertami, na których opiera swoje przewidywania, są ponoć mistrzostwem wyciągania precyzyjnych danych. A to właśnie dobre dane wejściowe decydują o wiarygodnych wynikach.

No właśnie – wiarygodność. Jej określenie w przypadku politycznego survivalu jest o tyle trudne, że większość przewidywań jest albo utajniona (CIA), albo poufna (wykonywana na zlecenie prywatnych firm). Jedyny od tajniony raport z CIA podsumowujący pracę Bueno de Mesquity pochodzi z 1987 roku i ocenia skuteczność metody na 90 procent. Szerzej znanych jest wiele spektakularnych sukcesów (następcą Chomeiniego będzie Ali Chamenei), ale i kilka wpadek (Bill Clinton przeprowadził reformę zdrowotną). To potknięcie wynikało jednak z tego, na co polityczny survival nie jest odporny – z nieoczekiwanego zdarzenia. Chodziło o aferę korupcyjną z kongresmanem Danem Rostenkowskim w roli głównej, która doprowadziła do jego ustąpienia. A to Rostenkowski był odpowiedzialny za wdrożenie planów reformy.

Jedno jest pewne – polityczny survival nie przewidzi katastrofy takiej jak smoleńska. Mogłoby jednak całkiem precyzyjnie powiedzieć nam, jaka będzie Polska za pół roku. A zdaniem Brunona Bueno de Mesquity zrozumieć przyszłość to móc ją zmienić. □

FOT. ETHAN HILL/CONTOUR BY GETTY IMAGES/FPM

REKLAMA

SONY MUSIC
NOWY STUDYJNY ALBUM

VAYA CON DIOS

COMME ON EST VENU...

13 premierowych miłosnych kompozycji z tekstami znakomitych, francuskich klasyków pióra



Słuchaj **więcej** za mniej



Vaya Con Dios trasa koncertowa
Maj 2010
szczegóły na www.snapevent.pl

www.sonymusic.pl www.twitter.com/sonymusicpl

złoteprzeboje PRZE KROJ metro

SUKCES WROŻKA cgm.pl

empik.com FILMBOX WP.PL

W tym tygodniu:
ROZMAWIAMY O JAROSŁAWIE IWASZKIEWICZU
I JEGO „DZIENNIKACH”, KOŃCZYMY BURZLIWĄ
DYSKUSJĘ O TEATRZE, PRZEDSTAWIAMY
DIDŻEJA JAKUZY I WITAMY W POLSCE MISTRZA
KOMIKSU JOANNA SFARA



„DZICY DETEKTYWI” I DZICY POECI

MAMY WRESZCIE POLSKI PRZEKŁAD ARCYPOWIEŚCI ROBERTA BOLAÑO
– NAJWIĘKSZEJ GWIAZDY LATYNOAMERYKAŃSKIEGO PISARSTWA KOŃCA
XX WIEKU. UWAGA! TO JEDNA Z KSIĄŻEK, KTÓRE POTRAFIĄ WZIĄĆ SOBIE
CZYTELNIKA NA WŁASNOŚĆ

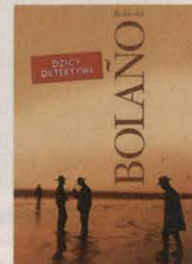
OPOWIADANO, ŻE KIEDY RIMBAUD
zjawił się w Paryżu, życzliwi ko-
ledzy po piórze zaprowadzili go
do kawiarni, gdzie spotykali się
najlepiej notowani poeci, by gład-
ko wprowadzić młodzika w śro-
dowisko. Ale szalony Arthur ani
myślał prawić duserów szacow-
nym literatom – wskoczył na stół
i w nieparlamentarnych słowach
jął kwestionować ich talent.

Nie inaczej poczynił sobie
w Mexico City nieco ponad sto lat
później młody Chilijczyk Rober-
to Bolaño. Urodzony w 1953 ro-
ku w Santiago jako 15-latek prze-
niósł się z rodzicami do Meksyku.

Po wyborczym zwycięstwie Salvadora Allen-
dego wrócił do Chile (by wspomóc „budowę
socjalizmu”), przeżył wojskowy pucz, zaangażował się w antypinochetowską konspirację
– i w końcu został zatrzymany. Podobno pod-
czas rutynowej kontroli drogowej. W Meksyku
nabrał lokalnego akcentu i po wymianie zdań
policjanci uznali, że może być „przyjeźdnym
terrorystą”. Innych dowodów jego zbrodni nie
znaleziono – ale w Chile anno 1973 i tak mo-
gło się to dla niego skończyć bardzo nieweso-
ło. Szczęśliwie po paru dniach w areszcie wy-
szedł na wolność za sprawą służących w poli-
cji dawnych kolegów ze szkoły.

Wagabunda rusza w świat

W 1974 roku Roberto Bolaño wraca do Meksy-
ku i całkowicie poświęca się literaturze. Wraz
z poetą Mariem Santiago tworzy ruch infra-
realizmu (odwołujący się do surrealizmu i da-
daizmu, których praojcem był przecież Rim-
baud), pisze, wydaje i prowokuje na potęgę
– na przykład zagłaszając nielubianych po-
etów (czyli, zdaje się, większość meksykań-
skich poetów z późniejszym noblistą Octaviem



Roberto Bolaño
„Dzicy detektywi”,
przeł. Tomasz
Pindel, Nina Pluta,
MUZA, Warszawa
2010, s. 624,
49,99 zł

Pazem na czele) na ich wieczorach
autorskich. Niechęć do establiš-
mentu – czy też tego, co zań uwa-
żał – trzymała się Bolaño aż do koń-
ca. Uwielbiał Borgesa i Cortázarę,
ale nigdy nie przeprosił się na przy-
kład z realizmem magicznym, ma-
jąc Márqueza i jego naśladowców
za cepelię o zatęchłym zapaszku.

Poużywawszy sobie w Meksy-
ku (pojawili się także narkotyki),
w 1977 roku (po przeżyciu miłosne-
go zawodu) gniewny poeta znów
rusza w świat. Legitymuje się po-
dobno biletem wizytowym przed-
stawiającym go jako „poetę i wa-
gabundę”. Błąka się po Ameryce

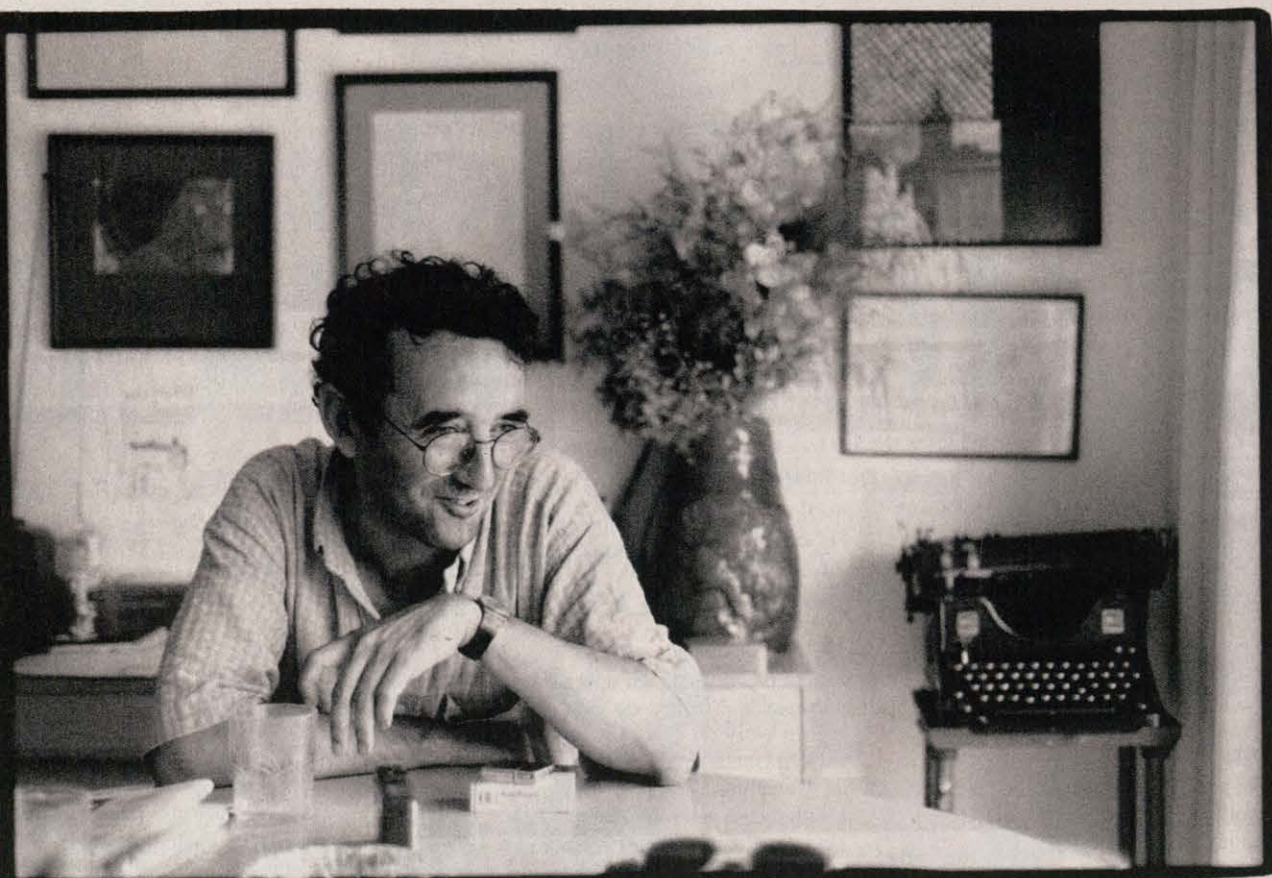
Łacińskiej, Francji, północnej Afryce, Izraelu
i Hiszpanii, gdzie w końcu osiada (w Blanes
na katalońskim Costa Brava). W połowie
lat 80. statkuje się, zakłada rodzinę i pisze pro-
zę, słuszenie uznając, że nie da się żyć z po-
ezji. Po latach najróżniejszych dorywczych za-
jęć przychodzą pieniądze z konkursów literac-
kich i kolejnych książek. W 1993 roku okazuje
się, że dawne przygody z heroiną nieodwracal-
nie uszkodziły mu wątrobę. Nie doczekawszy
przeszczepu, umiera w 2003 roku. Przez ostat-
nie lata pracuje w potępieńczym tempie (co ro-
ku ukazuje się co najmniej jedna książka, kil-
ka wychodzi pośmiertnie) i jeszcze za życia zo-
staje okrzyknięty jednym z najważniejszych,
jeśli nie wprost najważniejszym pisarzem his-
panojęzycznym. W wielkiej mierze za sprawą
„Dzikich detektywów” z roku 1998, któ-
rzy po ukazaniu się w Stanach Zjednoczonych
już po odejściu pisarza sprawili, wraz z kolej-
nymi przekładami, że nawet w raczej niechęt-
nej przekładom Ameryce (czytaj: w USA każdy
Latynos, słysząc „Ameryka” w znaczeniu Sta-
nów Zjednoczonych, zagryzła zębami) jest dziś
Bolaño gwiazdą pierwszej wielkości.

Cały ten biograficzny wstęp o tyle nie jest
od rzeczy, że czytając „Detektywów”, co rusz
można się przekonać, jak wiele własnych
(prawdziwych lub prawdopodobnych) do-
świadczeń Bolaño włączył do tej książki, i ob-
serwować, jak się z nimi (to jest z własnym
życiem) obchodzi: zręcznie balansując mię-
dzy żarliwością wspomnienia a dystansem,
prześmiewczym, autoironicznym grymasem
a wzruszeniem.

Sprzeczne fragmenty

Już sama struktura książki (ba, księgi – „Dzi-
cy detektywi” liczą sobie ponad 600 stron)
ujawnia, że mamy do czynienia z dziełem nie-
codziennym. Oto najpierw czytamy dzien-
nik 17-letniego mieszkańca stolicy Meksy-
ku Juana Garcíi Madero. Zapis liczy półto-
rej setki stron i obejmuje listopad i grudzień
1975 roku. Młodzian ów rzucił studia praw-
nicze i poznawszy na warsztatach literac-
kich nieco starszych od niego poetów Ulise-
sa Limę i chilijskiego emigranta Artura Be-
lano (to jawne alter ego autora, choć można
zasadnie argumentować, że bywają nim obaj
bohaterowie), przystępuje do grupy „bebe-
chorealistów” – nie bardzo wiedząc zresztą,
co to takiego ów bebehorealizm, poza
tym że jego adepci są z wszystkimi na noże.
(Warto zauważyć, że ani on, ani my niewie-
le więcej się o bebehorealizmach dowiemy).
Dalej następują różne poetycko-seksualno-
-kryminalne przygody i dziennik kończy się
ucieczką z miasta Limy, Belano, eksprosty-
tutki Lupe i Madero – w okolicznościach dość
dramatycznych, lecz nie na tyle istotnych,
by je tutaj zdradzać.

Dalej mamy kilkusetstronicowy zrab po-
wieści złożony z blisko setki (krótszych i dłuż-
szych) relacji różnych osób – pierwsze po-
chodzą już ze stycznia 1976 roku, ostatnie
z końca 1996 roku, ułożone są zresztą →



Przy pracy
zwykły popijać
herbatkę
z rumianku
i wypalać
niewyobrażalną
liczbę
papierosów

→ niechronologicznie – w których pojawiają się Lima i/lub Belano. Poszczególni narratorzy opowiadają swe historie i wycofują się, część z nich po jakimś czasie powraca, by coś dopowiedzieć. Akcja przenosi się z miejsca na miejsce (poniekąd śladami peregrinacji samego Bolaño), wątki splatają się i rozplatają. Zmieniają się style narracji. Niekiedy ktoś opowiada całkiem sporo o Belano czy Limie, innym razem ledwie o nich napomyka. Nie wiemy zresztą, kto jest adresatem tych wspomnień (na pewno nie Madero), domniemany interlokutor wszystkich opowiadaczy ani razu się nie materializuje. Dostajemy, trochę jak w „Obywatelu Kanie”, różne okruczności, lecz – co ważne – Belano i Lima, których śladów się tu poszukuje, wraz z narastaniem masy opowieści stają się coraz bardziej widmowi. Nawet miesza się trochę ze sobą. Chodzi nie tylko o sprzeczne opinie – nie wyłania się żaden spójny ich obraz, zdając czytelnika na domysły i emocje – a i te są sprzeczne, bo nie są to bohaterowie, których łatwo polubić lub z którymi wygodnie się utożsamić. Lima i Belano raz jawią się jako zbuntowani poeci, raz jako pospolici dilerzy narkotyków, a potem ni stąd, ni zowąd nabierają cech nieomal chrystusowych. Mówią o nich zajadli wrogowie i dawni przyjaciele. Ludzie przypadkiem gdzieś napotkani i luminarze latynoskiej kultury. Wszyscy opowiadają zresztą także, a może przede wszystkim o sobie. Jest

**„Chłopaki, co
wyście zrozumieli
z tego wiersza?,
powiedziałem, chłopaki,
ja od czterdziestu lat
na to patrzę i nigdy
nic za cholerę nie
zrozumiałem”**

ROBERTO BOLAÑO

pewnie tak – Bolaño lubił podobne łamigłówki – że wszystko to jest niesłychanie nie zaprogramowane i aż prosi się o powtórna lekturę – i kolejne, by prześledzić ujawnienia i zakrycia, których dokonuje autor.

Z szablą na krytyka

Lima i Belano wciąż więc się wyslizgują, lecz dostajemy za to mnóstwo świetnych opowieści pobocznych, coraz wyraźniej rysuje się tło. Mamy więc obraz życia literackiego Meksyku, pełnego walk frakcyjnych i wojen podjazdowych. Mamy mnóstwo żywotów (raczej nieszczęśliwych) ludzi, których drogi skrzyżowały się z poetyckim duetem. Mamy kapitalną historię wiążącą Rimbauda z meksykańską dzikością: jak wiadomo, miał on zostać zgwałcony przez żołnierzy, kiedy próbo-

wał dostać się do Paryża i przyłączyć do Komuny – jeden z głosów Bolaño dopowiada, że dopuścił się tego wojak, który był wcześniej w Meksyku w służbie nieszczęsnego cesarza Maksymiliana i jako jedyny ocalał z masakry sprawionej jego oddziałowi przez rewolucjonistów. Rimbaudowskie echa pojawiają się także w intrygujących epizodach afrykańskich. Jest wreszcie świetna izraelsko-wiedeńska historyjka przyjaźni Uliseasa Limy z opóźnionym w rozwoju austriackim neonazistą (jego monolog to prawdziwy majstersztyk). I jest Belano w nieco fantasmagorycznym pojedynku na szablę z nieprzychylnym mu jakoby barcelońskim krytykiem. I także on z nienadającą się do użytku wątroba, który wciąż jednak żyje.

Potem zaś po całej tej feerii relacji następuje powrót dziennikarza Garcíi Madero – dzięki któremu rozwiązuje się parę pomniejszych zagadek – i nic ponadto.

Poezja bez wierszy

Co wielce charakterystyczne, przez powieść przewijają się dziesiątki poetów, ale nie poznajemy wiersza żadnego z nich. Jedyny meksykański wiersz (graficzny), który przywołany jest w całości, to utwór niejakej Cesarei Tinajero, na poły mitycznej poetki z lat 20., której śladów Lima i Belano szukają, w istocie nie wiedząc po co, jak świętego Graala. O poezji ciągle się mówi, lecz (nie licząc oczywi-

ście poetyckiej intensywności sporych fragmentów prozy Bolaño) jej samej się tu nie uświadczy.

Tak jakby „poezja” była przepelniającym świat żywiołem, który istnieje (w niedookreślonej postaci) także poza zapisem. Albo nie istnieje w ogóle, jest tylko fantazmatem – lecz organizuje ludzkie życie równie silnie i naturalnie jak uczucia, seks, pieniądze i władza.

Mamy więc u Bolaño poezję bez wierszy oraz śledztwo, które niczego nie wyjaśnia. Poezję jako synonim życia samego? Życia bohaterów? Być może. Ale coż nas mogą w Polsce obchodzić wloty i upadki meksykańskich obywateli, o których nie wiemy nawet, czy kiedykolwiek napisali coś sensownego?

Silą „Dzikich detektywów” jest to, co jest siłą chyba każdej dobrej książki – potrafi zawładnąć czytelnikiem i wessać go w obręb swojego świata, choćby był on z pozoru odległy i niezrozumiały. Zupełnie bez związku z „prawdziwym życiem” tego, który czyta.

Możemy dać sobie spokój z poezją – ona naprawdę nic nie znaczy bez tekstu – jest tylko sentymentalnym, egzotycznym gadżetem. Ważniejsze jest śledztwo. Poznając cokolwiek – prowadźmy śledztwo. Czytając, prowadźmy śledztwo – próbując zrozumieć pisarskie postępy autora i samych siebie, którzy za nim podążamy. Literatura jest śledztwem i dlatego bywa taka pasjonująca?

Znamienne, że nikt się w tej powieści znanadto nie przejmując religią. Bolaño daje tylko wymowne motto z innej wielkiej powieści o Meksyku napisanej przez cudzoziemca – „Pod wulkanem” Malcolma Lowry’ego: „– Czy chce pan zbawienia Meksyku? Chce pan, by Chrystus był naszym królem? – Nie.” – i najwidoczniej uznaje sprawę za załatwioną. Ale z drugiej strony trudno oprzeć się wrażeniu, że „Dzicy detektywi” to śmiało zaprojektowana i precyzyjnie wykonana budowla głosząca pochwałę traktowanej nieomal parareligijnie literatury. Literatury, która sama siebie uzasadnia i utwierdza, która zdolna jest oddać pełnię naszego życia, która jest wolna od obowiązku dostarczania jasnych odpowiedzi i wiążących konkluzji. Ostatnie słowa powieści to zapisane przez Madero pytanie: „Co jest za oknem?”. Ale zamiast odpowiedzi pojawia się tylko rys kwadratu. Wiersz? Żart? Łamigłówka?

Znajomy Chilijczyk spytany o „Dzikich detektywów” powiedział mi, że w Barcelonie widział na murach napis: „Czytajcie Bolaño!”.

Szczęśliwie starczy go jeszcze na długo.

ROBERTO BOLAÑO PO POLSKU

„DZICY DETEKTYWI” NIE SĄ polskim debiutem chilijskiego pisarza. Najpierw, w roku 2004 (nr 9–10), nieduży blok jego tekstów przyniosła „Literatura na Świecie” – znalazł się w nim fragment „Detektywów” oraz (napastliwy wobec Péreza-Revertego i Márqueza) esej „Mity z Chtulhu” i szkic o peruwiańskim pisarzu

Jaime Baylym „Skąd się wziął Bayly?”. Dwa lata później MUZA wydała dwie powieści: „Chilijski nokturn” (przekład Anny Topczewskiej) i „Gwiazdę daleką” w tłumaczeniu Carlosa Marrodána Casasa. W „Gwieździe”, podobnie jak w „Detektywach”, mamy do czynienia z rodzajem śledztwa

– w sprawie chilijskiego pilota wojskowego: zarazem poety i mordercy. W roku 2007 ukazał się zaś (znów w przekładzie Topczewskiej) „Monsieur Pain”. Na tłumaczenie oczekuje uważana przez pisarza za zwieńczenie twórczości nieukończona powieść „2666”, która ukazała się dopiero po jego śmierci.

REKLAMA

MIASTO POTRZEBUJE BOHATERA Alto



już za
14 zł
dziennie*

Nowe Suzuki Alto, idealnie dopasowane do miasta, doskonale sprawdza się na najbardziej zatłoczonych drogach, a parkowanie na każdej, nawet bardzo małej przestrzeni jest proste i przyjemne. Nowoczesny i oszczędny silnik benzynowy 1.0 zapewnia dynamiczną jazdę przy niewielkim zużyciu paliwa. Nowe Suzuki Alto to bohater, który z pewnością wybawi Cię od miejskich problemów.

Spalanie w cyklu mieszanym: 4,4 l na 100 km; emisja CO₂: 103 g/km.

SUZUKI

Way of Life!

Rekomendujemy oleje



Informacja o dealerach: www.suzuki.pl

* RRSO wynosi 12,13% dla okresu 96 miesięcy, wpłaty własnej 9900 zł. Dotyczy wersji Alto Comfort. Oferta kredytowa Santander Consumer Bank S.A.

Informacja o recyklingu: www.suzuki.pl

W edycji Czarnej esej Woolf poprzedza wstęp **Hermione Lee**, jej amerykańskiej badaczki



++++ AGATA PYZIK

Dramat powszedni Virginia Woolf o dolegliwościach ciała

Jak wiadomo, psychiczne i fizyczne dolegliwości nigdy nie oszczędzały Virginii Woolf. Wieloletnia depresja, towarzyszące jej cierpienie fizyczne, dni rekonwalescencji spędzane na przymusowym wygnaniu z ukończonego Londynu uczyniły ją z pewnością szczególnie wrażliwą na to, co nazywa w „O chorowaniu” „powszednim dramatem ciała”.

Ten niewielki szkic został podyktowany pragnieniem wyciągnięcia choroby z literackiego niebytu. „O grypie można by napisać całe powieści, poematy epickie o tyfusie, ody do zapalenia płuc, liryki poświęcone bólowi zębów” – pisze, ubolewając, że nie czyni tak jednak prawie nikt. Nie była to do końca prawda nawet w roku 1925, kiedy esej Woolf opublikował w piśmie „New Criterion” jej przyjaciel T.S. Eliot, który zresztą skrytykował go za niekonkretność. Jak jednak pisać o chorobie w sposób konkretny, skoro jest to doświadczenie tak indywidualne i odseparowujące nas od reszty bliźnich – pyta Woolf? Pisał o niej Marcel Proust, zaledwie rok wcześniej Thomas Mann opublikował „Czarodziejską górę” w całości poświęconą pewnemu sanatorium, natomiast Charles Baudelaire w słynnym „Malarzu życia nowoczesnego” porównywał sytuację artysty do rekonwalescenta, który



Virginia Woolf
„O chorowaniu”,
przeł. Magdalena
Heydel, Czarne,
Wrocław 2010,
s. 48, 25 zł

niczym dziecko chłonie świat ze zdwojoną intensywnością. Woolf wzbogaca estetyczne wywody poety o zmysłowość i rozlewność charakterystyczne dla jej stylu. Choroba wytrąca nas z życia wyłącznie umysłowego, uświadamia nam, że nie żyjemy w świecie kartezjańskim, że dominuje nad nami ciało. I jeśli powstały w XX wieku wybitne powieści, w których spotykamy się ze śmiały mi obrazami choroby i rozkładu ciała, to kto wie, czy to nie pisarstwo Woolf, choć skupione na życiu umysłu, nie odegrało w tym ważnej roli.

++++

Nieoczekiwana zmiana miejsc

Joanna Bator ominęła
pułapki sequela

Z NIEPOKOJEM, ALE I Z NIECIERPLIWOŚCIĄ czekałam na zapowiadaną właściwie od razu kontynuację „Piaskowej Góry”. Mój niepokój brał się z przekonania, że ta saga rodzinna została już w zasadzie ukończona i autorce nie pozostaje nic innego, jak podążyć za Dominiką Chmurą, by opisać nowe, już nasze czasy. Powód niecierpliwości był równie prosty – intrygowało mnie, w jaki sposób Bator ominie pułapki sequela. Czy przede wszystkim uda jej się

uniknąć ciągnięcia wątków na siłę za pomocą cudownych zbiegów okoliczności albo bazowania na sprawdzonych już w dziele wyściowym chwytach formalnych. Udało się.

O ile wydarzenia w „Piaskowej Górze” determinowane były przez czas (lata wojny i PRL), o tyle w „Chmurdalii” autorka oddaje pierwszeństwo przestrzeni. Dzięki temu zabiegowi swojski wałbrzyski Babel przeobraża się w Babel iście globalny. Na pierwszy plan wysuwają się coraz to inni bohaterowie wywodzący się z wielu krajów, lecz – co istotne – pokolenio-

wo bliscy Jadzi albo Dominice. Oczywiście obie pojawiają się w powieści, ale już tylko obok równorzędnych bohaterów. Matka przy Grażynie, Shaunice, Ciociach Herbatkach, Eulalii, Apostolei, Jeremiaszu, a córka przy Sarze, Iwie, Małgosi Lipce mieszkają-



Joanna Bator
„Chmurdalia”,
W.A.B.,
Warszawa 2010,
s. 504, 49,90 zł

cej teraz w Londynie czy odnalezionym po latach w Niemczech Dimitrim. Osoby dałoby się pozamieniać miejscami urodzenia, płcią, językami – i właśnie taki wydaje mi się cel tej konfrontacji. Pokazać, że jest świat poza Piaskową Górą i tylko przypadek decyduje o tym, gdzie wylądujemy i kim się staniemy.

Życie Apostolei jawi się więc jako alternatywne życie żony górnik, a dziwaczność Dominiki odpowiada ekscentrycznym wybrykom Iwa. By zaakcentować możliwość nieoczekiwanej zmiany miejsc, autorka tyleż sprytnie, co zabawnie splata ze sobą losy niemal wszystkich postaci. Robi to jednak, puszczając oko do czytelnika – funkcję elementu spajającego pełni nocnik Napoleona. Przybliżając do siebie tak odmienne egzystencje, fruując swobodnie ze świata do świata i wypłatając z nich, o dziwo, spójną historię, pisarka dowodzi, że każdy zbieg okoliczności jest możliwy. W wyobraźni rzecz jasna. „Chmurdalię” z pewnością można uznać za jej manifest.

Marta Mizuro



SZUKAJ W KIOSKACH

+++

Niewciągający film o wciąganiu

„Hel”, czyli piekło uzależnienia odmalowane za pomocą wytartych klisz

HEL TO BRANŻOWA NAZWA heroiny, miasto w Polsce, a w angielskim – jeśli dodać jedno „l” – piekło. Wszystkie te znaczenia znajdują w filmie Kingi Dębskiej zgrabne zastosowania. Główny bohater Piotr (wyciszona i emocjonalnie wieloznaczna kreacja Pawła Królikowskiego) jest świetnym lekarzem i kucharzem, ale za to kiepskim ojcem, który po latach próbuje odbudować relację z dorosłym już synem. Piotr jest też narkomanem. Pełnometrażowy debiut Dębskiej zaczyna się intrygująco, szybko jednak rozpada się na dwie nieprzystające części. Początkowo autorka buduje kameralny rodzinny dramat. W połowie filmu rolę obserwatora ludzkich emocji zajmuje jednak aktywistka dająca nam wykład o „piekle uzależnienia”. Piotr przechodzi proces degrengolady fizycznej i moralnej. Problem



w tym, że jej obraz złożony jest z wytartych klisz – żebranie na dworcach, detoks. Nie ma w nim psychologicznej wiarygodności. Jako usprawiedliwienie całej sytuacji służyć ma tu licealna mądrość, że „świat to przereklamowane miejsce”. Finalnie odnosimy wrażenie, jakby reżyserka rzeczywiście nałykała się helu – z marsową miną prawi nam mądrości, ale są to mądrości podane bardzo cieniem głosem.

-mb

„Hel”, reż. Kinga Dębska, Polska/Czechy 2009, Kino Świat, 92', premiera 23 kwietnia



Spike Jonze pokazuje, że nawet z kochającą rodziną i pokojem pełnym zabawek dzieciństwo wciąż może być pustynią

+++++ SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

Klasa braci Grimm Popkultura uwielbia idealizować dzieciństwo, a Spike Jonze brawurowo owo idealizowanie demaskuje

Gdzie mieszkają dzikie stwory” to ekranizacja obrazkowej książki Maurice’a Sendaka pod tym samym tytułem. Ten klasyk literatury dziecięcej popularny w całym anglosaskim świecie jest zupełnie nieobecny. Film w naszych kinach również był nieobecny, zapewne dlatego, że zbyt mało rodziców odważyłoby się zabrać swoje pociechy na seans, podczas którego na ich twarzach zamiast uśmiechu mógłby rysować się strach.

Obraz opowiada o niepokornym Maksie (fantastyczny w tej roli Max Records!), który nie może dogadać się ani ze swoją matką, ani z siostrą. Czuje się zaniedbany i mocą wy-

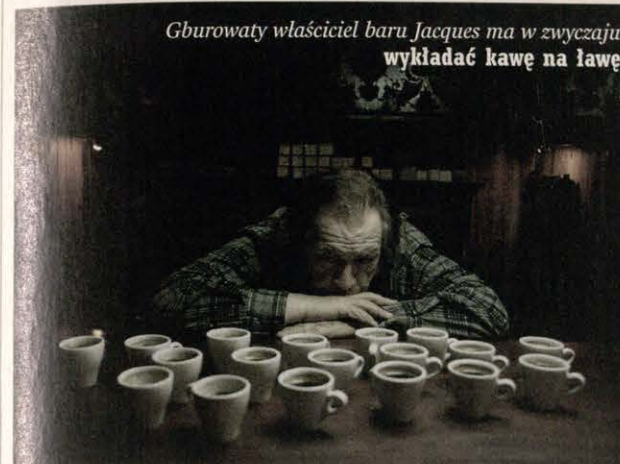
obraźni wyrusza na wyspę zamieszkaną przez tytułowe dzikie stwory. Dzięki swojemu sprytowi zostaje ich królem i wreszcie może dać upust negatywnym emocjom, których okazywanie nie było mile widziane. Maks i ekipa kosmatych bestii oddają się dzikim zabawom, demolując choćby okoliczny las.

Sendak i Jonze wtórują psychologom od lat głośno mówiącym o tym, że współczesna kultura idealizuje dzieciństwo, tworząc wizję małych niewinnych istotek. Owszem, oglądając ten film, dzieci mogą się bać. Nie bardziej jednak niż podczas lektury kultowych utworów braci Grimm. „Gdzie mieszkają dzikie stwory” mają bowiem iście bańsko-

wą konstrukcję i wymowę, której sensem nie jest rozrywka, ale wsparcie dziecka w dorastaniu, a także w rozumieniu własnych potrzeb i lęków. W ekranizacji Jonze’a strachy te postanowiły się zmaterializować. Są duże i futrzaste, można je poznać i oswoić. Powinni to zresztą zrobić nie tylko najmłodsi, ale także dorośli. Każdy z nas był przecież kiedyś dzieckiem i uciekał przed własnymi dzikimi stworami...



DVD „Gdzie mieszkają dzikie stwory”, reż. Spike Jonze, USA 2008, Galapagos Films, 101', premiera 16 kwietnia



Gburowaty właściciel baru Jacques ma w zwyczaju wykladać kawę na ławę

+++ BARTOSZ ŻURAWIECKI

Depresja w Nowym Jorku Dagur Kári opuścił Islandię, jego zaś opuściła wena

Kolorytu dwóm poprzednim filmom Dagura Kárie – znanym także w Polsce „Nói Albínó” oraz „Zakochani widzą słonie” – nadała mieniąca się różnymi odcieniami skandynawska depresja. „Dobre serce” jest amerykańskim debiutem islandzkiego reżysera. Kári znowu opowiada o outsiderach, ale pozbawiony wsparcia w postaci swojskiej, lokalnej specyfiki, z którą jego bohaterowie byli organicznie

zrośnięci, robi to mechanicznie i schematycznie.

Jacques (Brian Cox), starzejący się właściciel podupadającego baru, samotnik i gbur, przygarnia wrażliwego chłopaka bez dachu nad głową Lucasa (Paul Dano). Nie z dobrze, ale chorego serca. Po prostu potrzebuje kogoś, kto przejmie po nim interes. Co może wynikać ze spotkania dwóch tak różnych dziwaków? Ano wiadomo – Lucas będzie się uczył życia, a Jacques spróbuje otworzyć



Debiutująca w kinie Lotte Verbeek

+++

Intrygujący minimalizm

Urszula Antoniak przypomina, jak mało w kinie trzeba, by osiągnąć piorunujący efekt

MŁODA KOBIETA zostawia piękny dom w Amsterdamie, bolesną przeszłość i rusza w podróż. Chce uciec

od ludzi, ale droga prowadzi ją wprost do położonego na opustoszałej irlandzkiej wyspie domu starsze-

go mężczyzny (świetna rola Stephena Rei). O dwóch bohaterów wiemy tyle, że są poranieni i samotni. Nie znamy ich imion ani faktów z ich przeszłości. Powoli pancerze, którymi odgradzili się od świata, pękają, a ich relacja staje się coraz bardziej intrygująca. Zmieniającej się temperatury emocji nie opisują tu jednak słowa, których pada w całym filmie garść, ani nawet gesty, lecz zjawiskowo sfotografowana przez Daniela Bouqueta przyroda. Antoniak sięga tym samym do świetnych

tradycji skandynawskiego kina z lat 30., choćby filmów Victora Sjöströma. Koncentruje się na budowaniu atmosfery, a nie piętrzeniu wątków. W czasie, gdy w kinie rządzi fatalna moda na mówienie o miłości wielkimi, wyboldowanymi literami, polska reżyserka mieszkająca w Holandii ledwie ją szkicuje, pozostawiając sto procent interpretacji widzowi. Brawa za odwagę. –kp

„Nic osobistego”, reż. Urszula Antoniak, Holandia/Irlandia 2009, Vivarto, 85', premiera 16 kwietnia

Film z cyklu

Wiesz co dobre



SPARTAN

wtorek 27 kwietnia 20:25 TVP1

David Mamet to dobra marka. Dramatopisarz („American Buffalo”), scenarzysta („Listonosz zawsze dzwoni dwa razy”) i reżyser („Dom gry”), mistrz lakonicznych, celnych dialogów i budowania dramaturgii sytuacji. Film „Spartan” z 2004 roku łączy wszystkie te składniki w wyśmienitej formule thriller politycznego. W centrum zdarzeń stoi Robert Scott (Val Kilmer), niebywale skuteczny, doskonale wyszkolony agent specjalny, zaprogramowany na wypełnianie, nie zaś analizowanie rozkazów. Zmienia się to, kiedy otrzymuje zadanie odnalezienia zaginionej córki prezydenta USA, Laury Newton (Kristen Bell). W czasie śledztwa agent natrafia bowiem na spisek na najwyższym szczeblu. Narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo, rozpoczyna misję mającą na celu dotarcie do prawdy. Fabuła nabiera tempa. Im bliżej do wyjaśnienia, tym bardziej zamazany staje się obraz sytuacji. Liczne zwroty akcji, pomiędzy które wrzucone są postaci tej historii, trzymają w napięciu do samego końca. A po nim spodziewajcie się tego, co dla Mameta charakterystyczne – niespodziewanego!

Wiesz co dobre

Program Wiesz co dobre to system rekomendacji Skody.

W telewizyjnej odsłonie akcji spośród tysięcy tytułów wybraliśmy dla Ciebie najciekawsze pozycje filmowe z ostatnich lat. Przy wyborze kieruj się jednak przede wszystkim własnym gustem, bo przecież sam najlepiej wiesz, co jest naprawdę dobre...

REKLAMA

Złość na nicość

W świecie odrealnionej śmierci i wirtualnej miłości Kleczewska i Pęcikiewicz wierzą, że tylko teatr umożliwia doznanie rzeczywistego przerażenia i odrazy



Babel
w spektaklu
Kleczewskiej to
wykafelkowane
prosektorium

Monika Pęcikiewicz i Maja Kleczewska zrobiły swoje nowe przedstawienia – jedna sięgnęła po starego Szekspira, druga po świeżego Jelinek. Niby dwa odmienne światy i poetyki, a miałyśmy wrażenie, jakbyśmy oglądali jeden spektakl. Podejrzewam, że obie panie wybrały „Sen nocy letniej” i „Babel” ze względu na ich niebezpieczną pojemność, otwartość tekstów na reżyserskie interpretacje. W „Śnie...” Szekspira śnią się przecież wszystkie rodzaje miłości, odnajdują się wszyscy możliwi kochankowie każdej epoki. A monstrualny językowy chaos „Babel” Jelinek przywołuje grecką formułę nekyl – wywoływania umarłych od początku świata, oddawania im głosu, słuchania nieskończonych złorzeczeń.

W obu przedstawieniach główną scenografię stanowią ludzkie ciała. U Pęcikiewicz jesteśmy w pornoatelier, gdzie Oberon reżyser (Adam Cywka) kręci z pomocą Puka (Marcin Pempuś) radykalną wersję „Snu nocy letniej”. Od gotowego filmu bardziej go jednak nęca obyczajowe przekroczenie podczas prób, namawianie ak-

torów do scen nagości, masakrowanie ich psychiki. Rząd białych patyków – las ateński – staje się świadkiem cierpienia w tej międzyludzkiej izbie tortur. Narzędziem kaźni jest tu włączona kamera, znak obecności obserwatora. Porno, w które zmienia się tekst Szekspira, ma jednak charakter postseksualny, nadmiar możliwości uniemożliwia jakiegokolwiek spełnienie. Noc świętojańska znajduje swoją kulminację w sztucznej, wyreżyserowanej orgii odgrywanej posłusznie przez pluton kochanków przebranych w cieliste kombinезony.

Seksualna rzeźnia przegląda się w rzeźni wojny, bo u Kleczewskiej/Jelinek „tak zwana ludzkość w oblężeniu” nie zbudowała razem żadnej wieży języków, Babel przybiera tu formę wykafelkowanego prosektorium z podłogą zalaną wodą. Na metalowych wózkach ożywają niespodzianie czekające na identyfikację nagie zwłoki żołnierzy i ter-

rorystów. Kleczewska, idąc za sugestią Jelinek, dzieli spektakl na trzy części. W pierwszej oglądamy karkołomną układankę strzępów ludzi i słów oraz zanikających monologów wygłaszanych przez martwych bohaterów.

+++++

„Babel” Elfriede Jelinek,
przekład Karolina Bikont,
reżyseria Maja Kleczewska,
scenografia Katarzyna
Borkowska, muzyka
Agata Zubel, Teatr Polski
w Bydgoszczy

++++

„Sen nocy letniej”
William Szekspira,
przekład Stanisław
Barańczak, reżyseria Monika
Pęcikiewicz, scenografia
Mirek Kaczmarek, muzyka
Krzysztof Kaliski, Teatr
Polski we Wrocławiu

śmy dosłownie uwięzieni na widowni, zbombardowani obrazami i głosami, zaszcuci obściennością i przymusem patrzenia na cierpienie, intymność i rozkład. Co najważniejsze,

ani Pęcikiewicz, ani Kleczewska nie mierzą w skandal. Drastyczności na scenie nie mają sprokować widzów – graniczne sytuacje komponowane są tak, jakby były czymś tak naturalnym jak oddychanie.

W tym teatrze robionym przez kobiety ani razu nie miałem wrażenia, że kobiety są tu przedstawione wyłącznie jako ofiary. Kleczewska i Pęcikiewicz wychodzą poza płęć i są przez to jeszcze okrutniejsze. I choć reżyserka „Snu nocy letniej” pokazuje seks, czyli gwałt, od żeńskiej strony, akcentuje ból ofiary i jej ośpienie, nie stroni przecież od szyderstwa z kobiet. Dagmara Mrowiec (Helena) biega po scenie w idiotycznych rajtuzach z prześwitującymi białymi majtkami, niekompletna, śmieszna, wulgarna. Sztucznie postarzona Ewa Skibińska (Tytania) wciąga na siebie wyszczuplającą bieliznę, jakby naciągała skórę innej kobiety; nie mogąc wzbudzić pożądania u Spodka (Adam Szczyszczaj), pociera krocem o róg wersalki. Z kolei Kleczewska rozmontowuje na kawałki mit Mater Dolorosa, pokazuje kobiety w scenach gadania z trupami nagich synów. Matki (Marta Nieradkiewicz, Karolina Adamczyk, Małgorzata Witkowska) animują ciała swoich umarłych bohaterów, jakby to były lalki służące zabawie małych dziewczynek.

I Kleczewska, i Pęcikiewicz stosują podobne strategie w pokazywaniu człowieka. To już nawet nie redukcja aktora do nagiego ciała, to próba obdarzenia go ze skóry. Męska nagość znaczy tyle samo co nagość trupa. Zdeseksualizowane ciało w „Śnie...” jest sygnałem do agresji, bo nie tyle wydaje się bezbronne, ile świadomie przyciągające skazę i cios. Nagość u Kleczewskiej jest powidokiem życia na chwilę przed ostatecznym rozpadem. Reżyserka osiąga niezwykły efekt – ciała aktorów zdają się tracić integralność, rozpadają się na polce mięsa, pocięte kawałki istot ludzkich, które żyją, ruszają się, próbują mówić przez rany.

W świecie odrealnionej medialnie śmierci, w czasach wirtualnej miłości Kleczewska i Pęcikiewicz wierzą, że tylko teatr oferuje nam doznanie rzeczywistej odrazy. „Sen nocy letniej” to tak naprawdę anty-porno, za pomocą którego podmienniliśmy pożądanie innego ciała na chęć jego upokorzenia. Ponieważ nie mamy wpływu na czynienie dobra, zostaje zarządzanie złem, które już się zdarzyło. Przemoc i gwałt nie są przyrodzone naturze człowieka, podobnie jak miłość; wszystko to naśladujemy, powtarzając mechanikę natury. Jestem trupem, jestem ciałem, jestem cyckami, jestem penisem. „Babel” z kolei tworzy pojęcie postśmierci – czyli śmierci niezakończonych, odradzalnej w każdej chwili, wielokrotnie zacieśniającej linię dzielącą ją od życia.

Siedząc na obu przedstawieniach, miałem poczucie, że choć byliśmy jedną widownią, nie tworzyła się żadna wspólnota ofiar. Ogluszony obrazami ze sceny każdy podświadomie budował szklany klosz wokół siebie, nie chcąc, by go ktokolwiek dotykał. Jakby bał się osoby siedzącej obok. Teatr zaś nie ocalał, nie likwidował tego lęku. Przeciwnie, dawał psychiczną niewygodę, dopowiadał naszą samotność.

Pęcikiewicz i Kleczewska nie wierzą w teatr jako narzędzie w służbie moralności. Wbrew pozorom nie dobierają się do samego sedna egzystencji, bo w ich światach sedno nie jest prawdą. W sednie tkwi po prostu skumulowana złość na nicość. □

+++++ ADA GINAŁ

„Oresteia” jak za Gierka Wojna polska czy trojańska? Operowy debiut Michała Zadary

Pierwsza realizacja dzieła Iannis Xenakisa (1922–2001) w cyklu „Terytoria” Opery Narodowej to wyjątkowe wydarzenie. Zwłaszcza że utwory greckiego kompozytora nieczęsto są grywane. Szkoda, bo to jeden z najciekawszych twórców II połowy XX wieku – kompozytor, matematyk, architekt współpracujący z Le Corbusierem. Skazany jako 25-latek na śmierć za lewicową działalność w partii komunistycznej ledwo uszedł z życiem, emigrując do Francji. Nigdy jednak nie zapomniał o greckich korzeniach. Dowodem tworzona przez blisko 27 lat opera oparta nie tylko na tragedii Ajschylosa, ale też na teoriach greckich skal, rytów i metryce ojczyznojęzyka. Xenakis przekazuje nią antyczną opowieść o zbrodni i przeznaczeniu w połączeniu z bogactwem modernistycznego języka muzycznego.

Michał Zadara dostrzegł podobieństwo wojny trojańskiej do II wojny światowej.

Z pomocą Daniela Prastka przeobraził libretto Xenakisa i grecką tragedię zamienił na losy Polaków w epoce PRL (od 1945 roku do czasów Edwarda Gierka). Jego powracający z wojny Agamemnon to polski oficer, Klitajmestra jest działaczką ZMP (świetna w tej pantomimicznej roli Barbara Wysocka), a księżniczka Kasandra – rozdartym płciowo i głosowo wizjonerem głoszącym tragiczny finał historii (najbardziej efektowna część partytury i kapitalnie rozegrany dialog między wijącym się w skrajnych rejestrach głosem śpiewaczki a mistrzowskimi tonami perkusisty Leszka Lorenta). Jednak mimo całej tej wciągającej i pomysłowo zrealizowanej zabawy z oryginałem – mamy tu między innymi cytaty z manifestu PKWN, obrazy stalinowskich represji, filmy z wystąpieniem Gomułki i Bieruta, spotkań Gierka z robotnikami – Zadara stracił kontakt z pierwowzorem. Poszedł tropem tych reżyserów, którzy operę traktują jedynie jako punkt wyjścia do przekazania swojej wizji. Na szczęście arcybogata muzyka Xenakisa inspirowana prawosławnymi śpiewami, japońskim teatrem nō i kabuki, pełna wyszukanych brzmień i przestrzennych efektów (kapitałny pomysł z wciągnięciem do gry chóru i publiczności) broni się sama. □

„Oresteia” Iannis Xenakisa,
reżyseria Michał Zadara, scenografia
Robert Rumas, dyrygent Franck Ollu,
Opera Narodowa w Warszawie



Wojna polsko-trojańska wchodzi w fazę stalinizmu: oficer Agamemnon (Sean Palmer) zaprasza do tańca aktywistkę ZMP Klitajmestrę (Barbara Wysocka)

Znaj miarę, teatrze

Nie chodzi o bulwar czy awangardę, chodzi o miejsce teatru w życiu

POLEMICZNE JACEK SIERADZKI



KILKA TYGODNI TEMU UKAZAŁ SIĘ w „Przekroju” mój „Pamflecik na zadowolonych”^{*} napisany na początku roku w reakcji na rozmaite podsumowania zeszłego roku w teatrze. Z ich tonu wynikało, mówiąc w największym skrócie, że „między nami dobrze jest”: teatr ma się świetnie, odnosi sukcesy na świecie, widzowie walą drzwiami i oknami, tylko dotacje są za małe, i jakby dosypać pieniędzy, zapanałaby pełnia szczęścia. Replikowałem, że obrazek, mówiąc znów najprościej, jest dużo mniej idylliczny. Że zasięg oddziaływania teatru awangardowego, eksperymentującego, jest z przyjętego założenia niewielki, a w praktyce kuriozalnie wąski; że koryfeusze młodego teatru mają skłonność do narcyzmu, pieszczona swego ja na scenie i dbania bardziej o poklask rówieśnych teoretyków niż o rzeczywiste porozumienie z widzami. Że prowadzi to do oddawania całych połaci terytorium we władanie rozrywkowej szmirze, która rośnie w siłę (bo to tam mnoży się frekwencja) i której nikt nawet nie próbuje cywilizować, jakkolwiek syzyfowa byłaby to praca.

Spodziewałem się, że mój głos będzie odosobniony; tymczasem w dyskusji zechcieli wziąć udział Maciej Nowak, szef Instytutu Teatralnego imienia Zbigniewa Raszeńskiego obwołany parę lat temu przez „Politykę” najbardziej wpływową postacią polskiego teatru, Jacek Kopciński, naczelny branzowego miesięcznika „Teatr”, i Michał Zadara w imieniu całego młodego pokolenia. Równolegle tak zwane wypięcie Szczepkowskiej uruchomiło szeroką wymianę opinii na temat współczesnego teatru. Co prawda nieco tabloidyżowaną, ale poprzez zakwestionowanie gestu awangardowego jako rzekomo jedynej wartości w sztuce scenicznej dosyć owocną. W każdym razie rozwiało się owo gremialne samozadowolenie, którego pamflecik chciał przekłuwać przede wszystkim.

Wszystkim polemistom serdecznie dziękuję. Maciej Nowak i Jacek Kopciński z wieloma moimi wywodami byli uprzejmi się zgodzić, a co do poszczególnych kwestii pewnie pozostaniemy przy swoich zdaniach, Michał Zadara podjął i twórczo rozwinął poetykę pamfletu każąc wyjaśniać argumenty i stosować prowokacje intelektualne. Musi mi wybaczyć, że dyskusji na temat mojego udziału w zawiązanym na szczeblu rządowym i szczerze opłacanym spisku mającym na celu przekonanie Polaków, iż teatry Capitol i 6. Piętro są ważniejsze od Starego i Narodowego, już nie podejmę. Mimo kuszącego faktu, że wizja spisku zakrojona jest na miarę „Kodu da Vinci”.

Tak naprawdę miałem ochotę wyprostować jeden aspekt tego sporu. Polemiści ustawili mnie sobie do ściecia w pozie obrońcy, a może nawet miłośnika teatralnego bulwaru. Usilne moje podkreślanie, że przecież jestem świadom, iż znaczna część rozrywkowej produkcji scenicznej jest czystym chłamek, nie zniechęciło ich do tego zabiegu. Wbrew starej ludowej mądrości: gdy trzech ci mówi, że jesteś pijany, to idź się położyć, nieważne, piłeś czy nie – szykowałem polemiczny oręż, gdy...

...gdy wpadła mi w oko seria wypowiedzi, w których reżyserzy teatralni (Wojtek Klemm, Michał Zadara), dramaturdzy (Bartosz Frąckowiak, Igor Stokfiżewski) i teoretycy (Paweł Mościcki) zaprotestowali na łamach „Krytyki Politycznej” przeciwko zamknięciu teatrów w dniach narodowej żałoby i przeciwko odwołaniu Warszawskich



Wrocławski Teatr Lalek, „Statek błaznów” Piotra Tomaszuka

Spotkań Teatralnych. Wypisali tam wiele spostrzeżeń, wśród których były i uwagi niepozbawione sensu (traktowanie hurtem teatrów tak jak dyskotek jest, owszem, uwłaczające), i raczej dyskusyjne (arcydzieła takie jak „Trylogia” Klaty i „Niech żyje wojna” Demirskiego „zyskałyby nowy wymiar i nieoczekiwane znaczenia w zaistniałym kontekście”), i głęboko żenujące („Czy zatroszczono się, by aktorzy mieli możliwość zrekompensowania sobie strat...”). Mniejsza jednak o poszczególne opinie. Prawdziwie bulwersujący – i przywołujący znów przed oczy całe upojenie się młodego teatru własną wielkością – był sam ten fakt, że chwilę po katastrofie, gdzie pewne wyciszenie siebie, elementarna pokora zda się oczywistym odruchem przyzwoitości, grupa młodzińców dziarsko i bez skrępowań upomniała się publicznie o swoje. Rany boskie, jakie trzeba mieć w sobie pokłady megalomanii, by prosto z cmentarza – a chcąc nie chcąc, cmentarzem stało się życie publiczne – ciągnąć bliźnich do teatru! Jakże zadufkowskie musi być przekonanie o własnej omnipotencji, żeby w sytuacji, kiedy ludzie łązą po życiu, jakby dostali piłkę przez leń, zwracać głowę pyśkawką, czy Maciej Nowak, odwołując Warszawskie Spotkania, „obniża rangę teatru”!

Zamiast więc wdawać się w myśli o niechcianej misji adwokackiej, w jaką ubierali mnie „przekrojości” polemici, powiem po prostu tak: jeśli w swojej pisaninie podejmuję się czyjejś obrony, to nade wszystko teatru, który zna miarę. Który umie sobie cenić to, że jest aż teatrem, zarazem jednak wie, że jest tylko teatrem. Który w sakralne wymiary sceny wchodzi rzadko i odpowiedzialnie, za to potrafi bawić, wzruszać, przymuszać do myślenia, nieraz i zatargać po trzewiach. Ale który nie aspiruje do roli instytutu przerabiania zjadaczy chleba w aniołów, nie indoktrynuje i nie ideologizuje. Który ma dystans – nie do siebie, psia-krew, siebie traktuje z najwyższym zaangażowaniem – dystans do życia i siebie w tym życiu. Któremu woda sodowa jeszcze nie uderzyła do głowy. Który dobrze wie, co konkretnego chce i może światu dać. Tudzież wie, kiedy nie wypada mu nic innego, niż milczeć. Czy taki teatr można nazwać bulwarowym, czy należy mu się zupełnie inny tytuł – a także czy występuje on często w przyrodzie, czy raczej należy do bytów utopijnych – to już zostawiam domyślności czytelników. □

* Numer 11; w kolejnych numerach – 12, 13/14 i 15 – opublikowaliśmy polemiki Macieja Nowaka, Jacka Kopcińskiego i Michała Zadary. Dziś drukujemy głos Jacka Sieradzkiego sumujący dyskusję

Didżej jakuzy w Polsce

CZARNA PŁYTA MARIUSZ HERMA

30 lat temu skrecze zmieniły oblicze muzyki. O tym, że płyty winylowe nadają się nie tylko do słuchania, ale także do skreczowania, przypomni nam DJ Krush. 28 kwietnia Japończyk zagra w klubie Fama w Białymstoku

Jak na początku didżeja z nowojorskiego Bronksu Theodore Livingston mierzył wysoko. Wybierając pseudonim artystyczny Grand Wizard, nie mógł przecież wiedzieć, że stanie się jednym z najważniejszych innowatorów w historii hip-hopu. Był 1976 rok, Theodore miał 15 lat. Po powrocie ze szkoły tak jak każdego popołudnia – odkąd didżejki zaczął go uczyć Grandmaster Flash – siedział w swoim pokoju i słuchał płyt. Oczywiście nie szczędził głośników, na co jego matka zareagowała tak, jak na każdą porządną matkę przystało: „Zaczęła walić w drzwi i grozić, że jeśli nie ściszę muzyki, to ona zrobi to za mnie” – wspominał Theodore w filmie „Scratch”. Aby usłyszeć, o co jej chodzi, chłopak zatrzymał winyl dłoń, wydobywając przy tym charakterystyczny dźwięk. „Kiedy już sobie poszła, pomyślałem, że to całkiem fajny pomysł! I spróbowałem ponownie – mówił Theodore. – Mijały tygodnie, miesiące, testowałem różne nagrania. A kiedy byłem gotów, urządziliśmy imprezę. I wtedy właśnie po raz pierwszy pokazałem, czym jest skrecz”.

W 1980 roku już jako Grand Wizard Theodore zaczął koncertować z własną grupą, ale do sklepów płytowych skrecze wprowadził jego mistrz Grandmaster Flash, wydając rok później singel „The Adventures of Grandmaster Flash on the Wheels of Steel”. Wkrótce potem na własnej płycie wykorzystał je sam Malcolm McLaren, zmarły niedawno menedżer Sex Pistols. I tak oto u progu ery kaset magnetofonowych winyle odkryły dla siebie nową rolę.

(I)grając z jakuzą

DJ Krush, naprawdę nazywa się Hideaki Ishii, swoje powołanie odkrył w jeszcze dziwniejszych okolicznościach. Urodzony w 1962 roku w Tokio syn burdelmamy i malarza budowlanego szybko porzucił szkołę na rzecz kariery w lokalnym gangu. W ulicznych walkach szło mu nie najlepiej, ale nadrabiał kradzieżami samochodów i motocykli. Rychło awansował do jakuzy i kto wie, kim byłby dzisiaj, gdyby nie osobliwe nalezisko. Pewnego dnia podczas sprzątnia mafijnego biura natknął się na chusteczkę, w którą zawinięty był palec. Był palec nie przestraszyłby nawet początkującego gangstera, jednak akurat ten należał do najlep-

szego przyjaciela Ishiego. Wtedy chłopak postanowił dokonać zwrotu w swoim życiu.

Przepustką do świata muzyki był dla niego seans „Wild Style”, pierwszego filmu hipopowego, w którym pojawia się między innymi Grandmaster Flash, a ścieżkę dźwiękową otwiera nasz wynalazca Grand Wizard Theodore. „W jakiś sposób czułem się z nimi spokrewniony. Byli biedni, nie mieli za co kupić gramofonów, wyblagali je u sąsiadów” – tłumaczył kiedyś Krush w rozmowie z „New York Timesem”. Pierwszego poranka po wizycie w kinie Ishii bezskutecznie rozpytywał o miksery w tokijskich sklepach ze sprzętem muzycznym, ale gdy po kilku miesiącach udało mu się skompletować podstawowe wyposażenie didżeja, stał się jednym z pionierów hip-hopu w Japonii.

Winyłowy malarz

Jak każda czynność wymagająca doskonałej techniki skreczing podbił Kraj Kwitnącej Wiśni. W latach 90., gdy sprzedaż płyt winylowych na całym świecie leciała na łeb na szyję, w Japonii biła rekordy. W 1998 roku sięgnęła 800 tysięcy egzemplarzy, a w 1999 potroiła się do 2,5 miliona. Profesjonalni didżeje stawiali się idolami młodzieży, w największych miastach pojawiły się szkoły dla didżejów.

Hideaki Ishii był ceniony, tym bardziej że jako jeden z niewielu japońskich muzyków zdołał zdobyć sympatię zagra-



DJ Krush: patrzeć mu na ręce teraz. W czasie koncertu nie nadążycie

nicznej publiczności – regularnie koncertował w Europie i USA. Karierze Ishiego nie przeszkodziło nawet to, że nigdy nie przyszło mu do głowy nauczyć się języka angielskiego – dlatego wywiady z nim są dla dziennikarzy katorgą. Abstrakcyjne kolaże złożone z ludzkich słów, odgłosów otoczenia i sampli pochodzących ze starych winylowych nagrań przemawiają za niego. W jednej kompozycji Japończyk mogą się znaleźć gitara basowa ze szlagieru Jamesa Browna, solo Milesa Davisa, afrykańskie zaśpiewy oraz

urywki deklamacji Eminema. „To jak bycie malarzem. Kolekcja płyt jest moją paletą, a dobieranie dźwięków to jak dobieranie farb” – zwykł mawiać.

DJ Krush rzadko jednak wydaje albumy studyjne – ostatni to „Jaku” z 2004 roku – bo jego prawdziwym żywiołem są występy na żywo. Mimo że na karku ma już 48 lat, jego wartość w oczach słuchaczy ostatnio znowu zaczęła wzrastać. Powód? Publiczność zdążyła już się zmęczyć widokiem białego jabłuszka na koncertach laptopowców, podczas których nie sposób odgadnąć, czy zaangażowanie artystów wykracza poza wciśnięcie przycisku „play” oraz odbieranie poczty elektronicznej przez resztę wieczoru. Podczas koncertu DJ-a Krusha nie tylko można, ale wręcz należy patrzeć mu na ręce. Chociaż i tak nie nadążycie. □



Złoto pustyni

Gonjasufi jest joginem, co wszystko wyjaśnia. Tworzy muzykę pozornie skomplikowaną i wymagającą, ale wystarczy jej się poddać, by skorzystała na tym ciało i umysł

+++++ JAREK SZUBRYCHT

Przyznaję, mam słabość do artystów eklektycznych i oryginalnych. Nie musicie jednak być maniakałnymi kolekcjonerami muzycznych nowinek, by przyjąć od Gonjasufiego zaproszenie na pustynię. To nie metafora, facet naprawdę mieszka na pustyni Mojave, gdzieś nieopodal Las Vegas. Żyje z dala od cywilizacji, ale musi mieć bogate życie wewnętrzne, bo na debiutanckiej płycie nagranej pod tym szyldem (w latach 90. Gonjasufi popełniał płyty hip-hopowe skryty pod innymi pseudonimami) udało mu się przefiltrować przez pustelniczą wrażliwość cały muzyczny wszechświat. Triphopowy trans, zadziorność rapu, swoboda psychodelicznego rocka, ulotne piękno free jazzu, ujmujący konkret wczesnej elektroniki, przesłodzona ornamentyka muzycznego Wschodu to tylko niektóre części składowe „A Sufi and a Killer”, płyty – zgodnie z tytułem – zabójczo do-

brej. I wcale nie tak trudnej w odbiorze, jak można by wnioskować z powyższego opisu.

Zresztą nie od razu zwróćcie uwagę na podkłady, bo uwiodą was niesamowite partie wokalne głównego bohatera. Usłyszycie w nich lubieżne pohukiwania Jamesa Browna, natchnione melorecytacje Jima Morrisona, rewolucyjny żar Boba Marleya i... hm, coś jak strzępy modlitw, lamentsy rozmawiających z bogami szamanów, tokowanie nieprofesjonalnych, za to niesionych prawdziwą wiarą solistów gospel. Oto dlaczego chwilami „A Sufi and a Killer”, choć buja tanecznym rytmem, przypomina bardziej muzykę sakralną niż rozrywko-

wą. Ponoć Sumach Ecks, bo tak naprawdę nazywa się Gonjasufi, odkrył w sobie ten głos, kiedy prowadził zajęcia jogi. Chciał coś głośno powiedzieć, trwając w jakiejś bardzo skomplikowanej asanie, i powietrze utorowało sobie drogę do wyjścia w ten właśnie niecodzienny sposób.

Zgaduję, że musiało otrzeć się o serce...

– Pisziesz o Gonjasufim? – zagląda mi przez ramię żona.

– Tak.

– Dasz mu maksymalną liczbę punktów?

– Jeszcze nie wiem.

– Ale ja wiem.

Sami państwo rozumieją, nie miałem wyjścia.



Gonjasufi
„A Sufi and a Killer”,
Warp



Alessi, Waits i Helias wprowadzili Obarę na drogę, która może zaprowadzić go bardzo daleko

+++++ Lekcja czwarta

Polski saksofonista i profesorowie z Nowego Jorku – oby nauka nie poszła w las

O SAKSOFONISTACH MACIEJU OBARZE zwykło się mówić, że jest nadzieją polskiej sceny jazzowej. Nie bez powodu. Jego dwie poprzednie płyty zostały ciepło przyjęte, on sam zaś pobłogosławiony przez Tomasza Stańkę – słowem i zaproszeniem do współpracy. Krążkiem „Four” nagrany w Nowym Jor-

ku w bardzo szacownym towarzystwie Obara po raz kolejny dowiódł, że warto go mieć na oku. Na trąbce Ralph Alessi, szara eminencja tamtejszego środowiska jazzowego, na kontrabasie Mark Helias (niegdyś filar kwartetu Anthony’ego Braxtona), za zestawem perkusyjnym Nasheet Waits, jeden z najbardziej wziętych sidemanów nowojorskiej sceny. Wszyscy oni są też cenionymi pedagogami i to właśnie w czasie warsztatów w katowickiej akademii muzycznej

poznali Macieja Obarę oraz przyjęli propozycję wspólnego nagrania płyty. A muzyka? Solidne, czasami brawurowe granie typu downtown. Dodajmy do tego różnorodną stylistykę, bo kompozycji dostarczyli i Amerykanie, i lider. Bez dwóch zdań Obara wszedł na drogę, która może zaprowadzić go bardzo daleko.

Maciej Karłowski



Maciej Obara
„Four”,
Ars Cameralis

Oto człowiek, któremu udało się zawrzeć niemal cały muzyczny wszechświat na jednej płycie

+++ JAREK SZUBRYCHT
Tak, raczej tak... Dwie trzecie Myslovitz + jeden Makowiecki = indie rock dla starszej młodzieży

Prawdziwy mężczyzna powinien ponoć spłodzić syna, zbudować dom i posadzić drzewo. Od dzentelmena parającego się muzyką oczekujemy również nagrania dobrej płyty. Niewiele wiem o sytuacji mieszkaniowej i ogrodniczych dokonaniach Tomka Makowieckiego, ale dorodnego potomka i udanego albumu niniejszym chciałbym mu pogratulować. Żeby nie było wątpliwości, No! No! No! nie jest jego projektem solowym, ale supergrupą, w której równie dużo do powiedzenia mają gitarzyści Myslovitz Przemek Myszor i Wojtek Powaga. Ich macierzysta formacja do niedawna była

na urlopie, więc mieli wystarczająco dużo czasu, by pomóc Makowieckiemu w zabiciu i zakopaniu (może pod wspomnianym wcześniej drzewem?) złotego chłopca z telewizji.

Mamy do czynienia z wokalistą wrażliwym, acz dojrzałym i chwilami do złudzenia przypominającym... Roberta Gawlińskiego. To pierwsze zaskoczenie. Nie spodziewałem się również, że będę kręcił nosem na Marcina Borsę, którego jeszcze niedawno wychwalałem pod niebiosa. Problem polega na tym, że zasłużenie najgorętszy producent polskiej alternatywy, choć wciąż z dźwię-

kiem czyni cuda, zaczyna się powtarzać. Nie ostygła jeszcze świetna płyta Much, a już niektóre brzmienia i aranżacyjne pomysły powtarzają się na „No! No! No!”. A może tak właśnie ma być? Może dzięki Borsowi doczekamy się wreszcie „polskiego brzmienia”?

Można też zarzucić zespołowi niezdecydowanie. Bo niby co oprócz personelu mają ze sobą wspólnego napędzana równie prostą jak dramatyczną partią fortepianu „PJ”, pogodny, stworzony dla radiowych list przebojów „Doskonały pomysł” i hałaśliwy, transowy „Nie nadaję się do cyrku” (szkoda, że zepsuty sztuczną melorecytacją – panowie, aktorstwo nie dla was)? Ale zamiast kręcić nosem, biorę to za dowód elastyczności tria i mam nadzieję, że na tej płycie ich wspólna przygoda się nie skończy.



No! No! No!
„No! No! No!”,
EMI



Złoty chłopiec z telewizji i koledzy z Myslovitz. Jest nadzieja, że na tej płycie ich wspólne granie się nie skończy

+++++ Trzy kolejki od Joanny

W muzyce od przybytku boli głowa, co potwierdza potrójny album najśłynniejszej harfistki świata

ULEGŁA POLITYCE wydawcy wobec 28-letniej Joanny Newsom, obecnie największej gwiazdy amerykańskiej wytwórni Drag City, nietrudno zrozumieć. Na pewno miała okazję zwinąć się ze swoim trzecim – i przy okazji aż trzy płytowym – albumem



do większej firmy. Być może właśnie do swoich pryncypałów skierowała tytuł „Have One on Me”, coś w rodzaju naszego „Ja stawię”.

I rzeczywiście, wszystko wzięła na siebie. „Ys”, jeden z najbardziej fascynujących longplayów ostatniej dekady, Newsom nagrywała pod okiem Van Dyke’a Parksa. Tym razem kompozytora zastąpiła jakimś aranżerami. W efekcie nieliniowe kompozycje wyparł songwriting dostępny zwykłym śmiertelnikom. Amerykanka powściągnęła również swoją wyobraźnię wokálną, choć tutaj przyczyną była choroba strun głosowych. Przebłyski geniuszu? A jakże, są. Problem w tym, że giną w tłumie piosenek

zaledwie poprawnych. Warto pójść z duchem czasu i ze 124 minut zmontować sobie jeden perfekcyjny album. W dużej mierze pokryje się on z pierwszym krążkiem, który wydany solo kandydowałby do tytułu płyty roku. A my miejmy nadzieję, że następnym razem Newsom z Bachem będzie się ścigać w kategorii jakości, a nie ilości materiału. Mariusz Herma



Joanna Newsom
„Have One on Me”,
Drag City



+++

Owczy pęd

Groove Armada wymyśliła się na nowo. Niestety, źle to sobie wykombinowali

ROZUMIEM, ZWALNIA SIĘ etat po MGMT i na gwałt potrzebni są nowi dostawcy rozrywki dla hipsterów zakochanych w rockowo-tanecznych fuzjach, ale że oni?! Po ponad dekadzie bezpretensjonalnych chilloutowo-klubowych igraszek Andy Cato i Tom Findlay nie bez racji doszli do wniosku, że kolejnym albumem sklejonym z tych samych próbek house’u, downtempo, ragga, hip-hopu i popu nikomu już nie podniosą ciśnienia. Odkurzyli więc płyty klasyków synth popu z lat 80., sumiennie odrobili lekcję z twórczości Davida Bowiego i Roxy Music (ba, do współpracy zaprosili nawet Bryana Ferry’ego, a żeby uwiarygodnić się w oczach młodzieży, uśmiechnęli się też do Nicka Littlemore’a z Empire of the



Groove Armada
„Black Light”,
Cooking Vinyl

Sun), odstawili samplery i chwycili za gitary. Ze zdenerowania z tą materią retro Groove Armada z twarzą wychodzą tylko momentami („I Won’t Kneel”, „Paper Romance” czy dedykowane polskiej stolicy „Warsaw”). Częściej prowokują do pytania, czy warto desperacko gonić za modą, skoro daje to tak chybiony efekt.

Bartek Winczewski

Żydzi łączą Europę

Joann Sfar, jeden z najzdolniejszych europejskich twórców komiksowych, wspomina swojego dziadka z Bolechowa



Joann Sfar przygląda się światu w warszawskim hotelu

Czy to, że po raz pierwszy przyjechałeś do Polski, kraju twojego dziadka, ma dla ciebie szczególnie znaczenie?

– Tak, dla każdego Żyda przyjazd do Polski jest ważny, choćby przez pamięć o II wojnie światowej. Jednak pamięć o wojnie nie wystarczy, by budować silne relacje. Leciłem samolotem z grupą żydowskich dzieci, które miały zwiedzać Auschwitz. Nie podoba mi się sposób pojmowania rzeczywistości oparty na symbolach. Dlatego ja wolę poznawać ludzi niż miejsca, bo wtedy lepiej można zrozumieć mechanizmy historii, niż posługując się symbolami. Dziś najważniejsze jest budowanie jednego silnego głosu europejskiej kultury. Żyjemy w końcu w świecie, w którym musimy konkurować z bardzo silną kulturą amerykańską, a za chwilę dojdzie jeszcze chińska czy indyjska.

Bardzo ładna teoria, ale w praktyce bywa to trudne.

– Może mnie jako Żydowi łatwo o tym mówić, bo to Żydzi łączyli wiele narodów. Mój dziadek ze strony matki, który w latach 30. wyjechał z Polski na studia medyczne do Francji, potrafił porozumieć się w 10 językach. Ja jestem niereligijnym Żydem, moja żona jest katoliczką z Litwy, a siostra wyszła za Afrykanina. Wiele moich historii rozgrywa się w Europie Wschodniej, jednak nie chciałbym, żeby ludzie traktowali je jak miły folklor, uroczyste wspomnienie wielokulturowej przeszłości. W pewien sposób te moje opowieści odnoszą się do teraźniejszości, bo dziś Europa również jest wielokulturowa. Udowadniają to chociażby moje rodzinne relacje.

A nie chciałbyś być postrzegany jako twórca żydowski?

– Jeśli określenie „żydowski” prowadzi do otwarcia na innych, to OK. Ale jeśli „żydowski” ma prowadzić do zamykania się we własnym żydowskim świecie – wtedy nie.

W jednym wywiadzie powiedziałeś, że twoje komiksy mają odgrywać rolę zaproszenia dla goja na szabasową kolację. Co dokładnie miałeś na myśli?

– W każdej francuskiej klasie będziesz miał żydowskiego kolegę (arabskiego również), ale raczej nie trafisz do niego do domu, więc fantazujesz na ten temat. Jeśli w końcu zostaniesz zaproszony, dowiesz się, jak wygląda ich codzienne życie, i szabasze nie będą ci potrzebne. Pewnego dnia miałem spotkanie w szkole po wydaniu „Kota rabin” i przyszły do mnie dwie arabskie nastolatki, które powiedziały: „Na początku myślałyśmy, że twój komiks to taki żydowski syf. Ale gdy już go przeczytałyśmy, okazało się, że jest świetny, bo odkryłyśmy, że dupki są i w żydowskich, i w arabskich rodzinach”. O to mi chodziło! Niezależnie od religii rodzinne układy wszędzie są podobne – ojciec zawsze będzie ojcem, a młodzie będą w konflikcie ze starymi.

Czy „Klezmery” są konsekwencją zaproszenia do domu? Po wspólnym posiłku wspólne muzykowanie?



Tytułowy bohater „Kota rabin” to ja – mówi artysta

– Muzyka klezmerska jest o tyle ciekawa, że w jakiś sposób zachowuje pierwiastek nieistniejącego żydowskiego świata. A po drugie, te dźwięki były podobne do siebie niezależnie od kraju, bardzo uniwersalne, ponad granicami państw. Dla mnie był to właśnie przejaw europejskiego głosu, o którym mówiłem wcześniej, dlatego muzyka klezmerska moim zdaniem nie jest po prostu głosem Żydów – jest głosem Żydów w Europie.

Joann Sfar, artysta komiksowy, autor blisko setki albumów. W Polsce znany z „Kota rabin”, „Klezmów”, „Małego świata Golema”, „Profesora Bella”. W połowie sefardyjczyk, w połowie aszkenazyjczyk. **Jego dziadek ze strony matki pochodził z Bolechowa (okolice Lwowa).**

Latem na ekrany francuskich kin wejdzie animacja „Kota rabin”. Obecnie Sfar pracuje nad komiksową biografią Marca Chagalla.

Taka pierwsza masowa muzyka?

– Trochę tak, bo artyści klezmerscy pożyczali dźwięki z muzyki ludowej różnych krajów – folkloru polskiego, włoskiego, rumuńskiego. Odkrywałem to wszystko na własną rękę, bo mój dziadek nienawidził klezmerskiej muzyki, tak samo jak nie mówił w jidysz – dla niego to było plebejskie. Mówił po rosyjsku, niemiecku, uwielbiał muzykę klasyczną. W ogóle dziadek był ciekawą postacią. Cała jego rodzina zginęła w 1941 roku, ale że on wyjechał przed wojną do Francji, trafił na front francuski i został lekarzem wojskowym. Najpierw strzelał do Niemców, a gdy front przechodził i zbierali rannych, to leczył tych samych Niemców, których postrzelił. Wojna to głupia rzecz.

Główny bohater czworonóg w „Kocie rabin” przypomina zbyt dociekliwego i trochę przemądrzałego ucznia chederu. Czy ty też byłeś takim uczniem?

– Tak, kot to mały Joann Sfar. Klimat, jaki panuje w domu rabin, bardzo przypomina klimat mojego rodzinnego domu. Część mojej rodziny była bardzo religijna, a inna część kompletnie antyreligijna, więc nieustannie spory o Boga traktowano u nas zupełnie naturalnie. Nadstawiałem uszu i słuchałem. W ogóle większość moich czytelników myśli, że jestem religijny. Tymczasem prawda jest taka, że wierzę w Boga, kiedy jest mi potrzebny, wtedy go używam. A gdy go nie potrzebuję, nic mnie on nie obchodzi. Cóż, nie da się ukryć – jestem egotystą.

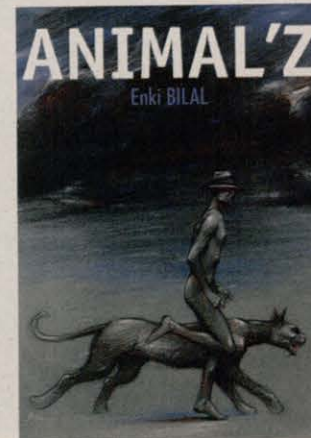
+++

Zwierzoczek

„Animal’z”, czyli mistrz Enki Bilal tym razem w kiepskiej formie

TO NIEZWYKLE PIĘKNE KOMIKS. Doskonałe rysunki ze szczyptą nadrealizmu, wysmakowana, stonowana kolorystyka, do tego duży format albumu pozwalający na to, by warstwa graficzna jeszcze lepiej działała na czytelnika. Problem w tym, że za świetną formą nie idzie treść. Nie mam pojęcia, co ugryzło Enkiego Bilal, że stał się pretensjonalny, niekomunikatywny, momenta-

mi wręcz bełkotliwy. Poza tym jego katastroficzne myślenie poznaliśmy niedawno w „Tetralogii potwora”, stąd czytanie kolejny raz o tym samym robi się nudne. Owszem, cel był szczytny – przestrzec nas przed ekologiczną zagładą planety. To jednak nie usprawiedliwia niestrawnej metody narracji i braku kreatywności autora. Broni się jedynie motyw genetycznej hybrydy wymyślonej przez niezbyt rozsądnego naukowca. Choć komiksy się czyta, a nie ogląda, „Animal’z” zdecydowanie lepiej wypada jako rzecz do oglądania.



Enki Bilal „Animal’z”, Egmont, – sf Warszawa 2010, s. 104, 69 zł

POLSKI FESTIWAL REKLAMY

09-29.04 ZOBACZ

WWW.FESTIWALREKLAMY.PL



wystawa

HGW: HAKOBO GRAPHIC WORLD
Jakub Stępień aka Hakobo

Galeria Design | BWA Wrocław
09/04 — 22/05/2010

wernisaż

piątek 9 kwietnia | godz. 19.00

wystawa

Obiekty pneumatyczne
Mariusz Waras aka M-City

Galeria Awangarda | BWA Wrocław
23/04 — 13/06/2010

wernisaż

piątek 23 kwietnia | godz. 19.00

wystawa

Hail To The King, Baby!
Thomas Schostok aka (th)

Galeria Awangarda | BWA Wrocław
23/04 — 13/06/2010

wernisaż

piątek 23 kwietnia | godz. 19.00

wystawa murali

Breakin' the Wall
Dem / Erica Il Cane / Escit /
Fefe Talavera / Jiem / Mudwig /
SickBoy / Vova Vorotnirov / Zosen

Przestrzeń miejska Wrocławia
23/04 — 13/06/2010

wernisaż

piątek 23 kwietnia | godz. 19.00



MIŁOŚĆ TO JEST RÓŻNIE

O RELACJACH Z OJCEM, O TYM, JAKI BYŁ NAPRAWDĘ I O „DZIENNIKACH”
JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA OPOWIADA JEGO CÓRKA **MARIA IWASZKIEWICZ**

– A dla kogo ten wywiad?
Dla „Przekroju”.

– „Przekrój”, ileż to wspomnień. Przyjaźniłam się z Janką Ipohorską i Marianem Eilem, którzy we dwójkę stworzyli to pismo, a dopiero później dołączyli do nich Kern, Klominek i inni. Eilego poznałam przed wojną, w 1937 lub 1938 roku, gdy sekretarzował „Wiadomościom Literackim”. Wcześniej sekretarzem „Wiadomości...” był Władysław Broniewski, jednakowoż, jak ja to powiadam, pijał za dużo „herbaty”. Byłam jednak zbyt młoda, by wówczas zaprzyjaźnić się z Eilem, stało się to dopiero po wojnie. Spotykałam go najczęściej w krakowskim mieszkaniu Janki, która była jego przyjaciółką.

Nie jestem feministką, więc mogę śmiało powiedzieć: zazwyczaj to kobieta niszczy mężczyznę, ale w tym wypadku Eile zniszczył Ipohorską. Z rozpaczki zaczęła pić i piła, aż nastąpił kompletny rozkład jej osobowości. Janka nie była piękną, ale miała niebywały urok i ciekawą inteligencję. Kiedy ją poznałam, przeżywała romans ze znanym krytykiem muzycznym i felietonistą czołowego pisma katolickiego, ale tak się stało, że żona krytyka powiła dziecko, co zawsze zabija wielkie serce porywy. Związała się więc z Eilem. Z czasem Marian wciągnął mnie do współpracy z „Przekrojem”, na łamach którego gawędziłam z moim ojcem o jedzeniu. Stare dzieje... Ale zdaje się, że nie o „Przekroju” mieliśmy mówić.

Mieliśmy mówić o pani ojcu Jarosławie Iwaszkiewiczu, bo niedawno minęła 30. rocznica jego śmierci i ukazały się „Listy do córek” oraz drugi tom „Dzienników”, ten rok przyniesie również biografię Iwaszkiewicza autorstwa Marka Radziwona i korespondencję Iwaszkiewicza z Zygmuntem Mycielskim. „Dzienniki” to dzieło intymne, ujawniające dramaty domu na Stawisku i skomplikowane życie uczuciowe pani ojca, na przykład związek z Jurkiem Błęszyńskim. Nie wahała się pani ich wydać?

– Wielu ma do mnie o to pretensje. Dlaczego to zrobiłam? Przede wszystkim, jak pan wspominał, minęło 30 lat od śmierci ojca. Po drugie, sama już jestem w podeszłym wieku i bałam się, że jeśli ja nie wydam „Dzienników”, to kto kiedyś nimi się zajmie? Chciałam je opublikować w całości, bez jakiegokolwiek cenzury, by w przyszłości nikt nie grzebał w papierach po ojcu i wydawał jego listy czy dzienniki według swojego widzimisię. Jest przecież pewna pani bardzo zainteresowana życiorysami znanych pisarzy, która specjalizuje się w ujawnianiu ich grzeszków. Ojciec nie był bezgrzeszny, ale na miłość boską!, bezgrzesznych policzyć można na palcach jednej ręki. Nie cierpię zresztą ludzi nieskazitelných, a jeśli ktoś za takiego uchodzi, to prędzej czy później ujawnia się w nich coś obrzydliwego.

Ojciec już w latach 60. sporządził coś na kształt testamentu, nie stawiając żadnych przeszkód w wydaniu swego dziennika, i ja się tego trzymałam. Jedyne, co mogło mnie powstrzymać przed publikacją, to fakt, że zdarzają się w nim niesprawiedliwe sądy o ludziach. Jerzy Lisowski powiedział mi kiedyś jednak, że dzienników nie prowadzi się po to, by bliźnich oceniać sprawiedliwie. Jeśli dziennik jest wygładzony, znaczy, że jest fałszywy. Ojciec bywa czasami niesprawiedliwy – niesprawiedliwy przede wszystkim wobec swojej żony, a i mnie się dostaje, gdy ubolewa →



Nie cierpię nieskazitelných, jeśli ktoś za takiego uchodzi, prędzej czy później ujawni się coś obrzydliwego

→ nad moją głupotą. Bo i rzeczywiście, byłam głupią gęsią, późno dojrzałam, kręciły się koło mnie jakieś chłopcy, czego ojciec nie lubił. Na dodatek rodzice wymyślili sobie, żebym studiowała ogrodnictwo albo medycynę! A ja tymczasem, mając 20 lat, wyszłam za mąż i urodziłam dziecko.

W sprawie „Dzienników” radziłam się również Pawła Hertza, jednego z moich najbliższych przyjaciół. Paweł nie wątpił w konieczność ich wydania. Nie usunęłam z „Dzienników” ani jednego zdania. Ręka by mi chyba uschła, gdybym się na to odważyła. Wojciech Karpiński w liście do mnie twierdzi, że było znacznie więcej zeszytów, w których ojciec prowadził dziennik. Pamiętam, że ojciec narzekał kiedyś, że zginął mu jeden zeszyt. Ja opublikuję wszystko, co z jego zapisków ocalało na Stawisku. Wyszły już dwa tomy, ukazuje się jeszcze jeden. Trzy tomy to niedużo

Nie usunęłam z „Dzienników” ani jednego zdania. Ręka by mi chyba uschła, gdybym się na to odważyła. Opublikuję wszystko, co ocalało

MARIA IWASZKIEWICZ

ale rzadko, czytał całe rodzinie nowe opowiadanie lub wiersze. Pamiętam na przykład, jak czytał nam wiersze z „Mapy pogody”. Ojciec nie lubił pytać o to, co pisze, więc o tym, co wyszło spod jego pióra, dowiadywaliśmy się z „Twórczości”. Dzienniki poznałam dopiero po jego śmierci.

Jakie były pani wrażenia po ich pierwszej lekturze, szczególnie zapisków o Jurku, któremu jest poświęcony niemal cały drugi tom?

Maria Iwaszkiewicz pokazuje swoje zdjęcie z ojcem (Zakopane, lata 30.)



w porównaniu z całym dorobkiem ojca. Pełne wydanie dzienników Dąbrowskiej to 13 tomów, ale Matko Święta, któżby te nudy przeczytał!

Ojciec zaczął prowadzić dziennik po I wojnie światowej, ale w okresie międzywojennym rolę prawdziwego dziennikarza odgrywała jego korespondencja z moją matką. Kiedy się rozstawali, pisywał do niej niekiedy nawet dwa listy dziennie. Mam nadzieję, że pod koniec tego roku ukaze się drugi tom ich korespondencji i może nawet doczekam publikacji ich wojennej korespondencji.

Pani ojciec miał zwyczaj czytać niektórym przyjaciółom fragmenty dziennika. Czy czytał je pani lub komukolwiek z rodziny?

– Być może czytał je mamie, bo bardzo liczył się z jej zdaniem, ale na pewno nie czytał ani mojej siostrze, ani mnie. Czasami,

– Poczułam, że mi ojca strasznie żal. Ojciec bardzo kochał Jurka. Gdy się z nim związał, miał już ponad 60 lat, Jurek zaś miał lat 25 i chorował na gruźlicę. Ojciec był nim zachwycony, ale moim zdaniem Jurek był człowiekiem nieciekawym, hochsztaplerem i naciągaczem. Zresztą ojciec był świadom jego wad, pisząc, że Jurek jest immoralny i banalny. A jednak go kochał. Podejrzewam, że ojciec wychowany pośród ludzi, bądź co bądź, intelektualnie wyrafinowanych nie znał wcześniej nikogo, kto miałby w sobie – nie chcę powiedzieć proletariacki, bo nie byłoby to właściwe słowo – podobny *élan vital*. A Jurek miał w sobie żądzę życia: lubił wypić, porozrabiać i potańczyć, lubił jazdę na motorze i to co najmniej z setką na liczniku. Lubiał też kobiety, miał żonę i kochankę. Ojciec mówił, że bałyby garnęły się do niego jak muchy do miodu, czego ja nie rozumiem, bo tacy męż-

czyźni nigdy mi się nie podobali. Jurek był jednak bardzo do ojca przywiązany i czuły. Wiedział, że sam umiera, że choroba go zabije, myślał więc, że rzutowało to na jego zachowanie. Był bardzo pięknym mężczyzną, ale w jego urodzie było coś ordynarnego.

Ale ojciec wspomina, że pan zdaniami Jurek jest piękny jak archanioł.

– Może chciałam sprawić ojcu przyjemność, nie pamiętam. Jurek przez jakiś czas przebywał w mieszkaniu na Szucha, gdzie i ja mieszkalam, więc go nieco poznałam. Może nie był tak nieciekawym, jak mi się zdawało, ale był prymitywny. Więc dlaczego ojciec go pokochał? Ale Boże mój, kto z nas może powiedzieć, że zawsze kochał się tylko w ludziach na odpowiednim poziomie?! Parafrazując słowa pewnej starej Żydówki u Dąbrowskiej: miłość to jest różnie. Do miłości nie można przykładać żadnej normy.

Jurek pojawił się w szczególnym dla ojca momencie, wtedy mianowicie, gdy rodzice zaczęli się od siebie oddalać. Matka moja szalenie kochała wnuki – co mój mąż Bogdan Wojdowski tłumaczył tym, że zawiodła się na córkach – bardzo też była pochłonięta życiem religijnym, wszystko to oddalało ją od ojca, który czuł się osamotniony. I nagle pojawia się dwudziestoparoletni Jurek. Ojciec, jak to wielu ludziom starszym się zdarza, miał pociąg do młodości, pragnienie otaczania się ludźmi znacznie od niego młodszymi. Mnie na przykład młodzi nudzą. Ale ja ojca rozumiem, choćby dlatego że jego domowe otoczenie składało się wyłącznie ze starych kobiet: babcie, teściowi i kucharki czy jakieś pomoce domowe. Baby te wiecznie się ze sobą kłóciły. Ojca te babotony potwornie drażniły. Taka babcia Śliwińska, matka mojej matki, była wyjątkowo nieznośna. Miała chyba ze 200 lat i, o grozo, się malowała. Kiedy mama prosiła ją, by się nie malowała, Śliwińska na to: w trumnie będę błada! Na Stawisku mieszkaly też dwie starsze siostry ojca, stare panny. Ciotka Jadwiga mówiła do mamy: Haniu, pomnisz moje słowa – Jarosław jest głupi, zły i niesprawie-

Maria Iwaszkiewicz

jest córką Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów. Urodziła się w 1924 roku i wychowała na Stawisku w otoczeniu najwybitniejszych artystów i umysłów międzywojennej Polski. Podczas okupacji rozpoczęła konspiracyjne studia archeologiczne, które kontynuowała po wojnie. W młodości wraz z siostrą Teresą zaprowadziła w rodzinnym domu kult Gombrowicza, który usłysawszy o tym, skierował z Argentyny do córek

Iwaszkiewiczów słynny „List do ferdydurkistek”. Pracowała w Czytelniku, prowadząc tam legendarną kawiarnię, a później w redakcji działu pamiętników. Przez lata współpracowała z „Przekrojem”, publikując na jego łamach felietony kulinarne. Wydała między innymi „Gawędy o przyjęciach”, „Z moim ojcem o jedzeniu” i wspomnienia „Z pamięci”. Zajmuje się edycją pism Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów.



Rodzina Iwaszkiewiczów zawsze lubiła towarzystwo zwierząt. Maria Iwaszkiewicz w warszawskim mieszkaniu (z suczką Pulcią)

dliwy. No więc dziwi się pan, że ojciec pokochał młodego chłopaka?

Dziś o homoseksualizmie rozmawiamy swobodnie, ale kiedyś był to temat tabu. Zygmunt Mycielski, wielki przyjaciel ojca, przy okazji sprawy Jurka pisał w swoim dzienniku, że „Jarosław u nas dusi się”, nie mogąc ujawniać swoich uczuć, bo żyje w nieodpowiednim ku temu miejscu i czasie. Jednak ojciec o związku z Jurkiem w zawałowany sposób opowiedział w „Kochankach z Marony”. Miał też bezsensowne wyrzuty sumienia, że swoim homoseksualizmem unieszczęśliwił córki. Ale Teresa i ja kochałyśmy go takim, jaki był.

Muszę powiedzieć, że podziwiam mamę za to, jak umiała się zachować w tak trudnym dla niej momencie. Matka zresztą wiedziała o skłonnościach ojca, bo sam jej to powiedział przed ich ślubem. Jurek był na Stawisku i mama go polubiła. A trzeba dodać, że całe życie – jak ja to mówię – wierzyła w zarazki i śmiertelnie bała się chorób, szczególnie gruźlicy. Kiedy odwiedzał nas Karol Szymanowski, to niezależnie, czy mnie i Teresę pocałował, czy nie pocałował, po każdej jego wizycie mama dezynfekowała nas spirytusem. By z Jurkiem rozmawiać albo przed samą jego śmiercią odwiedzić go w szpitalu, musiała przezwyciężyć gruźliczą fobię. Tak niezmiernie współczuła umierającemu Jurkowi i cierpiącemu ojcu, że w ich intencji wybrała się do Częstochowy. Zachowała się więc heroicznie. Wszystko to z miłości do ojca.

Zawsze twierdzę, że pewne rzeczy wie się dopiero na starość. Na przykład że można kochać równocześnie dwie oso-

by, i to w zupełnie inny sposób. Mnie to nie spotkało, ale znalazłam wiele takich przypadków. I to właśnie przytrafiło się ojcu: kochał Jurka i kochał żonę. To była wielka miłość, której nawrót przypadł szczególnie na czas choroby mamy. Wyciągnął ją z choroby psychicznej, którą przeżyła w latach 30. Przed śmiercią mama zносиła tylko jego obecność. Karmiliśmy ją, ale najchętniej przyjmowała posiłki podawane przez ojca. Kiedy umarła, ojciec popadł w rozpacz i powiedział do córek, że nie chce żyć bez niej, i dwa miesiące później zmarł. Czy gdy ojciec uwikłał się w związek z Jurkiem, domyślała się pani, jak wielkie jest jego cierpienie?

– Czy wielkie – tego nie wiem, bo cierpienia nie można zmierzyć. Ale pamiętam, że gdy Jurek umarł, zadesperowałam do ojca, że myślę o nim i jestem przy nim. Chyba więc zdawałam sobie sprawę z jego tragedii. Ale pomówmy o rzeczach weselszych, na przykład o „Listach do córek”. Chciałbym, byśmy się zatrzymali przy „Dziennikach” choćby ze względu na Czesława Miłosza. Pojawił się on w życiu pani ojca w latach 30., o czym można przeczytać w pierwszym tomie „Dzienników”, a sporo i w drugim. Pani ojciec ocenił jego decyzję pozostania na Zachodzie jako zdradę Polski, a wspominając spotkanie z Miłoszem w Paryżu w 1959 roku, pisze o nim jako o człowieku pysznym i nieprzyjemnym.

– Sam Miłosz musiał mieć świadomość, że nieprzyjemnie potraktował ojca, skoro później przeproszał go za pośrednictwem

amerykańskiej pisarki Mary McCarthy. Ojciec rzeczywiście zarzucał Miłoszowi zdradę, ale mówiąc o tym, trzeba pamiętać o jego obsesji emigracyjnej. Sam poczuł się emigrantem, kiedy musiał rozstać się z Ukrainą. A przecież emigrował nie do obcego kraju, lecz do Warszawy. Czytam teraz listy ojca do Jerzego Kwiatkowskiego, w których wspomina, jak trudno było mu odnaleźć się w mieszczańskiej Warszawie.

Ale to paryskie spotkanie z Miłoszem nie było ostatnim akordem ich dawnej przyjaźni i wzajemnej fascynacji. Miłosz pamiętał o ojcu, posyłając mu swoje kolejne tomy. Na początku lat 70. przysłał któryś ze swoich tomików z dedykacją, o ile dobrze pamiętam: Jarosławowi na nasze wielkie rozpozgodzenie. Ojciec zawsze twierdził, że Miłosz jest jednym z największych poetów „naszego zmaltretowanego świata”. Wiele lat później, gdy Czesio zamieszkał w Krakowie, czasami się z nim widywałam i wiele o ojcu rozmawialiśmy.

A skoro mówimy o emigracji i o Paryżu – czytając kiedyś korespondencję Andrzeja Bobkowskiego z Jerzym Giedroyciem, zauważyłam, że w wielu kwestiach Giedroyc i ojciec mieli wiele wspólnego, choćby w sprawie podróży do idei Polski jagiellońskiej czy do konieczności dialogu ze Wschodem. Dogadaliby się więc, jeśliby się spotkali, ale tak zwani życzliwi obsmarowywali ojca bardziej, niż na to zasłużył. Nigdy się więc nie spotkali, nawet wtedy, gdy ojciec odwiedził w Maisons-Laffitte rodzeństwo Marię i Józefa Czapskich. Ojciec sporo podróżował, odnosił czasami jakieś sukcesy na Zachodzie – a tego u nas łatwo się nie wybacza. Podejrzewam, że ojcu buty szły przede wszystkim Jerzy Andrzejewski, stary ojca przyjaciel.

Więc dobrze, że ukazują się jego „Dzienniki” i korespondencja, bo dzięki temu przekonujemy się, jak niesłuszne były oskarżenia, że wystugiwał się komunistycznym władzom. Tymczasem pisał, że jest przeciw każdej władzy, jeśli krzywdzi ona człowieka, odbiera mu jego prawa, skazuje na nędzę.

– Wieszano na nim psy, bo był dobrym pisarzem, bo miał piękny dom, w którym bywała nawet królowa belgijska. Po jego śmierci wypisywano o nim paskudne rzeczy, i to niekiedy ludzie, którym ojciec pomagał. Nie znaczy to, że był nieskazitelny, ale starał się postępować przyzwoicie. Ojciec śmiertelnie się bał, że komuniści spełnią swoje groźby i w końcu rozwiążą Związek Literatów Polskich. Dlatego był przerażony inicjatywami pisarzy dysydentów, bo to prowokowało władzę do ostrej polityki wobec ZLP. Ale był też odważny, na przykład w 1968 roku, kiedy opierał się żądaniom, by ze ZLP usunięto pisarzy żydowskiego pochodzenia. Nie po to ich ratowałam podczas wojny – powiedział – bym ich teraz wyrzucał. □



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

KURKIEWICZ NAGI NA SKALE
CZYTA COHN-BENDITA, SZARY NIE
MA OCHOTY POZNAWAĆ INNYCH,
A KRET DEMOLUJE OGRÓD

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Forever Jung, czyli nieustraszeni pogromcy wampirów



I POMYŚLEĆ, ŻE JESZCZE niedawno psychologia nie była żadną nauką – powiedziała Szara do męża w empiku wśród kilometrów pólek z poradnikami. Oczywiście jak to w empiku – można umrzeć, a nie doczekać się sprzedawcy, a przecież wiadomo, że śmierć osób mających problemy psychologiczne bywa wyjątkowo nagła. Ale i bez pomocy obsługi każdy znajdzie tu coś dla siebie: samotnicy – „Uwierz w swoje ja! Akceptacja innych nie jest ci potrzebna”, egoiści – „Bądź

egoistą – abc asertywności”, panie, które nawet do toalety chodzą z koleżankami – wyznania buddyjskiego myśliciela „Wszyscy jesteśmy jednością”. Tylko co wybrać – zapytała Szara – by siebie poznać? – Lepiej poznać innych, póki nami nie zawładną – powiedział nieufny Szary. Szara ufała światu. To dlatego, choć uważała się za racjonalistkę, wierzyła tylko w wampiry, które przychodzą o północy. Zupełnie nie wywoływała jej podejrzeń Pani Czarna, która

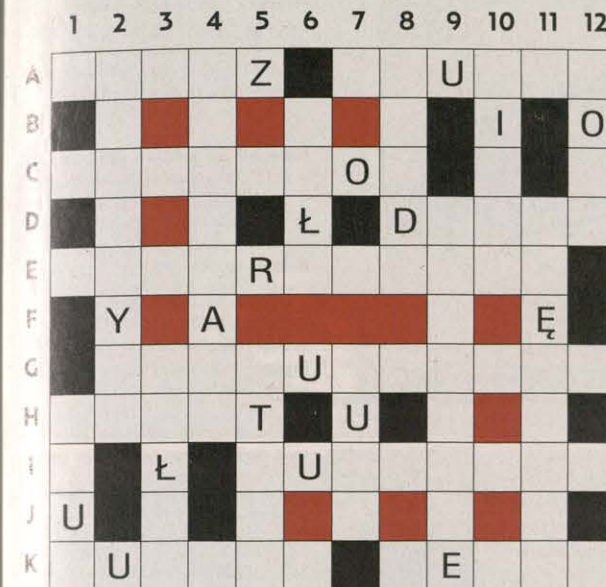
zjawiała się u nich zawsze rano. – Oka nie zmrzyżym – mówiła. – Tyle cierpienia we mnie i na świecie – mówiła, przewracając oczami i oczekując pytań, a następnie współczucia. Dźwigała na plecach problemy jak plecak. Trzęsły jej się ręce, rozbijała porcelanę jak słoń w jej składzie, a na każde pytanie odpowiadała „ciężko” (jej córka mówiła „hard core”). O 9 Szary spotykał w pracy Panią Stalową. Zawsze miał wrażenie, że o którejkolwiek by przyszedł, Stalowa już okupowała swoje biurko jako ambonę z równo ułożonymi dokumentami. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że Stalowa myślała, uczynkiem i niezaniebaniem zmuszała do nieludzkiego porządku również całe otoczenie. Wciąż mówiła o swoich zasadach,

które podobno w samotności łamała. W południe Szary spotykał się z Panem Zielonym, który co dzień roztaczał przed nim inną wizję biznesu idealnego (dotychczasowe nie wypały przez złych ludzi). Godzinę przed wyjściem z pracy (gdy nasza wola pracy jest najsłabsza) Szary dostawał od Pana Niebieskiego e-mail ze zdjęciem z jakiegoś miejsca na globie, gdzie nie można było dotrzeć ani jedno-, ani dwuśladem, ani żadnym parzystokopytnym i gdzie woda z brudnej kałuży była wyjątkowym rarytasem. Szary wiedział, że po powrocie Niebieski popatrzy na niego ze zdziwieniem, że jeszcze nie skoczył na bungee z Golden Gate, bo on to robi dla rozgrzewki co Wielkanoc. I Szary znowu nie będzie pewny, czy Niebieski

robi to dla siebie, czy dla innych, a właściwie przeciwnie. Koło 23 zawsze wpadała do Szarych Pani Złota, zdziwiona ich piżamami. Przecież dzień dopiero się zaczyna! Złota śmiała się z wysłużonej skody Szarych (choć sama nie miała na bilet ZTM), brylowała w środowisku (tylko ona wiedziała którym), żadna przygód (choć jeździła tylko do Dębek), była prawdziwą gwiazdą (choć nikt nie znał położenia jej nieba). – Ciekawe, za jakich wampirów mają nas inni? – zapytał Szary żonę. – Wiesz, chyba ludzie aż tak bardzo się nie różnią – odpowiedziała. – I tak wszyscy jesteśmy równi wobec dwóch rzeczy: głupoty instruktorów w szkołach jazdy oraz Wiadomo Czego.

JOLKA NR 16

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY

11-LITEROWE:

• DAJE BĘBNOWI
W KOŚĆ • DADZĄ RADĘ!

WYRAZY

8-LITEROWE:

• ROMANS NOSEM
• SZLIFOWANE
W GROBOWYM
NASTROJU
• PO WYMIANIE
W KANTORZE STARCZY
NA OPERĘ • CIĄGNĄ
WILKA DO CYRKU
• ROZMÓWNICE

DNIA TARGOWEGO

• ROZRYWANY PRZEZ
OCET I MUSZTARDĘ

WYRAZY

6-LITEROWE:

• KUSI KUSI KLIENTA
KLIENTA • POWIEDZA
I SZYBKO ODEJDA

WYRAZY

5-LITEROWE:

• CHYBKI FRAJER
• BZDURY I WYZWISKA
Z PRZYRUMIENIONĄ
CEBULKĄ • WĘŻELKI

W TORBIE

DORĘCZCIELA

• PRZEBŁYSK TABLOIDU
• NIE CHCIAŁA KOPCA
• MINIURYWEK
BOGURÓDZICY
W SANATORIUM • COŚ
Z GŁOWĄ • ROWER
NA B8

WYRAZY

4-LITEROWE:

• PÓLNOC MA ZA NIĆ
• CIENKKA MOKKA
• U BOKU ANNY ANKI
• BURSKE WIĘZIENIE

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

J9_I10_K3_A3_G10_C12_K6_I7_H4_A1_G4_D9_/_

K8_H11_A7_C8_I5_E4_G3_E7_B6_C1_C10_K4_D11_I1_K12_I9_A11_

LAUREACI Z NR. 11

KRZYŻÓWKĄ:

Krystyna Dubiella, Koszalin;
Maria Dziamba, Tarnobrzeg;
Leon Małkiewicz, Branice; Piotr
Sosnowski, Warszawa; Wiesława
Swoboda, Żelów

JOLKA:

Ewa Hiper, Częstochowa; Anna
Kostecka, Wrocław; Magdalena
Tarasiewicz, Warszawa; Renata
Wapińska, Warszawa; Barbara
Zawadzka, Łódź

FANTASTYCZNY PAN LIS

WYSTĘPUJĄ:
TOMASZ LIS

na żywo i we własnej osobie

TOMASZ LIS (wdzięcznie pozując do fotografii):
– Oczywiście, że jestem fantastyczny. (precyzując) Tu. I tu. A tu najbardziej. Jednakowoż (chwila wahania) tu ciagle nie. Tu zostało jeszcze wiele do zrobienia. (pauza) Próbowałem różnych sposobów, różnych lekarstw... (pauza) Odwiedzałem specjalistów... (studienne westchnienie, pauza) Ale moja fryzura wciąż jest do kitu.

KURTYNA zapada bezszelestnie.

Kino-
teatrzyk
PRZEMKA
JURKA

LEWNO
MYŚLNIK

Nie ma cytryn bez kolców
Ból nie był dotkliwy. Właściwie
nawet przyjemny. Cierpki
w zgodzie z cytryną. Tyle że
do dzisiaj zdrapuję resztki
cytrynowca z moich rąk

ROMAN KURKIEWICZ



PIERWSZY RAZ WŁASNORĘCZNIE zbierałem cytryny z drzewa. Cytryna jest ulubionym przysmakiem Róży. Pomyślałem, że jej przywiozę. Drzewo było w sumie niewielkie, cytryn kilkanaście, wydawało się, że choć są za wysoko, aby sięgnąć po nie z ziemi, to po stanięciu jedną nogą na rozwidleniu pnia nie będzie większego problemu, żeby dłoń dotarła.

Dłoń jednak zawisała w powietrzu, w oddaleniu takim tuż-tuż, ale za to ręka wpakowała się w tarapaty – cytryna ma kolce, wiadać je słabo. Są ostre i niewidoczne, ujawniają się z trudem. Zanim palce zacisnęły się na cytrynie, ramię miało wyrysowane tajemnicze figury delikatną czerwoną kreśką. Ból nie był dotkliwy. Właściwie nawet przyjemny, orzeźwiający, cierpki. Był w zgodzie z cytryną. Dzisiaj zdrapuję resztki rysunku cytrynowca z moich rąk. Cytryna została zjedzona.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, witało nas słońce i spokojne, brązowe wiszące pędy winorośli. Wiatr wiał, raz się nawet rozchylał, wyrwał okno z kuchni. Ale potem po prostu był. Jeszcze tylko któregoś dnia okazał się poważniejszy, niż myślałem, kiedy dwie duże fale – kiedyś powiedziałbym: niepozorne – z całą bezwzględnością morza dla intruza miotnęły mną o skały. Skały okazały się łaskawe, naruszyły, ale nie złamały. Zrozumiałem ostrzeżenie – tego dnia już nie wchodziłem do wody. Uderzenie morza przynosi inny ból, odrobinę strachu, właściwie zupełnie przyzwyczajoną porcję

strachu. W zasadzie najgorsze jest to, że z niepozornej przyjemnej chwili w ułamku sekundy jestem we władaniu niewidzialnej mocy, która może zmiażdżyć. Albo ukolysać.

Leżąc nago na skale, czytałem książkę Cohn-Bendita. Słońce było delikatne.

Jazda rowerem nad kilkudziesięciometrowym urwiskiem skalnym, nad morzem szemrzącym, pohukującym, zbieżnym na szmaragdzie jest jedną z najczystszych przyjemności. Ale nie była tym razem przyjemnością samotną. Przede mną podlatywał dudek. Prowadził mnie. Lecił 10 metrów. Ładował. Oglądał się na mnie. Widział mnie. Po prostu patrzył. Kiedy byłem już zbyt blisko, podrywał się po raz kolejny. Podrywał i siadał. Kiedy usiadł, czekał. Kiedy się doczekał, podfrunął ponownie. Jechałem za nim innym rytmem, nie gonilem go, zwalniałem, dostosowywałem się do jego prowadzenia. W końcu poleciał w swoich sprawach w górę. Ja usiadłem pod ożywioną sosną. Zrobiłem jej zdjęcie. Powoli zachodziło słońce. Zapomniałem, że straciłem pracę.

Noce były już krótsze. Rozrywał je nagle krzyk, niemal ludzki, niemal dziecięcy. Wielogłos. Nie walka, ale jednak nie miłość. Szakale. Sesja trwała zazwyczaj około minuty, może dwóch. Potem niebo wracało do swojej ciszy, zasympało wsparte na widocznych, bliskich jak cytryny gwiazdach.

I wtedy przyszedł pierwszy SMS.

MYŚLNIK

Od Państwa zależy,
jakim będziemy państwem!

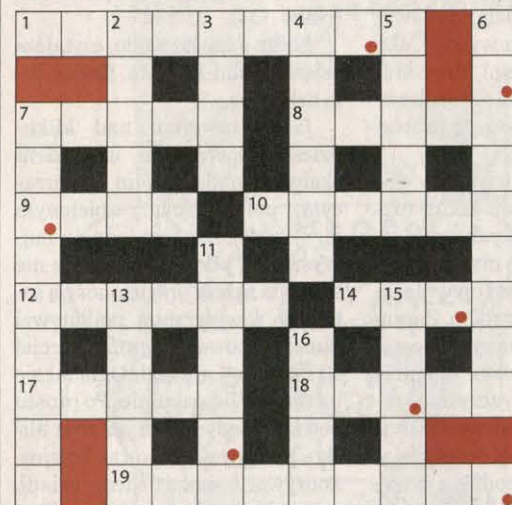
Krzysztof Bilica



NARYSOWANE PRZED WYŚCIGIEM!

KRZYŻÓWKA NR 16

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45



Nagrodą za rozwiązanie krzyżówki jest album Roberta Gawlińskiego!
 Słuchaj muzyki na stronie
www.youtube.com/emimusicpoland

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. INTERES NA MINUSIE
7. PROWADZI DO WĘŻYKA
8. POSILEK NELSONA
9. WZIĘTA Z GALI
10. SERCA PORUSZENIE
12. OB. LEŚNY
14. BARBARZYŃCA W OGRODZIE
17. WSZĘDZIE SIĘ WCIŚNIE
18. MIARA PODOBIENSTWA
19. MIĘDZY PEKINEM A LONDYNEM

PIONOWO:

2. NAJDALEJ OD WC POŁOŻONE
3. W SZCZECINIE
4. PRACZKA
5. UMOŻLIWIA KONTAKT
6. AUTOSTOPOWICZ
7. CZTERY WESELA I DOBRZE
11. NIE CIERPIĄ
13. SIEDZI W RADZIE
15. MAŁA SUMA
16. JAKIE TU WSZYSTKO WTÓRNE!

ROZWIĄZANIA Z NR. 13/14

KRZYŻÓWKA: SZPALER

Poziomo: 1. KARTKI NA MIESO — JADŁOSPISZ 7. CO PAN SOBIE MYŚLI — SONDA 8. POD WYCIERACZKĄ — SZYBA 9. WINNY! — OCET 10. WYSZŁA Z NORKI — SKÓRKA 12. KAŻDY W KOŃCU WYMIKNIĘ — SUCHAR 14. BIGNI CHŁOPCÓW — PLAC 17. KOŁOWROTKI — ROLKI 18. W SZOPIE PRACZA — BALIA 19. GUZIK GO OBOJDOZI — WINDIARZ

Pionowo: 2. JAKO CZY KURA — DANIE 3. KOSZAL — OPAL 4. OKRUSZKA — PUSZKA 5. KAKRZYŻ KAZÓW KARA — SZYFR 6. NA NIEJ TELEWIZOR — GWARANCJA 7. CŁO PAPIERU NIE PLAĆ — SPONSORKA 11. DUPEK CZERWIO — PAPIER 13. KORYTARZ — CHLEW 15. KSIĄŻKA DO ZABAWY — LALKA 16. ROZBITY ODDZIAŁ — OBOZ

JOLKA: TYLKO IDIOTA STAJE MIĘDZY AHABEM A JEGO WIELORYBEM (z serialu „Doktor House”)

Rzędami: LUBAŃSKI, KARP, PARTYJNIAK, MROK, BRZEMIE, WICI, ETER, HOUSTON, GROT, DYPLMATYKA, ZNAK, SZASZLYK
 Kolumnami: WĘGRZY, UPADKI, CHODAK, ANTYBIOTYK, SOJUZ, TROJA, KAMIENIARZ, ZAKRĘT, EFEKTY, SPIKER

Wygraj jedną z 10 płyt Roberta Gawlińskiego „Kalejdoskop”. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 16” lub „krzyżówka 16”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 26 kwietnia 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

KUBA DĄBROWSKI

Z kamerą wśród gwiazd

Mija 20 lat od jednego z ważniejszych wydarzeń w historii – wystrzelenia na orbitę teleskopu Hubble'a



WSZECHŚWIAT JEST WŁAŚCIWIE PRZEZROCZYSTY, światło sprzed tysięcy lat świetlnych dociera do Ziemi bez zniekształceń. Problemem są ostatnie mikrosekundy tej podróży, moment, w którym światło przebija się przez naszą brudną jak szyba biurowca w centrum miasta atmosferę. Efekt? Nawet przy użyciu największych teleskopów nie można oglądać z Ziemi dalekich galaktyk. Najprostszym rozwiązaniem problemu to wynieść obserwatorium ponad atmosferę. Astronomowie wpadli na ten pomysł już w latach 20. XX wieku, ale wówczas nie było to możliwe. 24 kwietnia 1990 roku spełnia się marzenie. Prom Discovery transportuje na orbitę okołozemską teleskop Hubble'a. Ludzkość wchodzi w nowy etap obserwacji kosmosu.

Teleskop Hubble'a to wspólne dzieło NASA i Europejskiej Agencji Kosmicznej. Będzie działał do 2013 roku

Niestety, szybko okazuje się, że radość jest przedwczesna. Obraz dostarczany z teleskopu jest nieostry. Inżynierowie podejrzewają, że przyczyną tego jest zła krzywizna zwierciadła. W grudniu 1993 roku na orbitę wylatuje misja naprawcza, przy okazji astronauta uzbraja teleskop w nowy „aparat” Wide Field and Planetary Camera 2. To on zrobi większość przełomowych dla nauki zdjęć. Urządzenie składa się z czterech matryc CCD (pionierów tych, których używamy w aparatach cyfrowych), każda o wielkości 800×800 pikseli. Łącznie daje to niezbyt imponującą liczbę 2,5 megapiksela. Prawa górna matryca odzwierciedla obraz w większym przybliżeniu, naukowcy mogą dzięki niej przyjrzeć się detalom, ale po dopasowaniu perspektywy do reszty kadru powstaje obraz o dziwnym, schodkowym kształcie. Aparatura WFPC2 oprócz światła widzialnego nie rejestrować podczerwieni i ultrafioletu. Obrazy dostarczane przez aparat są czarno-białe, kolory składa się z trzech naświetleń rejestrujących różne długości fal jak w komputerowym RGB.



ŁADNE RZECZY!

OLA SALWA

Kartoniki w dłoń

To nieprawda, że w czasach Facebooka wizytówki stały się przeżytkiem

► Jak myślicie, czego to jest wizytówka? Tak, Akbar to restauracja. Oczywiście skojarzenia jest umyślna i korzystna

SZCZEGÓLNIE JEŚLI WIĘKSZOŚĆ NASZYCH KONTAKTÓW MA CHARAKTER BIZNESOWY, a nie wyłącznie towarzyski. Przyznaję to z podwójnym żalem, bo, po pierwsze, jestem entuzjastką portali społecznościowych i spędzam tam większość swojego e-życia. A po drugie, nie lubię marnotrawienia papieru – przecież lista znajomych jest bardziej eco-friendly niż pełen karteczek wizytówek. Nawet jeśli jest wykonany z ekologicznej skóry. Cóż, środowisko znów przegrywa z biznesem.

Pocieszyć się tylko można, że przedłużamy życie gatunkowi, który żywi się projektowaniem i drukowaniem kawałków papieru.

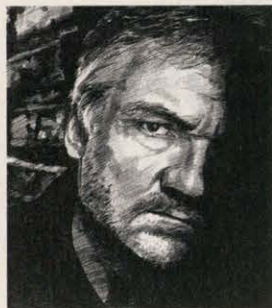
► Oferty pracy w gazecie to nuda, więc Café Tanto szuka fotografa przez orzeszek ziemny

► To opakowanie kojarzy się z odświeżającymi chusteczkami podawanymi na pokładach samolotów. W business class oczywiście



► Płyta winylowa, na której można sobie amatorsko poskreczować – to oferuje wizytówka DJ Mohit





Dlaczego Schulz jest wielki? Dlaczego wielki do dziś? Bo się nie zestarzał. Niby znowu banał. Rzecz w tym, że powinien. On powinien specjalnie. On właśnie powinien się zestarzeć, on w ryzykownym i chybotliwym pracował tworzywie, on pisał prozę pozornie z natury rzeczy skazaną na krótkotrwałość

JERZY PILCH

4 KWIETNIA

SUBIEKTYWNY ZACHWYT SUBIEKTYWNYM ZACHWYTEM – w przypadku Schulza istnieją widzialne, i to bardzo wyraziście widzialne komplikacje. Przykład pierwszy z brzegu: wiele wskazuje, że był on jedynym w dziejach literatury światowej pisarzem, który w prawdziwie odpisywał od Kafki, ale od którego za to zrzynał Tomasz Mann. Cichcem na dodatek, w sposób nie do końca udowodniony – casus tym bardziej nieublagany i dla harmonii konieczny.

Znacie tę historię: autor „Sklepów cynamonowych” przekazał autorowi „Czarodziej-skiej góry” jakieś swoje przetłumaczone czy wręcz po niemiecku napisane kawałki (wedle wydanego przez słowo/obraz terytoria „Słownika Schulzowskiego” było to – być może zawierające pewne elementy „Traktatu o manekinach” – opowiadanie pod tytułem „Powrót do domu”). Mann się nie odezwał, nawet odbioru tekstu nie pokwitował – zdaje się to potwierdzać jego nieczyste zamiary. Gdy bowiem po bez mała 10 latach wydany został „Faustus”, niepodobna było nie odnotować: pewne rysy, upodobania i zabawy ojca Adriana Leverkühna mają wielce schulzowski klimat i nie tylko klimat.

Wszeghogarniające wpływy Franza Kafki – rzecz tak oczywista, że godna wyłącznie kwestionowania. Domniemany rabunek dokonany przez autora „Czarodziej-skiej góry”, przywłaszczenie sobie choćby tylko sposobu ujęcia postaci – rzecz domagająca się potwierdzenia. W końcu sprawa ma swoją dalekosiężność – bez ojca nie byłoby syna, bez starego Leverkühna nie byłoby Adriana, bez Adriana nie byłoby „Faustusa”, bez „Faustusa” nie byłoby Manna, bez Manna nie byłoby literatury niemieckiej, bez literatury niemieckiej nie byłoby... *und so weiter*. Założycielskość Schulza może być dość fundamentalna.

Oczywiście jak było naprawdę, żadna komisja nie dojdzie, oczywiście nie jest to rzecz, o którą polska literatura czy w ogóle Polska winna bić się do krwi ostatniej, ale odpowiednio częste przypominanie tej anegdoty? Wydobywanie jej z anegdotyczności, a nadawanie pozorów poważnej hipotezy badawczej? Dlaczego nie? Literatura, od której Mann odpisuje, nie może być biedna. Nawet jak od niej nie odpisuje.

5 KWIETNIA

„PLAC PRZYPOMINAŁ JATKĘ WE WŁOSKIM MIASTECZKU, nie pamiętam już, w którym, wyłożony wielkimi płytami kamienia; paliły nas podeszwy, a krąg okalających go żółtawych pozamykanych domów nasuwał skojarzenia z jakąś areną do igrzysk czy innych krwawych zabaw. (...) Olbrzymie jaskrawe szyldy i ogłoszenia, drzwi lokali handlowych pootwierane na oścież, towary w połowie na chodnikach, słodkawy odór gnijących owoców. Na zaciemnionej stronie – sprzedawcy lemoniady, słodczy, negroidalni gazeciarze; w ogóle dużo Murzynów. Mnóstwo zwierząt; psy i szakale wylegujące się w słońcu, świnki morskie węszące się nad rynsztokiem, na drutach telefonicznych siedziały kameleony, celując w muchy grubymi językami. Na buforze tramwajowym zawinął się wąż, wlokąc ogon; małpa podążała swym szlakiem po sztydach sklepowych. (...) Dużo kobiet o uszmińkowanych twarzach, wargi jak z chińskiej laki, a gdy rozchylały je od czasu do czasu w czymś w rodzaju przedczłowieczego uśmiechu zarówno dziąsła jak i wnętrze ust miały barwy blade-go arbuza. (...) Niektóre miały na ramieniu małpkę, inne – papugi”.

Nie mnożę pełnych uroku meandrycznych efektów i pociemniając, nie wyjaśniam, że fragment ten nie jest – a mógłby, a mógłby – ani dalszym ciągiem „Ulicy krokodyli”, ani cudownie odnalezioną stroniczką „Mesjasza”; fragmentu tego nie odpisał ani Mann od Schulza, ani Schulz od Kafki, od kogo go odpisał Hermann Broch, nie wiem, wiem, że go napisał i że tu pasuje z tysiąca powodów.

Zapewne duch opowieści unoszący się nad Europą na początku minionego wieku miał w sobie – prócz innych mocy – system jakiś echowy, a może lustrzany, zapewne ten duch zawsze ma przy sobie tego rodzaju aparatury, wówczas jednak kilku urodzonych jeszcze w XIX stuleciu gigantów tak niezwykle machało piórami, że ich wzajemne echa i odbicia osobnym i wielce zagadkowym pasmem pozostają. Na mnie to są za wysokie rzeczy, tak wysokie, że ich nie lubię, a nawet się lękam, oprócz zwyczajnego mam też bardzo dokuczliwy literacki lęk wysokości – dużo pewniej się czuję na pozbawionym jakichkolwiek wzniesień i uniesień równym gruncie rzemiosła.

6 KWIETNIA

W PODTEKŚCIE, A NAWET WPROST ZOSTAŁO POWIEDZIANE: Schulz wielki, bo należał do wielkich? Nie lekceważyłbym tej tautologii: wielki, bo z wielkimi – wyraźnie słychać – „tyleż razy z nim wymienianego” Witolda Gombrowicza.

Jak w tysiącu innych przypadków i w przypadku Schulza autor „Transatlantyku” miał, ma rację – co prawda trochę mimochodem; co prawda to, co ja uznaję za rację i rozwiązanie, może być uznawane za detale albo odwrotnie, za oczywistość – dajcie spokój – słuchajcie! Dlaczego Schulz wielki? Dlaczego wielki do dziś? Bo się nie zestarzał. Niby znowu banał. Rzecz w tym, że powinien. On powinien specjalnie. On właśnie powinien się zestarzeć, on w ryzykownym i chybotliwym pracował tworzywie, on pisał prozę pozornie z natury rzeczy skazaną na krótkotrwałość.

Dobra proza się nie starzeje, dobre wiersze się nie starzeją – nawet genialna proza poetycka starzeje się galopująco. Weźcie spróbujcie czytać „Pieśni Maldorora” albo nawet „Sezon w piekle”; w wielkość Blake’a można na słowo uwierzyć Miłoszowi, wielkość zresztą nie zawsze idzie w parze z literacką aktualnością. Schiller wielki? Wielki, ale nieaktualny.

Cała na wskroś poetycka „Republika marzeń” i całe partie „Sklepów”, i przeszło pół „Sanatorium” to dziś powinna być w zasadzie czysta młodopolszczyzna, szeleszczący poetyzm – a nie jest. Papierowa na oko lódka dawno powinna być na dnie – pływa dalej. Co nie znaczy, że jest to jakiś arcybezpieczny wodolot. Co nie znaczy, że ta proza to są polacie geniuszu wiecznie żywego – kłopot z niektórymi „pięknymi”, a nawet „arcypięknymi” fragmentami jest jednakowoż nie większy niż z eseistycznymi partiami u Manna czy, powiedzmy, mistyczno-lirycznymi kawałkami w „Kusicielu” czy w „Śmierci Wergilego”.

(Kafka jest tu poza konkurencją – stara moja teza, że jak w literaturze następuje – niezmiernie rzadkie – połączenie wybitnych predyspozycji z wysokim wzrostem, daje to efekt niedościgły – znajduje kolejne nieobalalne potwierdzenie. Milion rzeczy łączy Kafkę z Schulzem – nie należy wszakże specjalnie boleć nad tym, że nie mają wspólnej fotografii).

U Brocha czy Manna kawałki udręczające nikną w wielkich, epickich objętościach – u Schulza widać je bardziej i bardziej są dokuczliwe.

